

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



PIOTR BEDNARSKI

LANCELOT

Copyright by Piotr Bednarski

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

KĄDZIEL

1.

15 września 1905 roku, około godziny piątej po południu, moja babka Tatiana Siergiejewna Łopuchina omal nie przeniosła się na tamten świat. Siedziała wtedy w parku okalającym dom jej jedynej posiadłości, leżącej obok chutoru Kitajgorodka w jekatierinosławskiej guberni. Odwracając przeczytaną stronicę spostrzegła, że leżący obok chart uniósł się na przednie łapy i wyprężył mięśnie. Podniosła głowę i zamarła: przez północną furtkę wchodził do parku nie kto inny tylko sam Michał Jurewicz Lermontow. Szedł chwiejąc się, jakby przed chwilą dosięgła go śmiertelna kula. Babka zamknęła oczy i przywołała na pomoc wszystkich prawosławnych świętych. Trudno dociec czy przywołani święci czy mistyczna siła, która zawsze tkwiła w jej duszy, sprawiła, że babka poczytała to zdarzenie za objawienie boskie i otworzyła oczy jeszcze szybciej, niż je zamknęła. Zerwała się z ławki i co sił wybiegła naprzeciw. Podając rękę przekonała się, że Lermontow nie jest zjawą, lecz człowiekiem z krwi i kości, który potrzebuje pomocy. Z drżącym sercem zaprowadziła go do domu i roztoczyła nad nim opiekę.

Muszę w tym miejscu przypomnieć, że babcia, przeczytawszy w siedemnastym roku życia Demona, stwierdziła autorytatywnie, że tylko Lermontow godny jest jej uczucia. A kiedy dowiedziała się, że przebywał w ich domu i podkochiwał się w ciotce, jej fobia pogłębiła się jeszcze bardziej. Była święcie przekonana, że stałby się członkiem ich rodziny, gdyby jego życie nie skończyło się tak szybko i tragicznie. Wszystkich kandydatów do swojej ręki prześwietlała teraz przez pryzmat Lermontowa, więc możemy się domyśleć, jak fatalnie musiało to się skończyć dla każdego śmiałka. Jej rodzice, a moi pradziadowie po kądzieli,

starali się przemówić jej do rozumu, wszelkimi sposobami, ale babka była stanowcza i nieugięta, próbę przymusowego wydania za mąż zagroziła samobójstwem. Po paru latach straciła i konkurentów i chęć do małżeńskiego stanu. Poprosiła więc ojca, aby za posag, jaki miała otrzymać, kupił jej zaciszny dworek w Małorosji, tam gdzie kiedyś mieszkała Szczerbatowa, kobieta która również kochała Michała Jurewicza, i której moja babka serdecznie nienawidziła, choć jej już dawno nie było na świecie.

W ten sposób babka znalazła się w Kitajgorodce, leżącej obok szlaku biegnącego do Nikopola, a dalej na Krym, i zaczęła żyć życiem stepowej dziedziczki. I już od pierwszych dni można było z czystym sumieniem stwierdzić, że nie chciała być powołana w poczet świętych. Jej arystokratyczne pochodzenie, niepoślednia uroda, wrodzony takt i elegancja sprawiły, że wkrótce stała się ośrodkiem zainteresowania całej okolicy. Każdy z bliskich czy dalekich sąsiadów uważał za punkt honoru stać się gościem jej domu. Ale drzwi stały otworem tylko dla tych, którym oczu nie nadzarła jeszcze stepowa nuda. I spośród tego grona babka dobierała sobie narzeczonych, kochanków, partnerów czy... sam diabeł wie, jak ich nazwać. Każdego z nich trzymała na dystans i nie pozwalała na zbyt dużą poufałość, a współżycie z nimi nigdy nie zdejmowała sukni, zaś ci, którzy prosili o to, wręcz domagali się tego, tracili jej względy na zawsze. Odślaniała tylko to, co było nieodzowne dla zaspokojenia żądzy, którą się brzydziła, lecz której nie mogła ani z siebie wyplenić, ani w sobie stłumić. Bardzo często nawiedzały ją dnie falliczne, kiedy modlitwa ani ciężka praca, do której się zmuszała, nie mogły przesłonić tego bezwzględniego organu wyzierającego z każdej rzeczy widzialnej i niewidzialnej. Czuła się wtedy jak zwierzę. Aby nie zapomnieć, że jest człowiekiem, zmieniała kreacje po trzy, a nawet cztery razy dziennie. W tych dniach w salonie pojawiała się również wszystko to, co może pobudzić lub zaspokoić zmysł estetyczny – poczynając od zastawy stołowej, a kończąc na obrazach starych mistrzów. Ale zachować etykietę mogła tylko przez pół, najwyżej godzinę, potem kiwała na swojego wybrańca i niepostrzeżenie wychodziła z salonu. Po godzinie zjawiała się w nowej sukni, z twarzą nie rozpromienioną lecz zgaszoną, jakby się bała, że za chwilę podobny akt może się powtórzyć. To był główny powód wyjazdu z Moskwy. Bała się skandali, które mogły nadszarpnąć zdrowie jej rodziców i zaszkodzić ich pozycji. A tu, w tej stepowej, zaporoskiej głuszy siła skandalu była tak znikoma, że jego echo nie docierało nawet do gubernialnego miasta, a gdyby nawet dotarło,

urwano by mu tam łeb bojąc się wpływów jej ojca. I to babka wzięła pod uwagę. Nie mogła przecież liczyć na to, że ktoś potrafi zrozumieć jej irracjonalną miłość do Michała Jurewicza Lermontowa, człowieka którego kości od sześćdziesięciu paru lat trawiła już ziemia. Żyła tylko jego poezja, a przecież ona nie była w stanie uciszyć wzburzonej krwi zakochanej na śmierć kobiety. Babka była jeszcze na tyle rozsądna, że zdawała sobie sprawę z tego, iż nikogo z żyjących nie potrafi pokochać, a egzystując jak mniszka popadnie w obłąd, ponieważ przyłapywała już siebie na niekontrolowanych zwierzeniach miłosnych przed jego portretem, doprowadzających ją do ekstazy. I dlatego wybrała tę zimną i wyrachowaną formę zaspokajania swoich cielesnych potrzeb.

Babka miewała również dni mistyczne, białe dni, ponieważ ubierała się wtedy w suknie tego koloru. Jej źrenice powiększały się jak kotu w ciemności, a błękitne oczy nabierały soczystego blasku jesiennego nieba. Nie przyjmowała żadnych posiłków, wypijała najwyżej kieliszek białego wina i nie reagowała na żadne odgłosy, jakby utraciła słuch. Siedziała bez ruchu to tu, to tam i tylko jej twarz wskazywała na to, że jest jeszcze po tej stronie życia. Służba patrzyła na nią ze strachem i politowaniem, a niektórzy czynili ukradkowo znak krzyża, jak przy spotkaniu ze złym duchem. Nawet pokojówka, Motia, starała się być jak najdalej od niej, aby czasem nie zrobić czegoś niestosownego, czegoś co mogłoby zaszkodzić jej samej lub pani i popłakiwała z bezradności.

Najlepiej byłoby powiedzieć od razu, że od chwili przybycia do Kitajgorodki, a więc od dziesięciu lat z hakiem, życie babki można odtworzyć przy pomocy kolorów, które odzwierciedlały stan jej ducha, czy jak kto woli nastrój. Znamy już dni różnokolorowe i białe. Po nich następowały czarne – dni pokory. Gdyby w tym czasie święty Piotr obserwował babkę, zarezerwowałby dla niej miejsce w raj. Motia otrzymywała przymusowy urlop, a wszystkie czynności należące do pokojówki wykonywała sama. Przebaczała również wszystkie winy, nawet za złodziejstwo, co w jej mniemaniu było najcięższym grzechem, nie kazała chłostać, tylko przez pół godziny wciskała do głowy winowajcy nauki moralne, które pomagały jak umarłemu kadzidło, ponieważ w tym na wpół azjatyckim dworku kradli nie dla zysku, lecz z nudy i przyzwyczajenia. Był to nałóg wyssany z mlekiem matki i nawet najsrozsze kary nie były zdolne podciąć tych korzeni.

Motia, która zdołała już poznać nawyki babki, obserwowała bez przerwy jej twarz. Kiedy stwierdziła, że ostre rysy zaczynają nabierać łagodnego wyrazu, wyciągała z szafy żółtą suknię i rozkładała na fotelu w sypialni. I babka natychmiast ją spostrzegła, obojętnie gdzie w tym momencie była, jakby odległość i ściany domu nie stanowiły żadnej przeszkody dla jej oczu. Zamierała na chwilę, a potem pędem biegła do domu, aby się przebrać, wyrzucając sobie po drodze grzech zaniedbywania Michała Jurewicza.

Na tym kolorze zamykało się koło życiowe babki. Lecz tym razem cykl się nie powtórzył, ponieważ przez północną furtkę do parku wszedł nie kto inny tylko sam Michał Jurewicz Lermontow.

Zjawił się w żółtym, w dniu należącym do niego, więc dlaczego babka nie mogła pomyśleć, że jej miłość wstrząsnęła niebiosami i Wszchemogący posłał jeszcze raz na ziemię człowieka, który był opuścił ten padół odrobinę za szybko, aby pożył sobie przyzwocie przy boku kobiety gotowej utoczyć dla niego własnej krwi. Babka nie tylko pomyślała tak, ale również uwierzyła w to, że została wyróżniona jak nikt przez dziewiętnaście wieków i poczuła się tak szczęśliwa, że jeszcze tego samego dnia zawiadomiła depeszą rodziców, że Michał Jurewicz Lermontow zmartwychwstał i obecnie przebywa w jej domu.

Możecie sobie wyobrazić minę Siergieja Piotrowicza po przeczytaniu depeszy. Obląkana w rodzinie przy ich pozycji i stosunkach towarzyskich – to nie mogło pomieścić się w jego głowie. Lecz czarne litery depeszy były faktem tak oczywistym, że poddawanie treści spekulacjom myślowym miało się z celem. Należało jak najprędzej przedsięwziąć odpowiednie kroki. Ale jakie?

Należy tam pojechać – postanowił – i na miejscu ustalić, co trzeba czynić, aby uwolnić córkę od tego urojonego Michała Jurewicza. I zaklął siarczyście przywołując żonę, aby objawić jej tę nowinę.

Ale Michała Jurewicza szlag nie trafił, jak sobie życzył rodzic mojej babki. Co prawda przez całą noc majaczył, ale następnego dnia, przed południem, gorączka spadła i nie podniosła się więcej, a na trzeci dzień wstał z łóżka i podszedł do okna. Jego oczy zwęziły się i upodobniły do oczu zwierzęcia, które nie czuje niebezpieczeństwa, lecz nie dowierzając instynktowi, obserwuje horyzont, aby spokojnie wypocząć. Jego czujny i przenikliwy wzrok przenosił się z miejsca na miejsce, aż uczepił się przelatującego babiego lata i śledził je,

dopóki nie zniknęło w stepowej dali. Wyszedł wtedy na ganek i usiadł w trzciniowym fotelu. Motia natychmiast podała mu gorącą herbatę z konfiturami i zapytała, czy życzy sobie czegoś więcej. Był zaskoczony tym, że wszyscy go znają, a pozdrawiając wymieniają imię ojca, jakby mieszkał tu od urodzenia lub był człowiekiem, na powrót którego oczekiwano od dawna. Ten fakt ucieszył go tak, że poczuł natychmiastowy przyływ sił i poprosił o kieliszek koniaku.

Choroba Michała Jurewicza nie nappełniła babki obawą, była to według niej, dolegliwość nie do uniknięcia. Wszak wiadomo, gdzie przebywał przez tyle lat, więc teraz po zmartwychwstaniu, musi od nowa przywyknąć do ziemskich warunków. Ani przez myśl jej nie przeszło, że może stać mu się coś złego, dlatego zajęła się sprawami nieco przyziemnymi. Kiedy majaczył przez sen i dusił się świeżym powietrzem, zajęta podawaniem proszków i naparów z ziół, babka nie zapomniała zmierzyć go, aby mieć gotową miarę dla krawca, szewca i czapnika. I z tą miarą, zaraz po północy, pognął zaprzęg do guberni, do magazynu mody. Kuźma nie żałował koni, a Prochor, dworski krawiec – pieniędzy, więc zmieścili się w czasie i w granicach żurnalowych wymogów. Bielizna i odzież zostały poddane drobiazgowej kontroli; obejrzone pod światło, a skrawki wełny sprawdzone nad ogniem. Nie stwierdziwszy żadnych wad, babka poleciła umieścić wszystko w pokoju przylegającym do jej sypialni.

Dzień w którym Michał Jurewicz wyszedł na ganek, poprzedzała noc doprowadzania domu do idealnego porządku, więc babka nie wstała o zwykłej porze, ale usłyszawszy jego głos obudziła się natychmiast i po piętnastu minutach była przy nim. Podała dłoń do ucałowania i usiadła obok. Powiedziała, że jest niezwykle rada z jego szybkiego powrotu do zdrowia oraz to, że nazywa się Tatiana Siergiejewna Łopuchina. Nosi nazwisko, które nie powinno być mu obce. Kiedy odpowiedział, że tak jest w istocie, ponieważ nie sposób nie znać Łopuchinów, babka poczuła się jak w siódmym niebie i poleciła Moti podać natychmiast śniadanie. Po spożyciu posiłku pojechali w step, na którym płonęło dużo jesiennych ognisk.

Trudno powiedzieć dokładnie, o czym rozmawiali i co robili przez całych sześć godzin, ponieważ kurhan kozacki, pod którym usiedli na rozesłanej kaszmirowej chustce, otulił się wkrótce dymem z kartoflanych naci i dereniowego chrustu. Lecz nie odbiegnę daleko od prawdy, jeśli powiem, że pod błękitną zasłoną dymną odbył się dość osobliwy dzień poślubny. Kto wie, czy nie tam odsłoniła się dusza kobiety, która została później moją matką? Na pewno tak, ponieważ zawsze była niezwykle aktywna o tej porze roku i mogło godzinami patrzeć na

błękitne dymy snujące się nad polami. Babka zaprzeczyłaby temu, gdyby ją o to zapytano. Nie kruszyłaby kopii o dzień lecz o godzinę. Dla niej to wydarzenie mogło mieć miejsce o zmierzchu, kiedy po raz pierwszy w życiu, taka jak przyszła na świat, przytuliła się do mężczyzny, do swego wymarzonego Michała Jurewicza, którego zaraz po powrocie ze stepu, jak pierwsza lepsza gorączokrwista Horpyna z chutoru, zaciągnęła do swojej sypialni i ułożyła po prawicy w wielkim i miękkim hebanowym łożu.

Od chwili wejścia do parku przez północną furtkę Michał Jurewicz traktowany był przez babkę jako prawowity mąż, a wyjazd w step, cokolwiek tam się wydarzyło, nie był występkiem tylko pierwszą radością małżeńską, ponieważ ich związek zapisany był już w księgach niebieskich. Babka wierzyła w to święcie, więc nie przyszło jej na myśl, że należałoby przed popem potwierdzić ten sakrament. Poczytywała sobie nie za grzech, lecz za cnotę zasypianie każdej nocy pod pachą Michała Jurewicza. Tak mocno polubiła to swoje ciepłe „gniazdko”, że nie zerwała się natychmiast, kiedy Motia przez drzwi zawiadomiła o przyjeździe rodziców, lecz poleżała jeszcze dziesięć minut z otwartymi oczami i dopiero wtedy potrąciła lekko ramieniem Michała Jurewicza, który nie wiedząc jak ma się zachować, udawał, że śpi.

– Michale – szepnęła – Jurewiczu – dodała – za chwilę poznasz moich, a więc i twoich rodziców – i poprosiła, aby włożył ubranie z łódzkiego materiału.

Prezentacja odbyła się w salonie. Michał Jurewicz udał się tam pierwszy. Kiedy babka wprowadziła rodziców, podniósł się z krzesła i uklonił z szacunkiem. Siergiej Piotrowicz zatrzymał się w połowie drogi i zbłądł; jego oczy zaczęły wędrówkę pomiędzy olejnym portretem Lermontowa, wiszącym na ścianie, a twarzą Michała Jurewicza. Podobieństwo było tak wielkie, że wykluczało pomyłkę. A więc córka nie zwariowała – przemknęło mu przez myśl – ale mnie to nie ominie. Zmartwychwstał... Stracił nagle zwykłą pewność siebie, wcisnął głowę w ramiona i zostawiając żonę i córkę na pastwę losu wybiegł z salonu. Opamiętał się w kuchni, usiadł na stołku i poprosił o szklanekę wódki, wypił duszkiem, westchnął ciężko i dopiero po piętnastu minutach już dziarskim krokiem wrócił do salonu. Uścisnął dłoń Michała Jurewicza, co nie było w jego zwyczaju i, jakby nic się nie wydarzyło, zaczął konwersację. Przez całe życie interesował się strategią i taktyką wojenną, więc rozmowa zeszła szybko na te tory. Kanonady bitewne spod Austerlitz, Borodino i Waterloo

zaczęły wstrząsać salonem. Zmieniano szyki wojsk, gońcy pędzili z rozkazami odmiennymi od tych, które były wydane w czasie bitwy, a polityczna mapa Europy została wkrótce całkowicie przewrócona do góry nogami. Pomimo że Siergiej Piotrowicz był w swoim żywiole, z jego twarzy można było wyczytać, iż nie czuje się pewny siebie, a jego wywody nie są w stanie całkowicie zdruzgotać geniuszu Napoleona, jak to dawniej przy podobnych okazjach bywało, choć Michał Jurewicz nie starał się zbijać go z tropu. Wtrącał od czasu do czasu swoje mądre „dwie kopiejki”, które nie były w stanie zmienić losu kampanii, świadczyły tylko o tym, że nie jest dyletantem w tych sprawach.

Wypita przez Siergieja Piotrowicza szklanka wódki zawierała w sobie odwagę na dziesięć minut, więc zaczął ją uzupełniać koniakiem, który znajdował się pod ręką. Po pół godzinie był już lekko wstawiony i zaczął mówić od rzeczy. Babka widząc co się święci, będąc jednocześnie zaskoczona łapczywością ojca, który zwykle stronił od trunków – wypijał zazwyczaj dwa, trzy kieliszki i tylko wtedy, kiedy to było konieczne – zaproponowała przedobiednią drzemkę. Siergiej Piotrowicz nie oponował, przyznał, że rzeczywiście jest zmęczony podróżą, dał się zaprowadzić do sypialni i natychmiast zapadł w kamienny sen. Po godzinie obudził się z krzykiem i popatrzył w okno, aby nie zapamiętać tego makabrycznego snu. Widok za oknem przywrócił go rzeczywistości, więc zdało się to psu na budę – od razu domyślił się, że to Michał Jurewicz buszował w jego śnie. Canaille – szepnął, otarł pot z czoła i krzyknął, by podano chlebowego kwasu.

– Jutro wyjeżdżamy – powiedział kategorycznie do żony, która weszła z Motią i machnął ręką na pokojówkę, aby zostawiła ich samych. – To wszystko działa mi na nerwy. Ten przeklęty Jurewicz doprowadzi mnie do grobu.

– Sergiuszku, co ci się stało? Jurewicz to naprawdę mądry, miły i inteligentny człowiek.

– Miły, inteligentny – sapnął ze złością. – Wy, baby – chyba po raz pierwszy w życiu określił tym mianem kobiety ze swojej sfery – nawet w diable znajdziecie niebo. Mądry! Miły! Bądź łaskawa polecić, aby podali mi wina. I nie odchodź! Chcę być z tobą. Wstyd mi się przyznać, ale się boję. Bóg wie czego, ale się boję.

Opróżniona przez Siergieja Piotrowicza butelka wina nie przyniosła genialnej myśli, przybyło mu tylko jeszcze parę siwych włosów. Cud zmartwychwstania nie został rozwiązany. Z jednej strony bojaźń przed Bogiem, w którego istnienie nie wątpił, z drugiej –

odrzucając moc nadprzyrodzoną – obawa przed śmiesznością lub groźbą rzucenia nieprawomyślnego cienia na swoje nazwisko. Jeśli cud – popi, cerkiew, pielgrzymki, jeśli nie – przesłuchania, ochrana, diabeł wie co. Może Sybir?

Im dłużej myślał o tym, tym straszniejsza wydawała się teraźniejszość i przyszłość. Nic tylko się powiesić! Zapędził siebie w ślepy zaułek i nie pozostało mu nic innego tylko przytulić głowę do kolan siedzącej obok żony i zadać pytanie: co teraz pocniemy?

A moja prababka siedząc przy zrozpaczonym mężu myślała, jak większość kobiet w jej wieku o podobnych potrzebach duchowych, o Tani, która nie tak jak ona, umiała osiągnąć to, czego pragnęła, więc odpowiedziała, że co się stało, nie może się odstać, a im pozostało tylko udzielić błogosławieństwa rodzicielskiego.

Od tych słów Siergiej Piotrowicz stał się purpurowy i podniósł gwałtownie głowę, lecz po chwili znowu ją opuścił. Nie miał siły walczyć dalej z wiatrakami, ale był tak wyprowadzony z równowagi, że musiał się na czymś wyładować. Zdjął więc strzelbę ze ściany, wyszedł na dwór i kazał osiodłać konia. Na ganku sprawdził pas z nabojami i naciągnął długie giemzowe buty. Kiedy Kuźma przyprowadził wychudzoną kabardynkę, wskoczył w strzemiona z dziarskością dżygita, gwizdnął na charta i jak szalony pogalopował w step. Przez całą godzinę dźgał ostrogami chabetę, kołował i kluczył po parowach szukając zwierzyny. Nie był nigdy zawołanym myśliwym, szybko wystrzelał wszystkie naboje, nie czyniąc nikomu szkody i uspokojony już nieco, zeskoczył z konia i usiadł pod dereniowymi chaszczami. Po chwili usłyszał trzask suchych gałęzi, odwrócił głowę i dostrzegł dziewczynę w czerwonym kaftanie. Uśmiechnął się, zerwał na równe nogi i skierował lufę zdezelowanej „tutki” w tamtą stronę. – Wyłaż – krzyknął groźnie. Kiedy przestraszona dziewczyna stanęła przed nim, zagryzł wargi, aby się nie roześmiać, odłożył strzelbę i ujął w dłonie jej twarz. Spoważniał nagle, głęboka rysa przecięła czoło. W podobnych okolicznościach trzymał w dłoniach twarz dziewczyny dwadzieścia pięć lat temu pod Wołogdą. U swojego praszczura wyobraźnia zawsze górowała nad wiedzą i zdrowym rozsądkiem, przeniósł się więc w tamte czasy, nachylił się i zaczął całować usta córki chutorowego czabana szepcząc sentymentalne głupstwa. Po krótkiej chwili wyprężone ciało dziewczyny rozluźniło się, oddech stał się głębszy i nieregularny, zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła za sobą na ziemię.

I Siergiej Piotrowicz przeżył to, czego nie doznał ćwierć wieku temu z powodu tremy. Ta krótka chwila z taką niezmierną mocą przepłynęła przez niego, iż wydawało mu się, że przestał istnieć, że nigdy nie istniał, że to wszystko, co przeżył, było złudzeniem, odbiciem krzywego zwierciadła i dopiero teraz ujrzął świat w jego czystej postaci.

Kiedy wrócił do rzeczywistości i poczuł ziemię, na której funkcjonował jako wysoka osobistość rządowa, odwrócił się na wznak i spod przymkniętych powiek patrzył na wysokie bladoniebieskie niebo, mocno przyciskając do siebie ciepłe ciało Natalki.

Leżał dość długo, a potem, trzymając w jednej ręce lejce kabardynki, w drugiej dłoń dziewczyny, nie odczuwając potrzeby mówienia, ruszył w kierunku owczarni, gdzie w przybudowanej ciupce do późnej jesieni mieszkała Natalka z ojcem. I tam, gdy już rozpała ogień w glinianej kuchni i odgrzała barszcz, jeszcze raz, już w pośpiechu, ponieważ od kozackiego kurhanu zbliżało się powoli do zagrody owcze stado, na wybrudzonych baranicach jeszcze żywotne lecz już zdegenerowane arystokratyczne nasienie, zostało przyjęte przez zahukaną lecz piękną stepową dziewczynę.

Do domu wrócił przed północą cuchnąc samogonem i na pytanie żony: gdzie się tak długo podziewał, odpowiedział, że był w niebie. – W najprawdziwszym niebie – dorzucił i nie ściągając butów runął na sofę i po chwili zachrapał.

Przed świtem, tak jak po śniadaniu, obudził się znowu z krzykiem, znowu przyśnił mu się Michał Jurewicz, który tym razem gonił za nim z brzytwą chcąc go wykastrować. I nie tylko jego, lecz cały ród. Zapewniał także, że nie oszczędzi jego zwierzchników, podwładnych i przyjaciół. Sen był tak sugestywny, że mimo woli sprawdził, czy rzeczywiście tak się nie stało.

Pomimo ciemności i tępego bólu głowy po wypitym samogonie Siergiej Piotrowicz opanował strach, opuścił nogi z sofy, oparł głowę na dłoniach i zamyślił się. Instynkt podszeptał mu, że jego sny są alegoriami, są snami Jakubowymi, że Michał Jurewicz jest szczeblem jakiejś cholernej drabiny i najrozsądniej będzie usunąć mu się z drogi. Jeśli Bóg tak chce – niech się stanie, jeśli diabeł – niech Bóg sobie z nim radzi. On wraca – jak zapowiedział – do domu i obudził żonę, aby przygotowała się do podróży.

Prababka, Szuroczka, jak ją nazywał Siergiej Piotrowicz, nie oponowała, choć nie była zachwycona takim nagłym wyjazdem. Ale zachowanie męża mocno wykraczało poza ramy

dobrego tonu, nie mówiąc już o serdeczności rodzinnej, a wciśnięta w ramiona głowa i niezdrowy blask oczu świadczyły o tym, że coś niedobrego z nim się dzieje i dłuższy pobyt u córki jest niewskazany.

Szuroczka nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zdołała i przy tym ogniu upiec swojej pieczeni. Zaraz po śniadaniu, w chwili wstawania od stołu, chwyciła rękę męża i uśmiechnęła się do Michała Jurewicza.

– Chodźcie, dzieci – powiedziała – udzielimy wam błogosławieństwa – i pociągnęła Siergieja Piotrowicza do narożnego pokoju, w którym poprzedni właściciele majątku umieścili ikonostas.

Po wypowiedzeniu sakramentalnej formułki Siergiej Piotrowicz szybko złożył pocałunek na czole córki, a następnie, tak jak wczoraj Natalki, objął dłońmi twarz Michała Jurewicza i bardzo długo patrzył w jego ciemne, błyszczące oczy. Stwierdził, że to co w nim tkwi, czym od dłuższego czasu żyje, ma niezwykle głębokie korzenie, których już nic nie zdoła podciąć. To mówiły oczy, a łagodne, prawie dziecinne rysy twarzy szeptały, że nie są w stanie sprostać wymaganiom sokolich źrenic i będą musiały na jakimś tam rozstaju wziąć rozbrat ze sobą. Siergiej Piotrowicz zrozumiał nagle, stało się to jasne jak słońce, ale tylko na chwilę, że jego los i los sławetnych i podobnych jemu Łopuchinów, będzie zależny od takich oczu i rysów twarzy. Wierzył w to dopóty, dopóki nie objął myślami granic imperium rosyjskiego, a potem to wszystko wydało mu się tak wielką nedorzeczością, że zdziwił się, iż coś takiego mogło zakiełkować w jego głowie. Popatrzył więc na Michała Jurewicza, już nie jak na zjawę z tamtego świata, czy postrzelonego głupca, lecz jak na małego urwisa, któremu należy z uśmiechem zburzyć czuprynę. Uczynił to i już ze spokojem, z tym dawnym i podziwianym przez wszystkich stoickim spokojem, wziął żonę pod rękę i poprowadził do powozu, który miał ich zawieźć na stację kolejową. Na pożegnanie kiwnął dłonią i uśmiechnął się. Michał Jurewicz odwzajemnił się tym samym, lecz jego uśmiech miał zupełnie inne zabarwienie. A jak wiadomo, kolor na tym świecie odgrywa bardzo istotną rolę, teraz i zawsze i po wieki wieków...

2.

Nie skończyłem modlitwy, więc nie mówię amen, zamiast tego zadaję sobie pytanie: dlaczego zawsze przychodzę na świat jako mężczyzna? Węszę w tym wielki szwindel. Bo czy to nie ironia rodzić się zawsze z kutasem i jak przysłowiowy kutas zaczynać wszystko od początku. Albo ktoś przeze mnie naigrywa się z natury, albo jest to proces odwrotny. Tak czy inaczej stoję na straconej pozycji. A to moje „ja”, którym tak się szczyliłem i obnosiłem jak z jajkiem, co w tej chwili widzę bardzo dokładnie i w jasnym świetle, w osiemdziesięciu procentach składało się z tego organu. W perfidny lecz delikatny sposób podporządkował mnie sobie tak, że w końcu zostałem błaznem. I tak przegrałem życie. Czy życie? Nie wiem! Ja w każdym razie przegrywałem. Obojętnie jak zaczynałem i kończyłem. Początek był zawsze jednakowy. I koniec. A to, czym je wypełniałem, było zawsze końcem początku. U innych chyba jest podobnie. Mogą jedynie wystąpić małe niuanse czy subtelności, mało radosne radości, ślepe zapatrzenia, którymi nie warto zwracać sobie głowy. Ale czułem żal. Do siebie. Czułem się winny. Już na progu byłem napiętnowany. Często myślałem o tym, chcąc zrozumieć albo rozważyć z uwagą te niejasne punkty, lecz w miarę wgłębiania się w tę delikatną materię następowała reakcja łańcuchowa jak przy wybuchu jądrowym, czułem się oślepiiony i osaczony, niezdolny do jaśniejszego błysku i jeśli nie z pokory, to z przykrości biłem się w pierś, obiecując sobie setki razy, że ten problem rozgryzę w inny sposób, w bardziej dogodnej chwili, nie można przecież żyć bez wyjaśnienia. Ale w miarę upływu lat ciekawość słabła, choć nic się nie zmieniało. Głowa odmawiała posłuszeństwa, oświetlała tylko jedną stronę, bardzo nikle, i przekazywała większość swoich obowiązków oczom, które, nawet dosyć bystre, niewiele dostrzegały. Można by powiedzieć, że zgubiły mnie oczy, które różniły się od siebie nie tylko siłą wzroku, ale również kolorem. Posługując się takimi oczami można widzieć wszystko na opak i nie wiedzieć, że jest się oszukiwanym. Ale to tylko wykręt, ponieważ nigdy nie czułem się oszukany, raczej porzucony. Tak, to właściwe słowo, jeśli słowa cokolwiek potrafią przekazać, to porzucony, a może podrzucony lub wrzucony. Taki jest mój początek lub, jak kto woli, koniec. Dla mnie jest to ciąg dalszy, nieustanny, w tej chwili dosyć radosny, nie aż tak żeby śpiewać, ale wystarczająco znośny, ponieważ na tyle już umarłem, że nie czuję bólu serca i jego głupich zrywów, na które cierpiełem do niedawna. Serce to uciążliwy przyjaciel. Nie, to nieściśle określenie, to raczej umierający w tobie

krewny. A przyjacielem jest ono tylko dla tego wstydliwego organu, który okrywa się listkiem figowym. To doborowa para, znam ją znakomicie, dopełniona przez ducha przeistaczania się w człowieka, który wiecznie będzie umierał, rodził się, zmartwychwstawał, powracał, tylko po to, aby być zbawiony. To dziwne, że i ja tego pragnę. Nie wiem przecież, co to słowo, raczej jego treść w całej swojej jasności znaczy. I czy w ogóle zbawienie jest możliwe? Może chwytając za pióro, zapelniając koślawymi literami kartki papieru, pracuję na swoje zbawienie? Może ten, o którym czasem myślę, nieraz nieświadomy tego, ponieważ wznoszę się ponad myślami, potknie się przez przypadek o którąś z metafor, zauważy mnie, spojrzy przychylnie lub przedłuży wzrok – tak czy inaczej byłaby to wielka łaska. Więc nie zatrzymuj się. W drogę, mówię do siebie, znac biel, narzuć na nią siodło, dosiądź białego konia z rzędem, nie przeżywaj błogosławionych dni w ciszy. Uważaj, żebyś się nie spóźnił, jak zwykle, po dzwonku nikogo już nie wpuszczają. Dźwięk należy usłyszeć przed uderzeniem serca. Nie mówię o swoim, lecz o sercu dzwonu. Ale to określenie pasuje również do mnie. Niech będzie, że i o moim.

Miałem kiedyś serce, które kochało najbardziej Tatianę Siergiejewnę Łopuchinę, teraz już nie, pamiętam tylko, że coś takiego przepłynęło przeze mnie. Myśli przypominają mi o tym, lecz nie jestem pewny, czy to są moje, czy zostawione przez nią, i zadowolone na dobre w mojej głowie, na jej chwałę. To całkiem możliwe. Odwzajemniona ona miłość pozostawia po sobie ślady. Więc aby dopełnić ten ślad, muszę jej coś ofiarować. Ale czym mogę ją ozłocić, co może człowiek dać człowiekowi? Prawie nic, zupełnie nic, najwyżej spełni miłosierny uczynek. Upokarzające! Prześlę jej tylko życzenia. Pamiętam, że pod koniec życia było jej zawsze zimno, więc życzę jej dużo płomieni. Niezły pomysł z tym ogniem, sam czuję ciepło i dostrzegam ją w tej chwili, kiedy po raz pierwszy, zastanawiam się czy nie ostatni, zaszła w ciążę. Co za okropność mówić o tym, nie o babci, lecz o zawiązaniu, namacalnym początku matki. Nie mogę o tym, za wcześnie, odłożę to na później. W zasięgu mam Michała Jurewicza, który w rzeczywistości nie był zmartwychwstałym Lermontowem, lecz tuzinkowym rosyjskim Pietrowem, ale za to jednym z nielicznych oficerów zbuntowanego pancernika „Potiomkin”, którego marynarze nie ukatrupili. Prawdopodobnie jemu też nie podobały się robaki w barszczu. Na pewno się ich nie tyle brzydził, co bał, jak każdy mały człowiek. Okropny typ, jeden z licznych naprawiaczy świata, z tych którzy wierzą, że za

pomocą pałki, drutu kolczastego czy pełnych półek szynki zmienia życie. Co za bzdura! I wyobraźcie sobie, że nazwałem go dziadkiem, choć nie byłem jego wnukiem, to znaczy wnukiem na papierze, to samo było z ojcem. Ale ojciec to całkiem inna sprawa. O ojcostwie bardzo często myślałem. Nawet w moim przypadku muszę mieć ojca, nie można go nie mieć, należy go tylko odnaleźć, wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy poznam prawdziwą jego twarz i prawdziwe szczęście nawiedzi moje karle ciało. To moja nadzieja, jedyna, bez żadnego pokrycia, rozwiewana przez każdy wschód i zachód słońca, a szczególnie przez noc, kiedy jest bardzo trudno cokolwiek widzieć, nawet tymi innymi oczyma, to znaczy dostrzec coś pokrzepiającego nadzieję, bo tę przestrzeń, gdzie myśli i uczucia, a nawet serce, wyklócają się o swoje racje, widać, nie powiem, że w świetle, ale na tyle wyraźnie, iż nie można mieć złudzeń, że jest ona zniekształcona. Te wgłębienia przerażają i usypiają, nie można się przez nie przesiać, by sięgnąć głębiej czy wyżej, więc rzadko tam teraz zaglądam, by nie dać się omamić i wciągnąć w jakąś bzdurną aferę. Teraz cieszę się tylko nadzieją i czekam, aż moje oczy zajaśnią i będą płonąć jak oczy gruzlika. Wyobrażając to sobie chciałem się uśmiechnąć, ale nic z tego, podobnym blaskiem, jest to niezaprzeczalny fakt, żarzyły się oczy dziadka. Zastanawiający szczegół? Nie, to niemożliwe, to nie był blask szczęścia, to był najwyżej blask serca lub myśli, bo jeśli byłoby inaczej, nie sięgałby ciągle pod spódnicę babki. Co za manowce! Ale jeśli już dotarłem do spódnicy, pożałuj boże, to muszę wyjaśnić, że babka widząc te jego uroczyste oczy myślała, że szuka natchnienia; do śmierci była święcie przekonana, że jest jednak Lermontowem i nie tylko niczego mu nie wzbraniała, lecz starała się wszystko ułatwić. Dlaczego okłamywała siebie? I czy okłamywała, jeśli pragnęła tego i wierzyła w to? I znowu manowce! On niczego tam nie szukał, składał siebie w grobie, był już martwy, bo pełen strachu, choć nie miał się czego obawiać, a jeśli tak, to nie więcej niż każdy mający jedno życie, bo inne ślady tej jego rewolucyjnej działalności zostały z niego zmasane. Tak mało dni i nocy miał poza sobą, można powiedzieć, bardzo cichych, jeśli wykluczmy krzyk narodzin, lecz litość brała patrzeć na niego, kiedy opuszczał, bez żadnego powodu, ni z tego ni z owego, obojęcie, pokój czy jakiegokolwiek miejsce, w którym się znajdował, aby zapyłoną drogą ruszyć w step z laską w ręku, którą jak ociemniały badał grunt przed sobą. Było z nim złe, jednak nie na tyle, aby wzbudzić moją troskę; ani teraz, kiedy już go nie ma, kiedy mnie nie było, ani wtedy, kiedy byliśmy razem, nigdy nie troszczyłem się o jego los, a

on nigdy nie zabiegał o to, a może mi się wydawało, jest to możliwe, ponieważ jego twarz nie wyrażała zmartwienia, kiedy postukując laseczką szedł w stronę kurhanu. Był wyczerpany, tego nie można ukryć, przystawał co chwila, a nawet siadał na skraju drogi, niekończącej się drogi i patrzył w ziemię, zawsze w ziemię, nigdy na niebo albo gdziekolwiek indziej, jakby tam znajdowała się odpowiedź, częściowo na pewno, na wszystkie dręczące go pytania, ale ten swój stan składał na karb miłosnych ekscesów i odczuwał z tego powodu pewnego rodzaju dumę. Ale teraz nie płał się w dumie, twarz miał zamyśloną, a raczej trawioną przez czas wewnętrzny, okrutny rzecz można, bo co chwila wciskał głowę w ramiona, jakby zapadał w siebie i stawał się mniejszy. I jeśli ten fakt wydawał się wtedy złudzeniem, to teraz, mając w zanadrzu odpowiedni dystans, stwierdzam, że tak było w istocie. Niewielkie to odkrycie, ale godne podkreślenia w przypadku dziadka, bo o ile w stepie, z laską w rękę, a więc w najczystszej ludzkiej postaci, pełen niepokoju czuł, może nie pokorę czy pogodzenie, ale pewien rodzaj rezygnacji, to po powrocie do domu, w czterech mocnych ścianach okrytych solidnym sufitem, u boku babki uzyskiwał, jakkolwiek by na niego patrzeć, zawsze fałszywy wymiar i stawał się niezwykle aktywny. W wiadomy, bo najprostszy lecz na razie najdoskonalszy w tym wieku sposób, usypiał babkę, a następnie zasiadał do biurka i zaczynał pisać listy do swoich, nie powiem bliźnich, na to się nie odważę, być może przyjaciół, z którymi jadał kiedyś czarną polewkę. Na drugi dzień wychodząc w step z determinacją darł te listy i rzucał na śmietnik pomiędzy grzebiące tam kury i inne ptaki. I ten cykl wyczerpałby swoją energię i spopielił się, jak wszystko, lub przemienił się w jakąś inną fobię, jeszcze bardziej bezsensowną lecz perfidniejszą bzdurę, gdyby jeden z listów nie trafił na pocztę. Dziadek później przysięgał, że osobiście nie przyłożył do tego ręki, być może ktoś ze służby z dobrej chęci czy przekory nadał temu bieg, a może nie podarte papierzyisko porwał ze śmietnika wiatr-suchowiej i rzucił pod nogi jakiegoś błędnego rycerza, który doręczył go adresatowi myśląc, że spełnia tym dziejową misję, bo każdy myśli, że ją spełnia, ponieważ to dodaje mu otuchy i godności. Ale nie podniecajmy się, choć jest to nieszkodliwe, a w moim wypadku nadto bezowocne, gdyż sucha gałąź też lubi wiatr, czuje się martwa lecz nie porzucona lub zapomniana. Kiedyś sama myśl o podnieceniu podniecała mnie, teraz ciało już nie może tego udźwignąć i chyba brakuje mi tej specyficznej krwi, która jak przy gniewie napływa do oczu, nadając twarzy bardzo ograniczony wyraz. Zapewne wypłynęła ze mnie w

czasie tego wypadku, o którym wiem, ale o tym być może opowiem później, w każdym razie w tej chwili czuję się letni, że nawet Bóg nie potrafiłby mnie podniecić, gdyby istniał. Bóg? Muszę przyznać, że ciągle wątpię i to mnie bardzo często doprowadza do szewskiej pasji, a jeszcze częściej do czarnej depresji. Wiem, że moje wątplenie jest bezzasadne i niewątpliwie – powiedziałem niewątpliwie – zależy od kaprysów mojej wątpiącej natury. A podobną naturę miał dziadek, tylko że jego wątpliwości chodziły po ziemi. Ta jego cecha objawiła się później, do dwudziestego roku, nie życia ale naszego stulecia, taka anomalia w nim wcześniej nie występowała, był normalny, raczej nienormalny, dla zgody powiedzmy: nienormalnie normalny, ponieważ uważał, że żyje w piekle, co mnie zupełnie nie bulwersuje, bo niejasne mam wspomnienie ze snu czy jawy, nawet w tej chwili, to znaczy w takim momencie, kiedy się czuję martwy jak artysta. Ciekawy jest ten ostatni człon zdania, martwy jak Bóg, prawie to najwyższy hołd, jaki jestem w stanie złożyć ziemskim niebiosom bez specjalnej okazji, mimochodem, jak szary przechodzień, którego nikt w życiu nie zaszczycił zaproszeniem na wernisaż, a on z tego powodu przeżywa wielkie upokorzenie. I tak jak z tym przechodniem było również z Michałem Jurewiczem, ale przekonał się, nieraz dość długo musiał czekać, jeśli za miernik weźmiemy jedno życie, że te ręce, do których dotarł jego list i które natychmiast się wyciągnęły, aby go uścisnąć, były chłodniejsze od tych, których do człowieka nie chce wyciągnąć natura, choć nieraz tego bardzo pragnie, obiecując sobie po tym wiele, a nie doczekawszy się chwytła w ramiona najbliższą sobie podobną marność, zakochuje się z nienawiści i do nienawiści, aby choć na chwilę się uspokoić i oddać swoje ciepło, raczej zrobić handel wymienny jak w czasach pierwotnych lub w latach wielkiego kryzysu. Taki stan trwa nieraz długo, jednakowo się kończy, jak wszystko na ziemi, nie mówię tu o wyjątkach. Bogu podobnych szaleńców, którzy sięgają tak daleko, że stają się głusi i nie słyszą alarmu rozumu, a nawet serca. O takich pomyślnych myśli się zawsze z przyjemnością, więc będę go bronił do upadłego, tak jak nigdy nie broniłbym Michała Jurewicza. A to dlatego, że w dziadku nie było szaleństwa, a jeśli tak, to nie to, o którym myślę, ponieważ nic nie świadczy o tym, że był, jest czy będzie tam, gdzie nie ma nic bezsensownego, za to rękę głową i jednocześnie poświadczam, że ten mierny kawałek ziemi, na której żyjemy, chciał przemienić w jakąś tam ziemię obiecaną – obiecanki-cacanki? – i przez ten jego dziecinny upór, co prawda niedługo trwający, jak wszystkie jego odruchy, musiałem wylać dużo swoich

dziecięcych łez i to tam, gdzie nikt nigdy nie wierzył, teraz też nie, łzom. O tym że dziadek źle skończy, wiedziałem jeszcze przed narodzeniem, swoim? może i jego, to nie takie istotne, i jego śmierć zupełnie mnie nie zaskoczyła, tak jak nie zaskoczyły mnie moje narodziny. Jeśli już doszliśmy do zaskoczenia, to przywołajmy babkę, która poczuła się zaskoczona patrząc na istotę, którą zaanonsował Kuźma.

Był wczesny ranek, bez słońca, nie można powiedzieć ponury, bo po ciemnej nocy najciemniejszy blask jest zwiastunem, że wszystko posuwa się jeszcze do przodu, i jeśli ktoś jest naiwny, nijakiego serca, cieszy się od samego rana, że coś mu z tej światłości zostanie wydzielone. Ten okruch istnienia, zakurzony i zmęczony, przypominał kłowna, którego skłonność do lubieżności pozbawiła talentu, a on, nie wierząc w to, czuje nienawiść do całego świata i widzi w sobie przyszłego Dawida. Przeczucie mówiło babci, aby tego człowieka odprawić z kwitkiem, więc wyszła z zamiarem objawienia mu, że Michała Jurewicza dawno diabli wzięli, lecz usłyszawszy nazwisko, które zapamiętała jako gruzińskie, załamała się kompletnie i nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa, ponieważ wszystko, co miało jakikolwiek związek z Kaukazem, pachniało dla niej nieszczęściem. Przeczucie, które tyle razy ją zawodziło, tym razem spełniło się, to znaczy spełniło się później. Mówię o tym bez entuzjazmu i radości, odwrotnie niż zaśpiewałaby o nim babka, o, na pewno byłaby to litania z piekła rodem. Oszołomiona kaukaskim nazwiskiem, które wywołało tak intensywny proces skojarzeniowy związany ze śmiercią Lermontowa, zmuszona była spocząć w wiklinowym fotelu i zanieść się szlochem. A zwiastun jej nieszczęścia uklęknął przed Tatianą Siergiejewną i zaczął nucić jej jakąś starą, pełną bólu i nadziei, a więc zarazem nudną i piękną, góralską melodię.

Każdy wstający dzień jest pusty, a ty, który obiecywałeś sobie tyle po nim, stwierdzasz nagle, że nie wiesz, jak zacząć żyć, aby uniknąć myśli o powrozie lub litanii do wszystkich świętych, a przecież musisz zrobić pierwszy krok, więc chwytasz wczorajszą myśl jak wybawienie i pędzisz na złamanie karku. Mój Boże, ile trzeba milionów lat, aby z człowieka wyklął się człowiek? Muszę zacząć obserwować siebie, będzie to ciekawsze niż nudzenie o dziadku, który z Gruzinem tak zaciekle dyskutował o budowie nowego krzesła tronowego, jakby to miał być dziewiąty cud świata, o, wypowiedziałem słowa babki, bo to ona powiedziała, że jeśli dopną swego, to zapewne będzie to cud zbudowany w sali krzywych

zwierciadeł. Och, jaka ona mądra, jaka kochana, ta moja Tatiana Siergiejewna, ona również powiedziała, że dojdę bardzo daleko, sprawdzę więc, dokąd doszedłem, a jednocześnie będę obserwował siebie. Stać mnie na to, mogę harować za trzech, bo wydaje mi się nieraz, że jestem tak silny, jakbym stanowił trójkę.

3.

Parę słów o sobie nie zaszkodzi powiedzieć, nie zrobię afrontu, jeśli przypomnę sobie, że jeszcze istnieję, chociaż coraz rzadziej patrzę w niebo przypadkowo, nie myśląc o nim wcale, nie tak jak dawniej, kiedy spodziewałem się po błękitnie Bóg wie czego. Naiwne dni minęły. Śmieję się teraz z tego, może tego nie widać po mnie, ale ja wiem, że się śmieję, i to z rzeczy, do których trzeba mieć zawsze pozytywny stosunek. Rodzę się wielokrotnie, lecz nie umieram. Osiągnąwszy dojrzałość zaczynam się kurczyć, maleję z dnia na dzień i z roku na rok, aż staję się niewidzialny dla ludzkich oczu. Kiedy osiągam to stadium, zaczynam czuć zapach kobiety. Jest to kres moich godów. Wtedy przestają istnieć dla mnie rzeczy niemożliwe, nic nie jest w stanie zahamować mojej wędrówki do miejsca przeznaczenia – zapłodnionego jaja kobiety. Osiągnąwszy cel moja dotychczasowa pamięć urywa się, staje się ciemnością, a zaczyna się nowa, wykształcona już w formie płodowej i sięgająca do trzeciego, najwyżej czwartego pokolenia rodu, który mnie wydał na świat. Nie wiem, czy od pierwszych chwil ja staję się człowiekiem, czy też to co ludzkie wchłaniam w siebie i staram się modelować na swoje podobieństwo. Teraz kiedy jestem na etapie karła, humor jest mi nieodzowny, ponieważ rozwój mojego ciała przebiega proporcjonalnie z rozwojem epoki i krainy, w której żyję. W jakiej krainie? Nie wiem, mogę sprawdzić w atlasie, wydaje mi się, że leży ona w Europie, przecucie i drobne oznaki mówią mi o tym bez przerwy, nawet przekonują, ale ja już nie jestem taki głupi, żebym ogłaszał wszem i wobec, że jest tak w istocie, może już zmieniono nazwę tej krainy i ludzie mówią innym zupełnie językiem, nie wszyscy oczywiście, zawsze ktoś zostaje, żeby świadczyć o czymś lub o kimś. Wybryki mojej natury nie docierają do mnie, pożegnałem się już z płonnymi kwiatami, odnalazłem siebie, niezupełnie, na tyle na ile może to osiągnąć przebywające na ziemi dwunożne stworzenie,

któremu dano długie noce do rozmyślania. Bo co można robić w tej ogromnej kuli czasu, będąc samemu czasem, który należy wypełnić lub przefiltrować przez zmysły, aby wyłowić, no właśnie, co wyłowić? nie wiem, może klątwę rzuconą na ciebie lub przekazywaną przez ciebie. Ta wersja jest również możliwa jak tysiące innych, które defilowały przeze mnie nadwyrężając drogę, którą kroczę, nie do celu lecz mety, ale kiedyś być może i ja dorobię się celu i będę błogosławionym dniem, zniknę albo przynajmniej zatracę się do tego stopnia, że nie będę odczuwał potrzeby wiary, ktoś inny, dla swojej chwały, będzie niósł mój ciężar i radował się z mojego upadku, to jest ze spełnionego mojego marzenia. Znowu nadzieja, nie daj się nabrać na te kolorowe kamyczki i perkalikowe sukienki, to nie dla ciebie chleb, ty rośniesz w głąb siebie, kurczysz się jak wszystko we wszechświecie. To fakt niezaprzeczalny, jestem coraz mniej sprawny fizycznie i teren penetracji organoleptycznej jest coraz bardziej ograniczony, dojdę najwyżej do drzwi, nieraz udaje mi się zajrzeć na korytarz, na którym nigdy nic ciekawego się nie dzieje. Jakaś kobieta przynosi mi jedzenie, często siada przy mnie i patrzy, jak spożywam dary boże, a jeśli nie mam ochoty wziąć łyżki do ręki, karmi mnie jak niemowlaka, wypowiadając przy tym bardzo dużo słów, które mnie denerwują, więc staram się jak najszybciej opróżnić talerz, nieraz wrywając jej łyżkę z ręki. Odczuwam satysfakcję z powodu pozbawiania jej tej przyjemności. Twarz kobiety wydaje mi się dziwnie znajoma, być może to jest moja matka lub żona. Nie jestem tego pewien, chociaż śmierć matki, tamta zapamiętana chwila, przemawiają za tym, że jest to raczej żona, ale z powodzeniem może to być ktoś zupełnie obcy, ktoś kto przygarnął mnie w imię takiego czy innego uczucia lub obowiązku, tak jak przygarnia się bezdomnego psa. Ta niewiadoma przyprawia mnie często o zawrót głowy. Pytałem wielokrotnie, kim jestem dla niej. Nie dała mi jasnej odpowiedzi. Powiedziała tylko, że sam wiem najlepiej. A ja naprawdę nie wiem, kim jestem dla niej. Może zapomniałem? Wszystko kończy się na tym pamiętnym dniu, kiedy dostrzeżono nagle tę moją osobliwą cechę karlenia, rośnięcia w głąb siebie na podobieństwo czarnej dziury. Wtedy to zdzielił mnie ktoś na klatce schodowej, nie, raczej w windzie, tępym narzędziem w tył głowy. Nie wiem, jak długo leżałem bez pamięci, w każdym razie obudziłem się w pokoju, w którym powoli dochodziłem do siebie, i teraz mieszkam. Nie macie pojęcia, jak chciałbym umrzeć choćby pod płotem, jak włóczęga lub przysłowiowy pies i zostać pogrzebanym w ziemi, znać swój początek i koniec, trzymać w zanadrzu pewność na zbawienie lub potępienie. A tak

jestem tylko trwaniem, dobrym czy złym? snuję myśli na ten temat i nie dochodzę do niczego. Odnoszę wrażenie, że mieszkam w domu wariatów, choć nic nie wskazuje na to, że tak jest w istocie. Przez całe życie takie myśli mnie nawiedzały, więc musi w tym tkwić odrobina prawdy. Myśli nie rodzą się bez powodu, tak jak bez powodu nie pisze się książek czy nie odmawia modlitwy. A miłość? Próbowałem żyć w miłości. Może nawet żyłem tym upojeniem, na pewno tak, nie zdawałem sobie tylko z tego sprawy i traciłem wszystko, bez żalu, wtedy bez żalu, teraz już nie, teraz jest we mnie żal za tym straconym. Teraz też nikt na mnie nie czeka, ja czekam, i przeklinam wszystko i wszystkich, nawet siebie. Wściekły, prawie szalony opuszczałem dom i gnałem przed siebie, nie widząc niczego prócz swego jasnowidztwa, zawsze fałszywego w skutkach lecz nieomylnego w wołaniu, do chwili aż na swojej drodze spotkałem osobnika zdążającego w przeciwną stronę. To był kres drogi na ten dzień. Zamienialiśmy parę słów nic nie znaczących, najczęściej o pogodzie, urodzajach czy kryzysie rządowym, nigdy o tym, co nas spalało, gnało, zżerało, zawsze udawałem, że spotkaliśmy się przypadkowo, uchylaliśmy kapeluszy i zaczynaliśmy odwrót. Wracając zbaczałem z drogi, kładłem się na wznak, leżałem krzyżem z twarzą ku słońcu, zawsze ku słońcu, pod samotnym drzewem, zawsze samotnym, najczęściej dziką jabłonią, pod drzewem życia, prosząc by nauczyło mnie żyć. Nie podnosząc się zjadałem dwa lub trzy cierpkie jabłuszka i moja wściekłość opuszczała mnie, wstawałem raz pocieszony, jakbym spełnił chwalebny uczynek, innym razem z przeświadczeniem, że przeze mnie objawia się światu jakaś tajemnica. Co za nonsens!

Czuję, że nie utrzymam nerwów na wodzy, może mnie ponieść jak Atyllę przez stepy i oślepić. Lecz żeby siebie chociaż trochę ukoić, żebym nie poczuł się zdradzony przez samego siebie, powiem, że jest to prawdopodobnie przyległość dziedziczna, a mnie tą cechą obdarzyła babka Łopuchina. Leżała ona bardzo często w ciemnym zakątku, wymęczonego przez stepowe słońce parku, pod zeschlą na wpół wiśnią, drzewem prawie bez życia, na coś czekając. I niezależnie od koloru, który zawsze odzwierciedlał stan ducha babci, jej twarz na moment stawała się zimna i obca jak u nieboszczyka, nawet oczy, szeroko otwarte i błyszczące dziwnym blaskiem, nieruchomiały. Ten stan nie trwał długo, lecz zabierał nieraz pół dnia. Wstając nie czuła się oziębiała, nie, tego nie można powiedzieć, lecz również nie była uduchowiona, czuła tylko bardzo mocno swoją pleć. Tym razem zerwała się jak oparzona i

biegnąc na oślep przez chaszcze, zostawiając kawał sukni na wywróconym pniu, radosnym krzykiem oznajmiła, że jest brzemienna. Motia wystraszona krzykiem swojej pani wybiegła naprzeciw, przytrzymała w ramionach i już szlochając zaprowadziła do dworu.

Jej rachunek z kosmosem został otwarty – powiedział Gruzin, który od paru dni przebywał we dworze, kryjąc się przed policją depczącą mu po piętach. Historia fałszuje ten fakt i umiejscawia go w zupełnie innym miejscu i w innych wymiarach. Nikt oczywiście nie uwierzy w to, co podaję i nie zamierzam kruszyć o to kopii, ponieważ nie posiadam poręki; żaden duch nie upodli się do tego stopnia, aby świadczyć istocie ziemskiej, a gdyby nawet to uczynił – któż mu uwierzy? Mądrość, która opuściła ciało, przestaje być dla nas prawdą i miłością, jest czymś obcym, strasznym, tajemną siłą, zarazem czystą i nieczystą, porażającą świadomość na ułamek sekundy.

Co miał na myśli Gruzin mówiąc o otwartym rachunku? Była to zapewne myśl chwili, z całą pewnością głęboka, ponieważ posiadał on zawsze metafizyczne skłonności, które wszelkimi sposobami tłumił w sobie, aby nie przekreślić ostatecznie swojego noefickiego światopoglądu. Była to jedyna filozofia, a raczej szansa zdolna zaspokoić jego skryte ambicje i przyrodzone instynkty. Ale była to szata grubymi nićmi szyta, uciążliwy czarczaf, spod którego wyzierała zawsze zniewolona i stłamszona mistyczna dusza. Był z natury mnichem i pozostał nim do końca, przestrzegając swoistej, narzuconej sobie reguły, która wyróżniała go spośród innych.

Na wypowiedziane zdanie Gruzina dziadek nie zareagował, nie dotarło ono do niego, ponieważ w tym czasie uporczywie wpatrywał się przez okno w tłustolistne łąpiany i po raz któryś tam z rzędu zadawał sobie pytanie, dlaczego nagromadziło się w nim tyle wątpliwości. Zapytany wcześniej, czy wie, czego pragnie rewolucja, odpowiedział, że tak, odpowiedział, że pragnie szczęścia narodu. Dał odpowiedź naiwnie dziecinną, a jednocześnie iście królewską, jeśli się postawi akcent na końcówkę zdania. Ale jak każdy władca znał on szczęście, a raczej widział kształt szczęścia w jego złudnym i milczącym kształcie. Jak każdy szary człowiek kojarzył sobie szczęście z dobrobytem i nigdy mu przez myśl nie przeszło, aby spojrzeć na świętych obcowanie. Użalając się nad swoim losem doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby nie urodzić się, lecz skoro już się żyje, niepodobna pożegnać się z życiem za pomocą prymitywnego czynu. Opowiedział się za życiem, nie pierwszy i ostatni raz, słowiańskie

skłonności samobójcze odzywały się w nim dość często, dręczyły go nieraz tygodniami, snuł się wtedy bez celu nie dostrzegając niczego i przypominał człowieka wołającego na puszczy. I tym razem, jak zwykle, akceptacja trwania przygniotła go swoim ciężarem, zamknął oczy, aby umiejscowić siebie wśród biesiadników w Kanie Galilejskiej. Był to jedyny cud, który sobie upodobał, napawał go zawsze otuchą i wiarą w siebie. Wracał stamtąd radosny jak noworodek i sprawiał wrażenie człowieka, który wypił dość sporą ilość dobrego alkoholu.

Skrzypnęły drzwi. Weszła ona, moja opiekunka, może matka lub żona, być może ktoś bliższy, wyższy, istota nie do uchwycenia, przynajmniej na razie, na tym etapie, na tej drodze, po której raczkuję. Siada przy mnie, tuż obok okna, z którego widać zachód słońca. Patrzy tam, gdzie ono zaszło. Ja w tamtą stronę nie zerkam. Nie liczę już pór dni i roku. Słońce nie jest dla mnie światłością, jestem niezależny od niego. Ciemność nocy nie jest już dla mnie mrokiem, zorza nie jest zwiastunem dnia. Mój dzień trwa bez ustanku, być może sypiam, ale musi to być sen sprawiedliwego, zapomnianego lub wypędzonego, ponieważ nie spostrzegam przebudzenia. Trwam w ruchu, to wiem, spostrzegam, czuję, krok po kroku, od narodzin do narodzin, być może od śmierci do śmierci, niewielka różnica, drzwi te same i próg nienowy. Dzisiaj przyszła bez miski, swojego głównego atrybutu, być może z nudów, z tęsknoty, wyrzutu sumienia, a może z innego rodzaju pokarmem, którego nie zauważam, z jakimś mikroelementem, bez którego moje istnienie jest niemożliwe? A może jej? Może poprzez moje istnienie objawia swoje? Swoją wielką moc i niemoc. Może drażę jej tajemnicę? Sam dla siebie nie jestem tajemnicą, raczej zagadką. Bardzo często nawiedza mnie myśl, która mi szepce, że jestem kaprysem geniuszu, nieodwracalnym i nie do wytepienia nawet przez geniusz, który mnie stworzył. Ale to tylko myśl, spekulacja, niejasny pewnik, mity, legendy, księgi. Czas i droga, droga i czas. I teraz to samo, bez wyboru lecz z konieczności, jak miłość starej panny do każdego starającego się o jej rękę. Czy mogę powiedzieć, że jestem Omegą wiedząc, że powrócę? Dokąd teraz? do materii? do początku? do czystego ducha? Czy te pytania zadaje ja, który wie, jak odejdzie i jak przyjdzie? Tak, to są również moje pytania, moja forma musi się również kiedyś skończyć. To jedyna nadzieja, moja, cicha, nie mogę mówić i o niej pełnym głosem, jak czynią to inni, umysłowo ślepi. Do nich nie należę, do nich nic nie należy, nawet oni sami, to własność motłochu. Należność jest jednostkowa, dług spleacony bez świadków i pośredników. Słowa i słowa, widzenia mojej epilepsji, światy mojej

schizofrenii, kwiaty nerwicy, słońca moich miłości – najokrutniejszej i najcudowniejszej choroby mojego życia.

A może ta kobieta siedząca obok mnie – to moja miłość? Oblicze choroby, którą nazwałem cudowną? Czyżby taki pospolity był ten duchowy wzlot? Tak naprawdę nie jest odrażająca, jeśli przyjrzeć się jej uważnie, można ją polubić. Twarz ma gładką, prawie aksamitną, tylko czoło pokryte jest głębokimi zmarszczkami. Za tymi zmarszczkami mieszka na pewno ktoś, kogo można pokochać, tylko za takimi bruzdami można znaleźć zbawienie, tam odbywa się krzyżowanie i zdejmowanie z krzyża.

Siedzi i patrzy tam, gdzie zaszło słońce i mruczy, że nic tylko ciemność i smutne ruiny, poruszające się ruiny, wiecznie takie same, ale już znikające, na szczęście, jeszcze tylko w oczach potężne i niebosiężne, jeszcze tylko dla uszu bzdurnym dźwiękiem, jeszcze tylko we wspomnieniach przez jakiś czas, a potem już przyplynie nowina, radosna być może i z pewnością ciężka lecz jaśniejsza niż wszystko, cokolwiek wydarzyło się w tej jasności. A ty znikaj i czekaj, aż znowu przyjdiesz, mówi do mnie, tak jak ja czekam, aż przyjdiesz do mnie, w tym pokoju, łaknący i chciwy, a ja ci oczy otworzę, nie ślepiec lecz źrenice głębsze niż sumienie, bo dotychczas rodziłeś się martwy z martwych, ledwo drgający jak robak. To ciągle czekanie na rozwidnienie, cierpliwość bez końca, na tysiąclecia rozłożona, na całą prawie wieczność, aby tylko nic nie zostało utracone, co zeszło na ziemię, by ją zaludnić i odmienić. A tu nadal robactwo i ruiny, do uprzykrzenia, do utraty zmysłów, kres za kresem, krzyż na krzyżu, na twarz nakłada się tekturowa maska, zanikająca, bez znaczenia, raz na stulecie czyjeś oczy załsnia prawie niebiańsko, a przez resztę czasu dzień jak noc, i tylko w tobie jedyna nadzieja, w tobie posłanie moje, moje słowo.

Przestań, mówię, to już słyszałem, nie od ciebie, to nie żyje. Nie słyszy mnie, nie patrzy na mnie ta moja żona, matka, istota nie do rozgryzienia, czoło do zamglonej szyby przycisnęła, gdzie tylko ruiny, jak mówi, cienie ruin.

Dlaczego ta kobieta, ludzka postać, człowiek nieczłowiek, może coś nadrzędnego, w dniu siódmym, a więc ostatnim i bardzo długim, twórczo-pokutnym, nie jest mi bliska? Dlaczego? Bo przerywam ci myśl, zamiatam śmiecie twoich myśli do kąta, bo to nie jest twoje odzienie lecz włosienica ciała. Ja widzę ciebie, dźwigam, kocham, jestem tobą do rdzenia, tobą nieodkrytym i nieodgadnionym, ale zniżę się jeszcze raz do twoich myśli, związę przerwany

wątek, abyś mógł ujrzeć swojego Michała Jurewicza, który wrócił ze stepu jeszcze bardziej podchmielony niż wyjechał. Nie krzyw się, to twoje słowa, tęsknota za przestrzenią nad głową, pragnienie by stać się choćby przecinkiem. Niezwykłe widowisko dla patrzących z boku, boleść dla miłosiernych oczu, ironia i tajemnica.

Przyszłam, by mówić za ciebie, nawet razem z tobą, dopóty dopóki cię nie urodzę, wtedy będę oczyszczona, wolna, nie wiem od czego, ale wina będzie mi odjęta. Będę mówić, jesteś zmęczony, zaschło ci w gardle, myśli ci się płaczą, ja je rozsypłam, wyglądam, poprowadzę, gdzie pragniesz. Twoja myśl została urwana w momencie wyjazdu z Kitajgorodki nieudanego poety Gruzina. Wiesz dokładnie o tym, że on pisał wiersze, tak jak nigdy ich nie pisał Michał Jurewicz, którego babka brała za Lermontowa. I ten twój dziadek, nie, nie tak, nie w moim imieniu, nie mam jeszcze imienia, nawet dla ciebie jestem bezimienna, na razie, a potem już na zawsze z tym piętnem. A więc Michał Jurewicz wrócił ze stepu mocno podchmielony. Był więc znowu w Kanie Galilejskiej. Nieproszony. Z wielkopańskiego nawyku. Jaki więc ma charakter człowiek, który zdolny jest upić się tak odległym cudem przemienionym z wody winem, choćby to był napój weselny? Ale określenie charakteru na nic się tu nie zda, ponieważ jest to narzędzie ducha, a w tym przypadku jego rosyjskiej duszy, która jest czarnoziemem, na którym rośnie wszystko. Rośnie i więdnie wydając zawsze piękne lecz gorzkie owoce. I dziadek był gorzki. I sentymentalno-rozdarty. Bardzo często płakał w ukryciu albo w ramionach kobiety. A czy kto płacze bez powodu?

Dziadek zamknął się w swoim pokoju i zapłakał. Znowu wrócił z niczym. Był w Ziemi Świętej i nie uwierzył w Boga. A tak bardzo chciał w niego uwierzyć. Dlaczego jest wyklęty? Wierzyć mogą tylko prostaczkowie i geniusze, powiedział ktoś, nie on i nie ja, może gdzieś, może kiedyś, przed nami lub po nas, reszta rządzi światem, nie, błazenadę czynią ze świata. A filozofowie? – zapytała nazajutrz Siergiejewna. Udzielona odpowiedź nie usatysfakcjonowała babki. Zresztą, odpowiedź była jej niepotrzebna. Ona wiedziała swoje.

Ale wiadomość, że Michał Jurewicz jest bezbożnikiem, wywołała u Motii nerwową drżączkę, bo nie kto inny jak Matka Boska Rostowska nauczyła ją tańczyć we śnie. Za to ręczyła głową. A Kuźma zadał sobie pytanie: czy można zabić człowieka nie wierząc w Boga? I po co? Jeśli ma się odrobinę oleju w głowie, taki czyn jest zupełnie bez znaczenia. I tu Kuźma nagle wywnioskował, że Jurewicz jest mordercą, ma na sumieniu czyjąś duszę i

dlatego usilnie poszukuje więzienia. Jest, nie, dopiero będzie jego kozaczym bratem i nie czekając aż go wyrzucą za drzwi za diabelski błysk w oczach, wyszedł z izby ciągnąc za sobą Motię do swojej ciupki.

Tatiana Siergiejewna wiedziała, co męża gnębi, bo w malignie wyśpiewał ten czyn od a do z już pierwszej nocy po przybyciu do Kitajgorodki, obiema rękami objęła mu głowę, i powiedziała: ciebie zabili, więc i ty zabiłeś. Jestem twoją miłością? Jesteś! Więc ja jestem twoim bogiem, zanim go znajdziesz. I Michał Jurewicz poszedł za tym głosem. Pełen pokory i żalu i wzbierającej namiętności wszedł w nią, aby pozbyć się grzechu. I ten ziemski bożek łagodny i nadzwyczaj cielesny otarł mu pot z czoła i zesłał kojący sen.

4.

Sen, w który zapadł Michał Jurewicz, nie był czułym objęciem Morfeusza, jak myślała Tatiana Siergiejewna. Po zamknięciu oczu, czując jeszcze pustkę jamy, zobaczył jakiegoś nieznanego osobnika ze zbójecką brodą, wzywającego gestem głowy do wyjścia. Dziadek był tak zaskoczony, że nie przyszło mu na myśl zaoponować, wstał posłusznie z łóżka i udał się za nim. Schodząc z ganku stwierdził nagle, że nie kroczy po własnym podwórku, lecz po zakurzonej uliczce jakiegoś wschodniego miasta, spostrzegł również, że jest tak jak jego przewodnik, ubrany w zgrzebną żydowską szatę. Może to sen, pomyślał i uszczypnął się w policzek. Zabolalo! Co, nie możesz się obudzić? – zapytał kamrat. A może masz kaca? Za dużo pijesz. Michał Jurewicz wstawał z łóżka zawsze w złym nastroju, wymagał, aby przez godzinę nikt nie odzywał się do niego, ponieważ brzmienie ludzkiego głosu doprowadzało go do wściekłości. Brzmienie ludzkiego głosu? Właśnie tak! A tu nagle jakiś jołop zaczyna prawić mu morały. Nie czuł się wściekły, nie czuł nawet urazy, ogarnęło go nie znane mu dotychczas uczucie zagrożenia. I trudno się dziwić. Nagle, i Bóg wie dlaczego, kroczy po nieznannej drodze do nieznanego i tak hałaśliwego miasta, że głowa wydaje się miedzianym kotłem, do którego słońce leje swój żar. Gdzie ty mnie właściwie prowadzisz i kim jesteś? – zapytał. Zatrzymali się, popatrzyli na siebie podejrzliwie, pokiwali głowami i ruszyli dalej.

Tak postąpili, lecz nikt tego nie zanotował, treść dalszej rozmowy ukryta jest w nutach, tu powiedziano tylko parę zdań. Kazałeś przychodzić do siebie o każdej porze dnia i nocy? Kazałeś! Pozwoliłeś nazywać się bratem? Pozwoliłeś! Zapomniałeś, co ci się przydarzyło w Kanie Galilejskiej? Coś niecoś, odrzekł zmieszany Jurewicz. Tam się poznaliśmy, uśmiechnął się Izraelita. Popiłeś tam zdrowo, o jeden, jak zwykle u ciebie, kubek za dużo. Więc kiedy Rabbi odszedł od stołu, aby trochę odpocząć od gwaru, a może odmówić modlitwę, ty byłeś za Nim. Ukłękłeś przed Nim i zaczęłeś coś tam tłumaczyć pomagając sobie rękami. Dokładnie nie mogę ci powtórzyć słów, ale treść sprowadzała się do tego, że nie potrafisz uwierzyć w Jego posłannictwo, tak bardzo chcesz, a jednak nie możesz. Patrz, mówiłeś, piję to wino i nie wierzę, że za sprawą niebieską powstało z wody. A wino wspaniałe! Patrząc na Ciebie widzi się tylko oczy, oczy masz zadziwiające, takiego blasku nie można zapomnieć. Ale czym dla mężczyzny są męskie oczy? Jestem przy Tobie całym sercem, a nie mogę uwierzyć. Nie mogę! Podniosłeś się z kolan i chciałeś odejść, ale wypite wino i żar lejący się z nieba zwały cię z nóg. Upadłeś na wznak twarzą do słońca i zachrapałeś na cały świat. Zapewne twoje słowa nie były miłe. Rabbi poczuł niechęć do ciebie, ponieważ kiedy zwałeś się na ziemię, powiedział: wieprz. I ty, mój drogi, przemieniłeś się w dorodnego knura. Siedziałem za wami oparty plecami o oliwkowe drzewo i rozmyślałem o tej przemianie wody w wino. Własnoręcznie lałem wodę do stągwi i wiem, skąd ją czerpałem i skąd czerpali ją inni. Nie było tu żadnego oszustwa. On tylko pobłogosławił. Więc kiedy spostrzegłem, że zostałeś przemieniony w wieprza, przestraszyłem się, bo wiedziałem, za co cię spotkała ta kara, za chwilę mogła ona dosięgnąć i mnie. Podeszedłem więc do Mistrza i poprosiłem ze łzami w oczach, aby cię odmienił. Uśmiechnął się do mnie tym swoim bolesnym i niejasnym uśmiechem i oddalił się bez słowa. Przedemną leżał nadal wieprz. Zrobiło mi się tak żal cię, że z rozpacz kopnąłem w brzuch to wstrętne zwierzę. Usłyszałem kwik, a potem krzyk, stałeś «ię znowu człowiekiem. Przeraziłem się: czarcia moc we mnie? Uciekłem do ludzi. Wypiłem jeszcze jeden dzbanek wina i ostrożnie podeszedłem do ciebie. Wróciłem do człowieka spitego do nieprzytomności.

Powrót ma zawsze podłoże religijne. Pijaństwo bierze początek w rozpacz, wstydlivosti, a modlitwa? Tu należałoby otworzyć oczy mumiom egipskim. Tam tkwi ziarno tajemnicy. Ale nie tylko tam może zastygnąć wiekuista plewa, bo nie tylko ty szukasz pokarmu i lubisz

chleb posypany solą. Istnieją jeszcze kamienie pustynne i głębiny morskie, ale kto spamięta paciorki boskiego różańca mając do odświeżenia siedemdziesiąt lat życia? Modlitwa jest oddechem strudzonej myśli lub tarczą tchórzliwej. Tomasz Didymus modlił się z nawyku. Moc wina zgromadzonego pod jego czołem patynowała wypowiedane słowa, więc brzmiały tak sentymentalnie, że należało ukoronować je łzami. A kto wierzy łzom, jeśli te mają stać się koroną? Tomasz wierzył tylko zmysłom. Ludzie, którzy późno wstają, twierdzą, że ranne ptaszki doprowadzą świat do zguby. Jeśli zgłębić wszystkie dostępne nauki, nie dojdziemy do żadnego wniosku. Racje na temat tego, czy prawda stoi po stronie słowików, czy sów są podzielone. Tomasz Didymus był niskociśnieniowcem i jedyną jego słodyczą ziemską był poranny sen i praca w nocnej ciszy, co było nieco sprzeczne z jego wielką ufnością w źrenice. Ale w zanadru miał jeszcze dotyk, co czyniło z nocy, która jest porą bogów, krainę łudząco podobną do marzenia przetworzonego w artykuł pierwszej potrzeby w chwili nieszczęścia. Czy dzień, w którym podpity Tomasz Didymus, nie dokończywszy modlitwy, ciągnął pijanego dziadka do tłoczarni winogron, aby ukryć jego sromotny stan przed Chrystusem, należy uważać za szczęśliwy, jest nadal sprawą otwartą dla egzegetów, o czym wspominał nieraz Szymon Cyrenejczyk na rynku w Tyrze.

Didymus prowadzący dziadka do wieczernika nie miał zielonego pojęcia o istnieniu Kirke, która towarzyszy Odysa przemieniła również w świnie. Treść mitu nie posiadała dla niego wartości, materii pierwszej, wywołała tylko wspomnienie o opętanych z Gadary, których Rabbi wpędził w wieprze i potopił w jeziorze. Pojawiło się więc pytanie, czy dziadek był opętany przez złego ducha? O przeprowadzanych egzorcyzmach nic nikomu nie wiadomo, nie zanotowano również pielgrzymek do monasteru kijowskiego, tylko skłonność do wschodniej gnozy mogła wzbudzić podejrzenie detektywa. Na dźwięk tego słowa dziadek rozejrzał się niespokojnie. Był przecież grzeszny, a podległość sądom wojskowym nie wróżyła niczego dobrego jabłku Adama. Uzyskawszy chwilową pewność siebie i czując pod nogami twardą ulicę jerozolimską, co jest niezwykle istotne dla lądowego ssaka, dziadek trzykrotnie, jak przystało na prawdziwego prawosławnego, przeżegnał siebie. Poprzez kosmogonię innymi oczami patrzy na glinę Grek innymi Żyd, a zupełnie innym uczuciem darzył dziadek wizerunek krzyża. To zupełnie zaskoczyło Didymusa, w pierwszej chwili poczytał to za błuznierstwo, ale nie znalazłszy słów, a więc potwierdzenia dla purytańskiego odruchu,

dojrzał nagle dialektyczną moc tego znaku, który dotychczas wywoływał w nim grozę. Żar słoneczny przerwał snutą myśl i zatrzymał kroki. Usiedli pod kamiennym murem ulicy Garncarskiej i jednocześnie popatrzyli na przeciwległy dom, do którego wchodziła śmierć pod postacią rażąco białej południcy. Nadzieja ma zawsze pełne ręce roboty w ludzkim naczyniu, odnajduje zagubione ścieżki i podlewa więdnący kwiat. A era nieśmiertelności? To idea, którą musi dźwigać, aż spełni się dane jej słowo. A spełnić musi, konkluduje wszem i wobec nie przebijając w subtelnościach. I jak nie uwierzyć w jej siłę i duchowe prawo. Bo jaki znak wypala człowiek fizykalnym istnieniem? To pytanie posiada bogaty księgozbiór, do którego nie warto zaglądać, ponieważ retoryka jest starsza od ludzkości. Druidowie posiadali prawo do śpiewu i ingerencji w sprawy bogów, a wierząc w reinkarnację z maniackim uporem lekceważyli mojrę Atropos. Gdzie są teraz owi kapłani? Siedzą ramię przy ramieniu, Didymus i dziadek, w słonecznym skwarze i marzą o chlebowym kwasie, nie zwracając uwagi na szloch kobiety, której mąż przed chwilą oddał Bogu ducha. Śmierć obrzydza świat, a akt wskrzeszenia zmienia barwę i głębię miłości, ale Łazarz powiedział, że powtórne życie jest już właściwie niczym. W którym więc miejscu ukryta jest radość z powszechnego ciała zmartwychwstania?

Popatrzawszy tak na istotę zagadnienia można bezwiednie wejść do mitycznego labiryntu lub stanąć na plaży Avalonu. A to pachnie pychą! Zwykły śmiertelnik staje się herosem, kołem bytu. A czyż nie bohater, i nie tylko on pośród mężczyzn, leje kobiece łzy, patrząc w odosobnieniu na swój cień? A łzy są przecież magią jaźni i kumulatorem modlitewnej energii. Jak wyglądałby pogrzeb bez płaczących kobiet? – pomyślał Michał Jurewicz patrząc na trzy Żydówki wychodzące z domu zmarłego i obraz ten przemienił się nagle w początek pierwszego aktu Makbeta. Trzy wiedźmy niosły nie wyśpiwany talent zmarłego przed chwilą Izaaka, garncarza, do kraju Piktów, by się tam rozwinął w naturalnej scenerii. Dziwiono się nieraz, po co takie kosztowne i tajemnicze zabiegi czyniono wokół tak drobnego problemu, jakim jest treść tragedii i to w newralgicznych czasach. Zaczęła się właśnie platoniczna epoka Barana, a wraz z nią nastąpiły zmiany w konstelacjach psychicznych. W dniu kiedy Jezus oddał ducha, rozpasanie ludzkie osiągnęło apogeum, te słowa można jeszcze w naszych czasach odczytać z wapiennej skały wznoszącej się koło Chersonezu. Tam też w odległym czasie pokryła się wiśnia jaskrawoczerwonym kwieciem. Pewnej nocy księżycowej ta wiśnia

przyśniła się dziadkowi. To była zapowiedź czegoś istotnego? Artemida zażywała kąpieli, Orion uciekał zwykłą drogą przed konstelacją Skorpiona, a jednak na drugi dzień wybuchły zamieszki na „Kniaziu Potiomkinie”. To była odwrotna strona snu. Dziadek był oficerem, lecz zawsze trzymał stronę maluczkich. To była cecha dziedziczna, spadkowe wiano, a atawizm można z czystym sercem wykreślić z autobiografii czy aktu oskarżenia. Pierwszym symptomem buntu jest nienawiść, a więc uczucie niszczycielskie, gniojące, w pierwszym odruchu sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Bogowie żądali ofiar, a cóż dopiero hreczkosieje, których kołysało Morze Gościnne, a wabiły scytyjskie stopy. Dziadek omyłkowo został uderzony w tył głowy bosmańskim szpikulcem. *To ne toj, kumciu*, z niezadowoleniem krzyknął Pańko Krywyj i pognął w stronę oficerskiej mesy. Następny, Koczubej, z dziką wprost rozkoszą podniósł dziadka jak sztangę i cisnął za burtę oficerskie ścierwo. Wyratowali go rybacy, ale już porażonego amnezją. Dwudziestopięcioletni noworodek stał się dzieckiem trudnym, lecz mało wymagającym. Jego wewnętrzną potrzebą, filozofią i sensem życia stała się wędrówka na wschód, szukanie noclegu słońca, kolebki logosu, swojego początku. Być może w pamięci płodowej zostawił wiedzę wyższego rzędu i teraz szukał tej zguby? Klucząc dotarł na Kaukaz, a król Ajetes wskazał mu drogę do Tyflisu, ciesząc się, że takim sposobem zdołał ochronić swoje stajnie od obcego i podejrzanego wzroku. Włóczęc się po ulicach tego gwarne i smrodliwego miasta, wielce upodobał sobie postać pewnego smagłego człowieka. Czy twarz miał piękną i postać nadobną? – zapytałaby wścibska baba. I trudno dać rzetelną odpowiedź, szczególnie kobiecie o erotycznych skłonnościach, ponieważ urok ten nie należał do cech fizycznych lecz do szeptu jaźni. Przywołane na pomoc solarne bóstwo Bolar potwierdziło w nim swój pierwiastek, ale nikt tego nie ogłosił światu, nawet wiernym nie zostało to przekazane z ambon, co z pewnością jest częściowym potwierdzeniem fatalizmu historii. Ów człowiek dostrzegł, że dziadek od paru dni nie spuszcza z niego oka, a będąc smutnym aż do śmierci, z innych powodów niż autor tych słów, w ślepych zaułku uderzył swojego domniemanego konfidenta kastetem w skroń, w miejsce przez które łatwo wchodzi śmierć do obcego domu. Gwiazdy, które zobaczył, nie były ciałami niebieskimi i nie dały żadnego pojęcia o prawach obowiązujących w kosmosie. Stójkowy na szczęście tego nie widział, nawet cywilna osoba nie mogłaby uwierzyć, że w taki brutalny sposób i w takim miejscu można przeprowadzić taki subtelny i fenomenalny zabieg leczniczy. Po ustąpieniu

kosmicznych mgławic z labiryntów ocznych dziadek odzyskał pamięć, niecałkowitą, gdzieś tam zawsze brakowało paru nitki do całości, których za skarby świata nie mógł odnaleźć, więc czuł się niepewny i zagrożony. Tym przypadkowym uzdrowicielem był syn szewca obdarzony świecką ambicją archijereja. Wielki Inkwizytor kochał kardynalskie psy, aby ukryć prawie szaloną skłonność do posągowych kobiet, które natychmiast oskarżał o herezję ze strachu przed grzechem nieczystości i w tajemnicy rzucał na pożarcie dogoni. Jakimi oto drogami dochodzimy do uspokojenia ducha. A idea miłości? Kto wyciągnie świeżą duszę ze stuletniego starca? Tak doszliśmy do serca całkowicie zanurzonego w fanatyczno-wschodnią-góralską nienawiść skierowaną w osobę cara Mikołaja II, którego dziadek tylko nie darzył szacunkiem, ale to wystarczyło do znalezienia wspólnego języka. Od niechęci do nienawiści droga jest długa, ale solidnie wybrukowana żywotami świętych, ruchliwa o każdej porze roku, nie mówiąc już o dniach targowych. Natomiast wspólny język jest najstarszą formą relaksu, a nie zgodnością poglądów, świadomym niewywoływaniem wilka z lasu, w chwili kiedy juhas jest zajęty wyrobem bryndzy. Czy ten, komu smakuje ser trapistów, nie musi martwić się o zbawienie? – pytał jeden drugiego, zapijając pytanie tanim winem i pojąc oczy obrazem Pirosmaszwiliego. Bryndza zawiera wszystkie składniki potrzebne do prawidłowego funkcjonowania organizmu, nie zapobiega tylko wiosennej kurzej ślepoty. Mądrzy wyjaśnili, że nie należy podejmować jednostronnie walki o byt. Aby osiąść transcendentną wiedzę, należy zrzucić z siebie trzynaście skór zewnętrznych i zmienić na posterunku Atlasa. Jakie wielkie bambusy są obok nas i jakie maleńkie w oddali – mruknął uzdrowiciel dziadka, ale czy te słowa należały do tajemnej cnoty, czy śledził je duch myśli i cienie rachunków? Należy przebywać tam, gdzie nie ma Boga, ale czy należy unikać ludzi, którzy podpisali cyrograf? – rzucił pytanie Michał Jurewicz nie mogąc sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się za burtą „Kniazia Potiomkina”. Istniało przecież prawo, było z nim czy przeciw niemu? Nie wyjaśniony był też problem moralny: wiatr osiodłał jego czy odwrotnie? Syn szewca wysnuł pocieszający wniosek: zostać nieboszczykiem jak najdłużej, powiedział, a fakt czy się było po stronie buntowników czy nie, uznać za niebyły. Szczeropochodny będzie węzeł, jaki dzisiaj zawiążemy, nazywam go przymierzem, wyrywając metaforę z rzemiosła: dobrze uszytą parą butów, i zatrzymał wzrok na bosych stopach sprzymierzeńca. Dziadek miał na sobie tylko nie farbowane czumackie spodnie i takąż przepoconą koszulę, to surowe płótno świadczyło, że

ich właściciel usiłuje intuicyjnie wyczuwaną całość umieścić w wymiarach umysłu, nie potrafi jednak zobaczyć, gdzie się urodził. Ech, człowieku, ile nadziei i radości kryje się w bycie, rzekł syn szewca i wręczył dziadkowi farbowane na czerwono miękkie kamasze z koźlęcej skóry. Była to deklasacja czy kanonizacja? Nie żądajcie słońca o północy. Jeśli pastorał nazwiecie laską, nie popełnicie błędu, nie ulegniecie złudzeniu, jeśli natychmiast zobaczycie stada owiec na zielonych halach, nikogo nie okłamiacie mówiąc: znalazłem popiół. Czerwone buty nosili kiedyś kniaziowie. Król Słońce nie gardził tą barwą, lecz dla dziadka były to na się wciśnięte sandalia. Czy jego chęci przylegały do uzdolnień i czy to, co otrzymał, było studnią, do której w pochmurne noce zaglądał księżyc? A jednak znużone nogi pokochały prawie aksamitną miękkość cholewek, więc oczy nie mogły zaprzeczyć pewnym cechom powinowactwa. W spalonym domu najistotniejszą rzeczą jest odnalezienie rodzinnego ogniska, usłyszeli. A tron należy zburzyć raz na zawsze. I tak się stanie, zgrzytnął syn szewca, nie trzeba być mędrcom, aby wskrzesić tragedię! Potrzebna jest jednak krew, lecz kto w chlebie nie wyczuwa karabinu, nie pamięta swoich narodzin. Idziemy potakiwać niebu, bo kropla rosy swoją twarz zostawi w drobinie piasku. Już słońce zaszło, popatrz, a ja nie zostałem poetą. A wiesz dlaczego? Mam serce z ziemi. Wypalimy papierosa i przypomnimy się światu. Pojedziesz do Zaporozża, a tam nawet kurhany mają oczy, musisz być listkiem opadłym na grobowy kamień.

Siedząc plecami do słońca i przytuleni do siebie, dziadek i Didymus czerpali siły ze swoich cieni, które przemówiły do nich, a raczej oni po tylu hałaśliwych i bezowocnych latach nareszcie mogli porozumieć się bez słów i czytać bez zająknięcia otaczającą ich rzeczywistość, która spoglądała na nich spoza codzienności jak dama zza wachlarza. A miesiąc był Nisan czy Ijar? Nie odpowiedzieli. Wiadomo, że jęczmień został złożony w ofierze. Niezmierzony czas jest krainą poszukującą, ale czy jest to właściwy czas i czas ku temu? Najwyższy! Nie należy lekceważyć księżycowych faz. Czy sprawdzili swoje serca? Raczej odgadywali swoje sny, z tym można jeszcze się zgodzić. Nie mieli przecież wglądu w Jedność, na razie, a później? to się sprawdzi! Twarze wyrażały skupienie, lecz jeśli z całą znajomością rzeczy odtworzycie części świata spięte pogłębionymi zmarszczkami, dopuszczą was do stołu? Didymus bezwiednym ruchem wyciągnął jęczmienny placek, przełamał i podał połowę Michałowi Jurewiczowi. Czy ktoś z was może dać piękniejszą odpowiedź?

Oczywiście można poznać jeszcze smak innych napoi, lecz to się, *summa summarum*, sprowadzi do przelewania z pustego w próżne. Słyszając szum górskiego potoku stwierdzasz nagle, że objawiła ci się odwieczna prawda, a potem z nabożną czcią pijąc tę wodę nie dostępujesz zbawienia. Nie tą ręką i nie tym kubkiem czerpałeś, powiedzą? Nie, po prostu nie możesz zrozumieć, że to strumień był spragniony. Michał Jurewicz przyniósł z pobliskiej studni dzbanek wody i ugasił Didymusa i swoje pragnienie. Czy to ci coś mówi? I tak, i nie. Przecież ludzkość to dzban bez dna. Wielka i trafna metafora, lecz nie należy wyciągać pochopnych wniosków, zwłaszcza wtedy, kiedy zaczynają się kleić oczy. A nie jest to pora na sen, nawet dla człowieka wolnego. Dochodziła dwunasta godzina dnia. Tomasz Didymus popatrzawszy na słońce, zerwał się jak oparzony: nie należy drzemać, trzeba czuwać, chodź szybko, możemy przecież utracić królestwo niebieskie. A ja bym się napił dobrego wina, sieknął dziadek i zanucił: „Za trzecią jutrzenką mieszka moja dziewczyna, a tu słońce się chowa za kluczem żurawi”. W tym miejscu zostało nie wypowiedziane słowo poganin. Dlaczego Tomasz Didymus tak mocno pragnął jasnej nieśmiertelności i czy wiedział, że aby stać się wiecznym, nie należy jeść przetworów mącznych, lecz sycić się rosą i wdychać północny wiatr? Dziadek powiedział mu, że w ciele człowieka mieszka sobie, dość spokojnie, trzydzieści sześć tysięcy najrozmaitszych duchów o dość podejrzanej reputacji. I nie należy o nich zapominać myśląc o zbawieniu, ale to zostało zlekceważone i prostacko nazwane szeptem diabła. Pragnienie nieśmiertelności zostało zasiane w okresie narzeczeństwa, w dniu kiedy Sara bukiecikiem macierzanki czy gałązką tamaryszku, dokładnie nie pamięta, dotknęła jego lewej skroni, a zakiełkowało w dniu jej połogowej śmierci. Chciał się powiesić, odradzono mu. Ona była prawie święta, a twój byt jest na etapie szaławii, więc nie ma szans na spotkanie w eterze, bluźnierczo oświadczył mu jeden z członków sanhedrynu. Po tych słowach poczuł się bardzo nieswojo. Jest faktem niezaprzeczalnym to, że nie urodził się w czepku, ale nie był też od macochy, więc była w nim owa słynna trójka, z której wszystko powstaje. O jej istnieniu jeszcze nie wiedział. Jaki okrutny wyraz przybiera nieraz los tkany z najlepszych jedwabi! Ale frędzle znaczą często więcej niż cała szata. Nie można lekceważyć szczegółów w abstrakcyjnym myśleniu, inaczej będzie się czerpało wodę sitem i zacierało różnorodność. Zachować kontury – to obrazowo określić przeszłość w przyszłości i nadać bieg sześciu systemom zbawienia, życiowym szansom w wytoczonym nam procesie

sądowym, w którym nie przysługuje prawo do obrony i apelacji. Taki jest Sąd Ostateczny? A jeśli mocy węzowej nie zdążymy połączyć z psychicznym centrum, co uczynimy? A idąc w deszczu, co zrobimy, aby nie zmoknąć? Położymy się na słońcu, prawda? Należy więc znaleźć światłość! Światłość w słonecznym dniu? Czas nie stoi w miejscu i powołani wychodzą na ścieżki w odzieniu błękitnych ptaków. Przepędzani z domostw nawiązują rozmowę z wolnym istnieniem: wodą i kamieniami. Tak rodzą się rzeczy ostateczne. Dziadek zwracał się nieraz o pomoc do Boga, ale przez czyje usta teraz Bóg przemawia? Jahwe tworzył świat bez konfliktów i zmagañ z otchłanią wód, a on nie posiada nawet siły, aby się skupić na praprzyczynie. Co prawda w Gaju Oliwnym już ukonstytuowała się epoka odpuszczania grzechów, lecz wzór na zachowanie energii modlitwy nie został jeszcze odkryty. Ci, co cierpią, poszukują. Wisielcza pętla posiadała zawsze wystarczający zasób moralnej argumentacji. W nagłych wypadkach prośba o akt łaski nie jest owocem bojaźni czy ziarnkiem skruchy. Ten kto uważa życie i śmierć za dwa przeciwległe bieguny, a nie sumę pochodnych, jest nękanym przez wszystkie odmiany nerwic, lecz nie jest jeszcze straconym. Pokuta jest zawsze w cenie. Ale nie wprowadzajmy niejasności i powiedzmy sobie wprost, że tylko to cierpienie, które wypływa z miłości, jest cierpieniem właściwym, tym które nękało Tomasza Didymusa. A więc przysługiwał mu akt łaski. Chwileczkę! powiedziałbym, a dlaczego mnie nie można ułaskawić, uwolnić od wizji popiołu i umieścić w duchu. Tam chciałbym zgłębiać poezję materii i zażywać spokoju ducha. Tam chciałbym zgłębiać poezję materii i zażywać spokoju w sytości. Ale muszę milczeć, Szekspir powierzył mi rolę grabarza, więc aby utrzymać się na powierzchni, muszę mieć odciski na dłoniach i pokorną naturę. I jak tu nie zazdrościć Tomaszowi powszedniego szczęścia. Został zauważony, oświecony i powołany do grona Dwunastu, gdy jego ciało wyrażało już tylko milczący pion, a duch przemieniony był w polny kamień. Zobaczył otwierające się niebo i białą gołębicę i wiele pochodnych wydarzeń. A ostatniej nocy – piaszczystą drogę do pałacu króla Gondophernesa, władcy który zamierza zbudować najwspanialsze miasto pod niebem, a on ma mu wskazać metropolię nie wzniesioną ludzką ręką. Czy to możliwe? Zetną mi głowę, myślał we śnie, i rzucą psom na pożarcie, a jest to bardzo niebezpieczne, ponieważ zwierzę drapieżne znające smak ludzkiego ciała może w następnym wcieleniu urodzić się jako człowiek. I co wtedy będzie? Jakie świat przyjmie oblicze, lepsze czy gorsze? To jest pytanie. Czy może być

głupszy sen? Albo sen straszniejszy? Po przebudzeniu spostrzegł dwadzieścia cztery siwe włosy na lewej skroni. Zastanawiał się, czy nie jest to czasem kabalistyczna liczba. Jestem osłabiony, pomyślał, wiara musi dodać mi sił, ostatnio żywię się tylko soczewicą. A wiarę też trzeba karmić słowiczymi językami i chronić od księżycowego światła, a w chłodne noce okadzać mirrą. Tak czuł zaraz po przebudzeniu, a poranek to przednówek ducha, najuboższa kraina dnia, czas faryzeuszy i drobnomieszczan. Rolnicy wstają przed świtem, tak samo rybacy, a poeci przed południem, ponieważ ich rytm intelektualno-biologiczny związany jest z kulminacją słoneczną i pełnią księżyca. Maria z Magdalii, a był to czas myślicieli, przedpoetyckie otwarcie źrenic, wpadła do niego ze szczęśliwym obliczem i radosną nowiną: Rabbi zmartwychwstał! On półżywy, głodny i wystraszony, w lęku przed minioną nocą i nadchodzącym dniem jak oset w wazonie, a tu ekstatyczny bełkot zwariowanej baby burzy odwieczny porządek rzeczy. Idź precz, szatanie, uczyni miejsce dla Ducha Świętego! Nie miał w ręku duplikatu różdżki, którą Mojżesz z rozkazu Jahwe rozdzielił Morze Czerwone i skały dotykał, i cuda działał, więc baba nie zamilkła, a wychodząc, niepokój w nim zasiała. *Audi, dyabole, istam coniurationem: Eli, Eli, Eli, Alfa et O, Hemanuel, Quirus*. No dobrze, a I. N.R.I., co On powiedział? Nadszedł rzeczywiście nowy rok. Przemieniła się maść lisa. Niech nie przeciwstawia się sobie pięć żywiołów: drzewo, ogień, ziemia, żelazo i woda. Niech zagości tutaj skarb? Na palenisku ułożył kwadratowy stos tamaryszku zapewniający pomyślność, rozniecił z namaszczeniem ogień z czterech stron i odgrzał wczorajszą strawę, której domagał się słabujący jego puls. Posiliwszy się nieco, nabrał odwagi i siły, a zmrużywszy oczy dojrzał w półmroku izby, w drzwiach stojącą kobietę wielkiej urody, w najprzedniejsze greckie szaty odzianą. Zły duch to nie był, ponieważ strzępy Pisma Świętego nie zmieniły barwy, parę niteczek w róż wpadających wskazywało na zawartość paru promili obłudy we krwi. Nie będąc grzechem wzbudzała grzeszne myśli? Czy grzeszne? Nie, tylko niepospolite, z płcią nie związane. Nie samym chlebem żyje człowiek. Chodź, Tomaszu, uciekajmy z tego ohydneho miasta, głosem szczerym, źródłem dzwoniącym szepnęła Afrodyta. Dlaczego ty i dlaczego ze mną? Za taką jak ja fallusoocy będą tęsknić do końca świata, a ja wybrałam ciebie, bo masz w sobie dużo natury. Zbudujemy dom w górach, będziesz hodował owce, a ja będę cesała i przędła wełnę. W Tomaszu nie obudził się prawdziwy duch miłości pierwszej, tylko jego bolesne echo, kiwnął więc głową, że pasterstwo

nie jest dla niego zajęciem pogardzanym, pomimo to pomyślał o gwałcie, beduińskim, okrutnym. Muszę pójść, szepnął w pośpiechu, dowiedzieć się całej prawdy o Rabbim. Nie fatyguj się, stało się jak napisano i jak sam przepowiedział. Wszystkich bogów godności pozbawił i na wschód od Edenu wysłał. Maścią nardową smarowałam mu ręce. Uwierzyłam w niego. Idź, musisz ran jego dotknąć, dla swojego i świętego spokoju. I o błogosławieństwo dla nas poproś! Nie, tak nie można, zaczyna się czas poetów, jeśli nie piszemy wierszy, usiądźmy w słońcu i poddajmy się innej rzeczywistości, umieszczając ciało w drugim stopniu abstrakcji. Jeśli natężenie światła w czasie kulminacji nie osiągnie pułapu najniższej poświaty duszy, możemy śmiało twierdzić, że dana nam była łaska boskiego uduchowienia. I jeśli taki stan potrafimy zmaterializować, obojętnie w jakiej formie, odnotowana nam będzie obecność na duchowych planetach. A czy gwiazda, która zaprowadziła trzech magów: K + M + B do betlejemskiej stajenki, należy do galaktyki Mlecznej Drogi utworzonej z kropel mleka karmiącej Hery? I czy wszystkie bóstwa grecko-rzymskie przyjęły chrzest w Jordanie? Wyrocznia delficka zapytana przez cezara Nerona o stan kolaborujących bogów, wprawiła go w taką wściekłość, że kazał krzyżować każdego rzezańca. Sposób takiego postępowania nie jest nam obcy, możemy nawet powiedzieć, że to nasza atawistyczna cecha, lecz czy posiadamy pokutny zew serca? I jaką wartość ma akt odpuszczenia winy? I czy można o to pytać śmiertelników? Och! człowiecze! gdy jesteś samotny, najchętniej patrzysz w niebo, lecz kiedy przez bliźniego zostanie zachwiana równowaga ducha i jeśli bliźni od razu określi płeć, język naszych przodków, stwórcy, zostaje zupełnie wyeliminowany z użycia, dlaczego? Semantyka, semiotyka – prawdziwy wianek godny Pierwszego Serafina. Nie wręczajmy go jednak, nie warto wszczynać fermentu. Cherubini gotowi wytoczyć proces swym pobratymcom, ziarno zawiści nie zostało jeszcze do końca wyplewione z ich natury, a na lewym policzku wypalone jest piętno zdrady: rozważali możliwość przyłączenia się do rebelii Lucyfera; niektóre ich legiony zostały zdziesiątkowane, aby sprawiedliwości stało się zadość. Z tych pohańbionych i strąconych duchów swój ród wywodzą wszyscy pomniejsi bogowie poczynając od Marduka. W żyłach Lao-cy też płynęły cherubińskie leukocyty, mędziła swoim zausznikom wieszczka świątyni Apollina. A cesarowie, a zmarli władcy, a przyszli kacykowie? Władcy to duch zupełnie upadły i krwią śmiertelną zhańbiony. Pamiętaj: *A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ziemskimi, byli na*

ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To oni wyprosili od ojców swoich krzesła tronowe i naczynia prawodawcze po wsze czasy. W encyklopedii niebieskiej są umieszczeni w księdze władania po stronie rozchodów, a więc zrównani ze stanem szatańskim i nic z ziemskich czynów nie będzie im policzone. Bóg dał. Bóg wziął. Bóg stracił. Bóg podniesie? A więc wolna wola jest jedynie iluzją, ironią i szyderstwem? Mechanika kwantowa łagodzi problem determinizmu, czyż nie tak? A obraz i podobieństwo, czyż to nie zasada jedności substancjonalnej, a nie problem wykorzystania energii w swoim bycie. A więc wolność wyższego rzędu to prawo do buntu, który tak czy inaczej, zostanie zdławiony przez niebieskie zastępy, a wichrzyciele wrzuceni w ogień wieczny? Nie, wolność zupełna to w modlitewnej pozycji Celnika szczegółowa kontemplacja łaski, która zagwarantowała nam to prawo. Wszystko, co poza tym, należy do materii grzechu i podlega fizyczno-chemicznemu rozkładowi. O zło nie należy się troszczyć, zawsze jest na podorędziu, dobro nas omija, a piękna trzeba szukać jak igły w stogu siana. Ale nie jest to jeszcze smutek bez dna? A na dodatek piękno powoduje gorączkę i osłabia organizm, a piękno absolutne może zwalić z nóg najtęższego osiłka, jeśli księżyc znajduje się w owej chwili w pierwszej kwadrze.

I dopiero w tej chwili Tomaszowi Didymusowi, jeszcze nie świętemu, przeszły ciarki wzdłuż kręgosłupa. Bogini piękności w jego lepiance! bieląca komnatę wapnem zmieszonym z ultramaryną w stosunku 1 : 10, ponieważ tylko takiego odcienia jasności dobre duchy nie potrafią ominąć, a on, biedny ale uczciwy Żyd jerozolimski, może ją poślubić i stać się alfą nowej półboskiej dynastii. Śmiertelność coraz większa, na jego wiek też już robaki zerkają, najwyższy czas nasienie słońcu pokazać. Orzeźwiająca rosa niech pada na nowe pokolenia. Bóg też jest ojcem, syna jedynego na ziemię zesłał na śmierć haniebną, więc do bram swoich nie dopuści Żyda, który nie zostawi po sobie męskiego potomka. Czy taki jest porządek rzeczy, czy fatalizm losu, który żyjąc w symbiozie z wszelkiego rodzaju przyczynami, na przemian staje się tezą lub twierdzeniem? Miecz Anioła Stróża wykuty jest z miedzi, tarcza mojry z damasceńskiej stali, więc aby zostać zwycięzcą w takim pojedynku należy dysponować sprawnością samuraja. A anioł jest stróżem, nie szermierzem, czyż nie tak? A wiara siłą, odwagą, drogą do zbawienia? I tu nie wiem, po co wtrącił się Lao-cy: ci którzy wiedzą, nie mówią, ci którzy mówią, nie wiedzą, i poszedł sobie dalej w swoje tao. Dlaczego

na płeć nadobną Jahwe patrzy nieufnym okiem? – zapytał Tomasz – nie słysząc słów Chińczyka.

Michał Jurewicz nie brał udziału w dyskusji, ciesząc się z przyjaznej atmosfery liczył głos kukułki, która nie wiadomo dlaczego zjawiała się w tych stronach. Będę długo żył, powiedział z uśmiechem, siedemdziesiąt lat w znośnym dostatku, potem coś się urwie. A ty masz przy sobie srebrniki? A więc nawet przy boku bogini będziesz klepał biedę. A jeśli chodzi o baby, to sto lat przed Jeremiaszem schizofrenik lewita Szaweł wymyślił bajeczkę o stworzeniu Ewy z żebra Adama. A kobietę stworzył zupełnie kto inny. Po stłumieniu rebelii Archanioła Michała Jahwe na tę cześć stworzył człowieka. Wypędzony z raju lecz nie pokonany, pełen demiurgicznych mocy Lucyfer z przekory stworzył Ewę, żeby nie posądzono go o plagiat nie ulepił jej z gliny lecz z życiodajnego mułu. I tak absolutyzm Boski zaczął łączyć się z demokratyzmem Lucyferskim, dając początek antagonistycznemu punktowi widzenia. Rodząc się wpadasz w te logiczne sidła, gdzie A musi być A i kropka, a jeśli twoje oczy odkryją inną perspektywę i zobaczysz świat od wewnątrz, uważają, że brak ci jednej klepki i traktują jak filozofa. Filozofa? Dobre sobie? Diogenes czy nie mieszkał w beczce, Sokrates nie wypił cykuty? Czy samo z siebie to wynikło, czy przez waszą sforę sobaczą? Widzisz, ja płaczę, przebacz. Ty jesteś jak chleb, jak ptak, który prześcignął swój śpiew, jak płomień nad świecą, a we mnie tylko chłód dalekiej ziemi i noc, która czuwa u progu i wznieca sny.

Naucz mnie tej modlitwy, orzeźwia, a moje serce jest codziennie po kolana w żółci, więc czuję się jak kot na puszczy w świecie ducha, poprosił Tomasz Didymus i skręcił w uliczkę wiodącą do wieczernika, gdzie zebrali się na łamanie chleba opuszczeni wyznawcy Mistrza Sprawiedliwości, pogrążeni w smutku. A co, mieli się radować, klaskać w dłonie i nucić pieśni? Mieli może przywołać Safonę lub popłynąć na wyspę Lesbos? Po co zaraz drzeć szaty! Przecież człowiek i Bóg to jedność, więc nie ma nic prócz Boga, jest to jedyny byt, reszta to istnienie z przypadku. A pokora i miłość? Miłość pokorna jest obłudna i niegodna tego miana. Tylko miłość do Jahwe jest prawdziwa, droga do niej wiedzie przez miłość doczesną, będącą ziemskim odbłaskiem piękna doskonałego i absolutnego, które przerasta i ziemię, i niebo. Mogli więc czy nie mogli zająć się natychmiast ikonografią i pisać na gorąco ewangelie?

Ciszej, ktoś nas śledzi, to chyba Barabasz, ten którego wypuszczono zamiast Niego. Ja go zabiję, postanowił Michał Jurewicz, obrażę i wyzwę na pojedynek, i zastukał pięścią w drzwi. Ktoś stał na czatach, bo otworzono im bez słowa. W kącie, na półce, paliła się oliwna lampka. Wszyscy siedzieli wokół stołu pogrążeni w sobie, nagle Kefas ni z tego ni z owego wstał i wypowiedział sakramentalne: *Bore pri hagofen...*, jakby to był czas Kidyszu. O czym to świadczyło? I czy w ten sposób powinna świadczyć Opoka? Kapłani egipscy, których Bóg i pan letnią rezydencję wybudował na Syriuszu i stamtąd nauk udzielał w dni wyznaczone, byli pasterzami czystej wody i całą wiedzę ziemską mieli w jednym palcu. Faraonowie byli im posłuszni.

Tak, to prawda, że jak wąż pełzasz i wszystko w wątpliwość podajesz. Powiedziałeś już wszystko? Tylko prolog! To pozmywaj po sobie i dorysuj nogi do śliskiej swojej powłoki, bo wolę być przekleństwem niż przeklinającym. Abba, sto czyraków spuść na jego język, i Tomasz razem ze wszystkimi usiadł przy stole. Spożywali, tak jak nakazał Mistrz: chleb, potem wino, następnie ryby i plastry miodu. Michałowi Jurewiczowi zachciało się nagle i to na dodatek czarnego kawioru, ale nikt nie kwapił się z podaniem. Tu nie gospoda, ofuknęła go zawsze usłużna Marta i splonęła, szkoda, że nie żywicznym ogniem, tylko rumieńcem. Bo oto przez zamknięte drzwi wszedł Rabbi. Michał Jurewicz nie zauważył wejścia z powodu swojej grzesznej natury: myślał o Atlantydzie. Legendy celtyckie, ba, kapłani egipscy. Platon potwierdza, mówią, że czas na tej wyspie nie istniał, a nieśmiertelność jest przyrodzona, nawet śmiertelnik, kiedy się tam dostanie, zostaje pozbawiony tej ludzkiej zakały. Czyż nie tam czekali wszyscy święci i prorocy Izraela na przyjście Zbawiciela? I oto przyszedł on wreszcie! zajrzał do ich otchłani i nas odwiedził! Tomasz padł mu natychmiast do nóg i pierwszy poprosił o błogosławieństwo dla siebie i Afrodyty. O nędzny rodzaju! kiedy spojrzysz na mnie właściwie! Bogowie Grecji wyrzekają się swoich godności i jednym z was się stają, czy nie pojmujecie tego, Rzym padnie na kolana i inne mocarstwa pójdą w ich ślady, krwi tylko dużo w żyłach się zepsuje, a jeszcze więcej niewinnie przeleje. Uczcie się uczciwie rozmnażać i uczciwie rozmnażajcie moje nauki. A gdzie twój szadchen? – i mrużąc oczy spojrzął na Jurewicza: I ty tu jesteś? Grzeszę, więc jestem. Zaraz odejdziesz swego miejsca strzec, a ja wrócę do ojczyzny odpocząć trochę. Uważaj, zła gwiazda zacznie promieniować na ciebie, nie daj się zwieść, to pierwszy znak końca, który Ojciec przeze mnie objawia. Idź,

czynić swoją powinność. I Michał Jurewicz pokornie opuścił izbę, a przyzwyczajony oczy do ciemności dojrzał siedzącego pod tamaryszkiem Barabasza. Zabić? Za co? Jeśli tego nie uczynisz, a puścisz go, ani tobie panować, ani mnie, i zaczął się skradać, aby kozikiem wyłuskać mu oczy, bo innej broni pod ręką nie miał. Barabasz czekał, ścisnął pod okryciem z koziej skóry rękojeść swojego zbójckiego miecza. No cóż, zaczynaj! warknęli jednocześnie i już jako psy rzucili się na siebie, zadając sobie tyle ran, że upływ krwi pozbawił ich świadomości. *Si duo faciunt idem, non est idem? Ex oriente lux, fiat lux.* I oto Duch Święty wstąpił w nich, zbudził na powrót ich zmysły, nie obdarzając żadnym charyzmatem, nawet siódmym zmysłem. Niech zobaczą miasta jaśniejące wielkością, kwitnące cerkwie i chrześcijaństwo rosnące, miasta ikonami oświecone i pieniami pochwalnymi i kadzidłami woniejące. A ty myśl, lecz pamiętaj, że kto grzeszy przeciwko mnie, nie ujrzy jasności, bo ja jestem i z Ojca i z Syna, i gdyby nawet wszyscy bogowie potracili imiona, ja zostanę tym, czym jestem. Wierz we mnie, a ominie cię strach przed śmiercią i śmierć cię ominie, wcześniej zauważysz jej nieobecność, bo aby móc żyć nie Boga wymyślono, lecz właśnie śmierć. Z wszystkiego, co wysnuło i wysnuje się z ludzkiej myśli, ma wartość tylko to, co nie bierze w rachubę czasu i materii. No, jesteśmy na miejscu. Wkrótce z nocnej pomroki wykluje się słońce. Niebawem się spotkamy. Nic wam nie dałem, lecz coś na pewno zostawię, nie wiem co i wy wiedzieć nie będziecie, od kogo otrzymaliście taki czy inny talent, który nagle odkryjecie w sobie.

5.

Przylatuje do mnie smok i zmusza do stosunku płciowego ze sobą ukazując mi się we własnej postaci, ludziom zaś pod postacią mojego męża. Każdego poranka przypominał sobie twarz kobiety, która wypowiedziała te słowa nie mając odwagi popatrzeć mu w oczy, choć usilnie o to prosił. Co chciał zobaczyć w jej oczach? Duszę? Tak, chciał zanotować czy duszą tej duszy jest Bóg! Tylko tyle? Nie! chciał jeszcze zobaczyć wpływ grzechu śmiertelnego na jasnyniebieski kolor, kolor jej oczu i nieba. A jaki przyjął probierz prawdy? Akty poznawcze wyzwalały przecież samooswietlającą intuicję intelektualną. Czy każde poznanie uważał za

prawdziwe? Tak! ale go nie objawiał nikomu, milczał: ciesząc się, że objawiają mu się wieczne tajemnice boskiego przymierza. A czy to nie jest udręką? Owszem, to było wielkim bólem. Od pierwszego spojrzenia nie odgadł, z jakim grzechem przestąpiła niewiasta próg jego celi i dlatego w tej chwili leje się po wapiennej ścianie krew zorzy porannej. Przedtem nigdy nie zauważył tej rozprutej żyły. Czyja to krew? Przelana niewinnie? A może sama świeżość odrodzenia, ziemską dziewiczą przestrzeń, w którą trzeba wchodzić z jarzmem słowa i dłutem. Toż to ona na tej ścianie, upadła owieczka, nieczyste naczynie czy Leda? Gdzie jesteś święty Jerzy? Smoki bezczeszczą kobiety, plemię szatańskie w odzieniu gadów sieje spustoszenie. A co przyszło na świat ze związku Dzeusa z Ledą? Helena. Troja, Kasandra, Parys, czy tak? Bogowie nie umierają, zmieniają tylko imiona, strach pomyśleć o Iliadzie, lecz należy szczególnie teraz przypomnieć, że skończyły się imiona przypisane bogom, to jest już ostatnie i czas dobiega końca.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Starzec monasteru Andronikowskiego Michał Jurewicz skończył poranną modlitwę i wypiwszy kubek zimnej wody zaczął czytać list, jaki otrzymał jego poprzednik od kobiety, którą nawiedzał smok. Donosiła, że mikstury, zaklęcia i modlitwy nie zdołały odpędzić i ostudzić zapałów miłosnych ognistego gada, a ona sama nie odczuwa już odrazy i odnosi wrażenie, że jej łono napęlnia się nową istotą, bo księżyc nie wymaga już od niej, aby brudną krew oddawała ziemi. W ostatnich dniach nawiedził mnie anioł ze srebrnymi skrzydłami, odziany w pomarańczowe szaty i obwieścił, że pocznę syna, który będzie święty i wielki przez wielbienie niebios kolorami, bo tylko on znać będzie oblicze Trójcy Przenajświętszej. Grzech to okrutny mieć taki biblijny sen. Starcze, wspomagaj, módl się za mnie, być może twoja pokora natchnie cię myślą, która wyjawia, czy sen jest anielski, czy szatańska to igraszka. Na marginesie listu był odnośnik mówiący, że ihumen nic nie powiedział, z północy pochodził, pół nocy szumu sosnowego lasu słuchał przez lat dwadzieścia, pogaństwa na całe życie się nabawił, wiosną w młodym życiu kładł się na wznak i żył jak roślina, żyły pęczniały, a w żyłach ożywały żywoty żywiołów wszelkich. I te przeżycia przeżywał w okresie przednowka tak zachłannie jak ziemia żyzna. A myślał, że to gleba, czarnoziem oddaje całoroczną tłustość naturze, aby zmasała z niej sromotę, barbarzyńskie znamię, i pomogła wydać na świat człowieka tak utalentowanego, żeby pierwszą ikonę, jaką jest Chrystus, Bóg niepojęty i niewidzialny, przedstawił w prawdziwej

ludzkiej postaci i przekazał nie oczom lecz zmysłom. I to jest prawdziwy sens snu, podpowiedziano. A czy czas był oznaczony datą? Nie, na liście tego drobnego szczegółu wieczności Michał Jurewicz nie zauważył. Kogóż mogły poprzedzać takie znaki?

Starzec przywitał nowicjusza i poprosił, aby przypomniął mu jego sen, sen śniony jeszcze przez młodego Michała Jurewicza, który zapadł mu w pamięć na całe życie, ale mógł już przecież coś niecoś zgubić po drodze.

Zapamiętane i opowiedziane było tak: wychodząc z wieczernika zobaczyłem Barabasz a i wyzwalem go na pojedynek. Powiedział, że czekał na to. Podał rzymski miecz. Walczyliśmy jak lwy. Ktoś nas zauważył i przywołał legionistów. Setnik kohorty widząc, że władamy bronią jak prawdziwi wojowie, domyślił się, że załatwiamy między sobą sprawę wyższego rzędu, więc nie interweniowała oświetlił tylko plac pochodniami i przyglądał się walce ze szczególnym zadowoleniem, w niektórych momentach cmokał nawet z uznaniem, co wskazywało, że był znawcą fechtunku. Zmagaliśmy się ze sobą już trzecią godzinę, zacząłem opadać z sił i w chwili, kiedy pomyślałem, że oto nadchodzi moja ostatnia godzina, bo oczy i zręczność Barabasza nie wyrażały zmęczenia, zadałem śmiertelny cios. Zwalone na ziemię ciało zwijało się jeszcze w konwulsyjnych drgawkach umierającego człowieka, a ja i dusza Barabasza zostaliśmy przeniesieni, za sprawą Ducha Świętego, na moją rodzinną ziemię. I śpiąc pod rozłożystym dębem, który tej nocy był naszym dachem, widziałem jak dusza mojego duchowego brata Andrzeja Rublowa została połączona z duszą Barabasza w absolutną jedność. I powiedziano jeszcze, że Barabasz nie był żadnym złoczyńcą, tylko wielkiego formatu artystą, który odmówił wykonania rzeźb do pałacu Piłata Poncjusza. Do odmowy dodał jeszcze obrazę mówiąc, że jego rzeźby wzruszają tylko ludzi, którzy obdarzeni są dodatnim stygmatem wieczności, został więc wtrącony do lochu i skazany na ukrzyżowanie.

Po przebudzeniu nie opowiedział swojego snu Andrzejowi, bał się jego reakcji, lepiej nie kusić licha, dzwoniło w pniu stuletniego dębu, umyćcie się zorzą poranną i idźcie szybko tam dokąd zmierzacie. A czyż nie pod pniem stuletniego dębu ukryty jest święty Graal? Gdzie jesteście królu Arturze?! Cisza. Kraj obietnicy świętych milczy, czujnie strzeże tajemnicy niedostępnej śmiertelnikom, bo straszliwy jest sekret sięgający poza pierwiastek życia i śmierci. A oto na dróg rozstaju dziewczyna oplakuje rycerza. Strach zapytać, co się przydarzyło. Czy jeśli ma się mówić o pokoju, należy wznieść szaniec na grzbiecie góry,

głowę nad wierzchołek kurhanu, a włócznię nad głowę? Długie życie bez czci czy śmierć chwalebna w młodości? A wszystko wypływa z tragicznej miłości. Włosy jak kruk, lica jak krew, ciało jak śnieg – i zaczyna się waśń serca z duszą, zaczyna się wojna między pragnieniem a posiadaniem. Zwycięzców się nie sądzi, lecz podstępnie truje. Ale nad ziemią rodzinną wisi ojcowskie niebo pełne aniołów, których w ciężkich czasach należy chronić od złych oczu i ukrywać przed okrutnymi ludźmi, stać się ich stróżami, tak jak kiedyś oni byli i kiedyś na powrót będą czuwać nad nami.

Kniaź Newski już dawno nie żył, ciągnął monotonna Jurewicz, patrząc w oczy siedzącemu obok nowicjuszowi, więc przez tych parę lat spokoju, powiedziałem do Andrzeja, całego siebie należy poświęcić Bogu, rozsławić jego imię każdym użytkowym rzemiosłem, a zwłaszcza ty. Twój talent to służba boża, zostałeś wybrany, więc musisz pracować bez wytchnienia. Bo tylko przez ikonę przybliży się niebo do ziemi, aby wnieść ku sobie człowieka i przeistoczyć go aktem czystej łaski, usłyszał. Tak, wszystko jest względne, kniaź Aleksander lubił chana tatarskiego, który był nestorianinem. Ludzie opowiadali, że drwił z Bogurodzicy Włodzimierskiej, wbijając wzrok w ziemię nie doznał olśnienia, chociaż miał nadzieję zobaczyć tam coś innego niż glinianą polepę. A co miał robić? paść na kolana przed łacinnikami, hołd składać kawalerom mieczowym? Miał prawosławie sprzedać? Trzeba budować i mieszkać, ogradzać, wprowadzać się w spokój, bo choć posiadaliśmy najmniejszy skrawek ziemi, zdaje się on być bez końca, jak wiara, z której nigdy nie wyciągniemy logicznego wniosku, tak jak ze swojego istnienia i dlatego ciągle będziemy wierzyć, żyć i czynić ziemię poddaną śmiertelnym stopom. Orda to apokalipsa, jęczały oczy swoim jasnyniebieskim, tylko tu spotykanym specyficznym odcieniem, potwierdzały lniane włosy i skóra jak mleko biała, krew tatarska jak morowa zaraza zaśmieci wszystkie księstwa na wieki wieków. Ktoś inny dokończył dość głośno: amen! Obudzone echo chwyciło w pośpiechu to ostatnie słowo i na oślep pobiegło przed siebie, roztrzaskało się o niedalekie mury Kremla i wróciło już jako anagram: nema. Otóż to! Jaki sens wynika ze słowa uważanego przez nas za anagram, w istocie to tylko w złości dana odpowiedź, którą można było wymówić spokojnie i poprawnie. Kraj będzie wielki, ale chory, a jeśli ktoś jest chory wypala się w nim pokora i biesy lubią buzować w takim człowieku. Okrutny czas, język przestaje łączyć ludzi i nie wyraża koniecznych pojęć, stał się nieczysty, skażony i niebezpieczny jak frontowa ziemia.

Bez przerwy sięgamy po głoskę ch, dobrze to czy źle? bez przerwy jesteśmy w potrzebie, a ona jest fundamentem wszystkiego, co ochrania naszą egzystencję, poczynając od chaty a kończąc na chramie.

Chętnie posłuchałbym byliny.

Ona w tobie, tyś opowieść, niesiesz miłość jelenich rogów i bez zbytecznych sporów kładziesz się do trumny, a oddech twoich wiernych koni jest krwawiącą wiecznie włócznią! Moje prawdziwe imię Kosma, Lachem jestem w jasyr uprowadzonym jako dziecko, smerdowie mnie po drodze wykradli i w Zagorsku ochrzcili, a teraz masz, jedz, bo umrzesz z głodu, i nowicjusz wcisnął Jurewiczowi kawałek świeżego chleba. Dalej powiedziane było, że Kosma chował się w rodzinie bezdzietnej. Początek jak w bajce: gospodarz bogaty lecz głuchy, gospodyni piękna lecz z biednego rodu. Zakochała się ona w swoim wychowanku. Kosma czuł bez przerwy na sobie jej miłosne spojrzenia, lecz bał się zbliżyć do niej, rzadko zachodził do chaty i na krok nie odstępował gospodarza. Wielka miłość w niej była i złość, bo usta całkiem zsiniały. Straszna jest miłość nie odwzajemniona i symbolem jej jest ślepa sowa; siostra ciemnych zaświatów. Będę cię całowała, pieściła, będę do ciebie należeć jak żona. I wyróżyla z oparów śmierć dla swego męża, a dla Kosmy głęboki sen na jawie, bo czuł i widział jak go pieści, całuje, jak jego nasienie z jej nasieniem jednością się stają. Lechistan ci stworzę. Łasków narodzę, lecz odszedł od niej, do monasteru wstąpił, aby jej i swój grzech odpokutować przez malowanie ikon i ozdabianie cerkwi.

Bracie mój, krzyknął Jurewicz, ty masz swój żywot i Lechistan, i tu, i tam, i Bóg cię ma w swoich rejestrach, a ja tylko sen ten posiadam, chodźmy szukać mojej młodości. I mojej pamięci. Nie wiem, skąd przybyłem, może Andrzej to wie? Widzisz, co tu jest napisane, i palec wskazał podpis na liście: bojaryni Rublowa, Natalia Pietrowna. To on jest pomazańcem tej ziemi, on zbawi całą Ruś i każdego kmiotka przemieni w Serafina, tylko on świadczyć będzie o nas i o tych, którzy odeszli i nie narodzili się jeszcze. On to cała Ruś, najistotniejsza i najwspanialsza, taka jaka została stworzona na pożytek. Każdy kto patrzy na ikony, uczestniczy w jej wewnętrznym życiu, wyzwala się z funkcji ziemskiej i staje się naczyniem, w którym ożywa krew niebios. Nawet Sergiusz z Radoneża uwierzył mi, że każde imperium żyje tak długo jak człowiek, najwyżej sto lat. Ruś już przeżyła swoją młodość, teraz trwa wiek dojrzały, boski można rzec, żyjemy w raj, w prawdziwie ludzkim domu. Och, co teraz się nie

narodzi, same cudeńka będą cieszyć naturę. I dobrze, za kilkanaście lat przyjdzie starość, długa, okrutna, trwająca może tysiąc lat, chwytająca się brzytwy, w martwe skarby z metalu i kamienia bogata, lecz śpiąca z włócznią pod poduszką i przez drużynę wojów, germańskim duchem okadzonych, pilnie strzeżona. A moi Piastowie? – zaciekał się Kosma.

Daj kubek wody, niech trochę ochłone. I tu do rozmowy wtrącił się Archistrateg Michał, który sprawował pieczę nad księstwem. Czy podsłuchiwał? Nie, rozmyślał spacerując, myśli miał filozoficzne, a więc pełne fałszywych mądrości. W pewnym momencie spostrzegł, że jest już bardzo daleki, nawet od prawdy, którą sam jest, wszedł więc do monasteru, aby porozmawiać z kimkolwiek i o czymkolwiek. Czy potwierdzasz to głową? Po co zaraz głową, nie wystarczy jedna komórka, zawierająca w sobie mądrość tysiąctomowej encyklopedii. A czy mitochondria i rybosomy nic ci nie mówią? Zgoda, nie dzielimy włosa na czworo. I co powiedział? Najświętszą prawdę. Kiedyś dobrym duchom wolno było chodzić po ziemi w odzieniu ludzkiego ciała. Dnia pewnego Archanioł Poloniusz zszedł na ziemię, aby porozkoszować się ludzkim spokojem. I tak wędrując natknął się na śpiącą nad brzegiem jeziora dziewczynę o nieskazitelnej urodzie. Na ten widok tak wielka miłość wstąpiła w niego, że musiał natychmiast porzucić ciało i skryć się w raju, aby nie popełnić śmiertelnego grzechu. Opuszczając w pośpiechu ciało pozostawił w nim cząstkę swej duchowej mocy i rozrodczego soku. Obudzona dziewczyna widząc przy sobie umierającą duszę, czym prędzej zanosła ją do pobliskiej chaty i naparami z ziół przez wiele dni wrywała z rąk śmierci. Kiedy otworzył oczy, w których płonęła już pewnośc życia i jego źródło, zapytała o imię. Nie dał odpowiedzi. Piastowałam, więc zwać cię będę Piastem. Nie chcę, myszy zjedzą potomka, prapra, praprawnuka, słodkowodne gryzonie, one to lubią, słodkie jest ludzkie ciało. Czy nie można mieć dwóch żon? Och, zanim się księżyc odmieni, trójką będę dla ciebie. Dowiodę ci swojej wierności, całą rozpustę w twoich ramionach zostawię. Czy nie smuci cię mój pas cnoty? Cnota krzyżowa pod kutym żelazem. Robak pokonał wybrańca mojego, lecz dzisiaj się odmłodzi mój stan. Słyszysz płacz? Kto tak zawodzi? Dziecko, które narodzi się z ciebie. Słone oczy twoje i zielone morze wieszczące, kto drugi brzeg zobaczy? Pójdę tam, zmienię pieluszki naszemu pierworodnemu, a ty pas mój odepnij i odwróć klepsydrę księstwa – tik-tak, zaraz zadzwoni kurant. Godzina jak zwykle gadziną. Kto zmierzy wieczność, do której drzwi otwieramy. Och, pozwól mi wyjść z twoich oczu, Piaście, och, nie, zepchnij mnie w

głębiny, nie pozwól się narodzić, urodzić chcę tylko z szacunku dla natury, żadnego Boga nie ma w kobiecie za dnia, tym bardziej w nocy. Stojąc już na progu żrenicy, śpiewała chwałę Stwórcy. To on skrzydłem swoim zapisał na lustrze wody tajemną wiedzę. Ochrcimy świat! Daj Boże, szczęście, i już szczęśliwy szczęk oreża za waszą i naszą, w imię ojca i honoru rzuconego w ziemię rodu. Bo cóż jest piękniejszego niż tarcza i klejnot? I rycerz spryskany krwią niewiernych? Mowa niebios, czy do niebios? Uśmiechając się otworzyła oczy. Obok niej mąż i ojciec wielkich królów tej żyznej polany. Będziemy rządzić, wstań i chodź na tron swój zasiąść. Upojony słowami Arcystrateg Michał, opierając się na swoim drewnianym mieczu, poszedł już sam w dalszą historię zostawiając ich samych.

Egoista!

Nie krzywdź człowieka, sprawiedliwość przede wszystkim. Nie widziałeś jak mu łzy ścisnęły gardło. Gardło we łzach – agonia. Trzeba włosy posypać popiołem i szloch zanieść w miejsce należne. Kazimierz Wielki, Piast ostatni z krwi Archanioła Poloniusza, pochował Polskę, skromny to był pochówek i wstydlivy. Zacerwienił się, oczy wbił w ziemię, sromota to wielka być Wielkim z powodu kobiecych przymiotów w męskim ordynku chodząc i dziedzica po sobie nie zostawić. O wielkie niebo. Małopolska marmurek mu na pierś zafundowała i w murku na widoku pochowała. Brzmi to jak pieśń pasyjna *matutinum tenebrarum*. Nie w tym języku, mój synu i bracie. *Agios o Theos, Agios Ischyros, Agios athanatos, eleison imas*. I ja nad tobą ostatni raz! Robię wyjątek dla twego niecielesnego sieroctwa. Nie wódz mnie na pokuszenie, bo świecę zapalę nad twoją duszą: i przypomniał sobie niedawno stoczoną bitwę pod Grunwaldem. Wieża Babel, usłyszał, nic tam twójgo prócz sztandaru. Święte symbole, na drzewcach dzidy. Bogurodzica – klucz do zwycięstwa. Beznasiennność miecza. A Panu naszemu tylko chleba ludzkiego trzeba, aby głodu nie cierpiał i łaskawe oko wzmocnił monoklem trzykrotnie powiększającym. I ja już czuję głód, posilmy się.

Podeszli do ikony, przyklękęli i zaczęli spożywać modlitwę w skupieniu i z powagą, lecz roniąc okruchy do specjalnie podstawionych koszy, jako dar dla ptaków niebieskich nie znających sztuki wiązania słów. Kwileniogruchocwierkaniem celę maילו wróblowate i srebrnozłotopióre zwierzchnictwo, nie znające rdzy czasu i śmiercioodejścia, z którego Andrzej Rublow, czekając na Jurewicza, w onej chwili grzeszącej obzarstwem, wywiódł

śmierciopowrót: może nie wiem, co czynię, ale wiem, że tworzę. Muszę być okrutny i chytry jak wąż i precz odrzucać od siebie wszelkie przykazania. Jak wielką udręką jest wyprowadzenie Boga żywego z majestatu tylko po to, aby dostrzec cechy, których korzenie tkwią w człowieczeństwie. Potwarze, kaźnie, stracenia i tak mało radości w tym kole powrotów. Ikona to nie tylko słowo i obraz, lecz symbol najświętszej i najstraszniejszej tajemnicy. Moja ikona! Bóg stworzył świat, a ja stwarzam Boga, Tego, który tchnął we mnie dech. Złym duchem nie jestem! Więc kim jestem prawosławiąc?! Przyglądaj się swojej ręce, nawet pobieżnie, zerknij jak na coś obcego i powiedz, czy taką ręką można pieścić? wznieść ją w litościwym geście? ułożyć na żebraczy sposób? Sam nie wiesz, ile jest mocy w tych nad wyraz delikatnych dłoniach i specyficznie wykrzywionych palcach. Jestem rozbitkiem, cudzoziemcem, nie tylko tu, ale w każdej krainie na tym świecie. Patrząc widzę jednocześnie narodziny i śmierć, maleńki prześwit między tymi biegunami dostrzeże tylko ten, kto potrafi patrzeć wnikliwie w siebie. Michał Jurewicz wskazał mi to źródło, kiedy nie mogłem zrozumieć Teofanesa. A dlaczego wążiuteńka szczelinka, pomimo wszystko istniejąca, między początkiem i końcem, Jest dla mnie taka szeroka? Tylko miernotom brakuje czasu? I ta samotność, nie narzekam, nie pomstuję, nie przeklinam, samotność – przekleństwo, samotność – ukojenie, samotność – radość, bo jakże samotny jest Ten, którego powołuję do życia, nie mogąc mu dać niczego, prócz swego zmaganiowz wątpieniocięcierpienia. Boże, przebacz, wspomagaj mnie sierotę, Rzekoboże, rybakiem zostanę, Dęboboże, drwalem byłem, Ognioboże, popiołem się stałem, Barwoboże, zmiłowania nie pragnę tylko talentliwej ręki Twojej, widzisz, serce moje staje, tak jak ja Ciebie, tak Ty mnie wkomponuj teraz w deskę, nieomylnie i bezlitośnie narzuć swojomoje cechy słojom ikonostasu i chrysmem namaść. Pamiętasz Prometeusza? I ty Boga okradasz, profanujesz lecz wspomagasz, nikt nie wie, w czym palce maczasz, niech więc się stanie według logosu twojego. I po czystych, jak sztuka lnianego płótna, zalanych słońcem niebiosach grom się przetoczył.

O, słyszysz, czy to przypadkiem Andrzej nas nie woła? – spytał Kosmę Michał Jurewicz, chodźmy, muszę go w takich chwilach pilnować, bo może późniejszemu światu swoją ranę najgłębszą odsłonić i na jeszcze wyższą górę krzyż zanieść.

Niech to czyni, podniecił się Kosma, wszystko zda się psu na budę, więc może to zostanie i od wiecznej Ordy wybawi.

A czy w liście nic więcej nie było napisane? A co komu do domu jak chata nie jego! Inkwizycji Świętej nie cierpię! Pewnie, że było, ale Michał Jurewicz za pazuchę schował, kiedy grzmot usłyszał, lecz zaraz, sytością ducha złagodzony, Kosmie przytaknął i do czytania nie wrócił. Wziął z kąta kij brzoźowy i razem z nowicjuszem nieapostolskim krokiem ruszyli do Moskwy. W soborze Błagowieszczeńskim nie znaleźli Rublowa, a Daniil Czorny ze zdziwieniem wzruszył ramionami: słaby jest, pędzel mu z rąk leci, a odpocząć nie chce. A ja wiem, gdzie jest dziadek, zaszczebiotała płowowłosa dziewczynka, w tej ikonie, i wskazała palcem. Daniil pogroził. A ja się nie boję, bo widziałam i słyszałam, jak mówił, coś szeptał do obrazu, a ikona nie odezwała się ani razu, tylko światło spadło z niebios i przemieniło go w tego tu oto Zbawiciela. Garb dziewczynki nie pasował do świata i drażnił wszystkie oczy, stała jak bluźnierstwo przed nimi i marzyła o zrównaniu dnia z nocą: będę świadczyła o nim do tchu ostatniego, a on da mi piękność jaskrawą i wzniosłą i nie będę potrzebowała męża, bo będę żoną posłania, które mi w spadku zostawił. Czy tak można interpretować obraz otaczającego nas świata? Potrzeby zmysłowe tworzą metafizyczne groteski, nie można jednak odrzucić tezy, że erotyzm jest jedną z demiurgicznych mocy kultowych w siedlisku ducha. Bez odkupienia zbawienie było tylko czcym słowem. Miał alternatywę: nas od Adamowej skazy uwolnić lub dać początek nieśmiertelnej dynastii ludzkiej. Garb przechylił szalę. Swoją myśl tam odkrył, czy zafascynowała go egzotyka górskiego krajobrazu? Czy fatalizm świadomie wybrał, czy inicjały jego świeciły tam przed nim? Kreować garb na odrośl duchową człowieczej egzystencji Michał Jurewicz nie miał zamiaru, choć intuicja podpowiadała mu zdania nie gwałcące estetycznej harmonii. Ograniczył się tylko do milczącej aprobaty garbem popartego słowotoku. Gdzie się zaczyna hybris? i kończy śmiertelność? Być sobą to być Bogiem, wbrew wszystkiemu i wszystkim, godnym przeciwnikiem czasu, czyż nie tak? I Michał Jurewicz dostrzegł w strasznej źrenicy Zbawiciela Rublowski świętobłysk radości jako znak potwierdzenia. Z tego błysku wysnuwał się początek nowej kosmogonii, więc Anu już siedział na ustach, by wyfrunąć ze słowa. Trzydziestosekundowy, prawnie zagwarantowany pobyt na ziemi, w czasie jednego tysiąclecia, nie został ożywiony myślą Michała Jurewicza, którego wodził na pokuszenie, więc król bogów zniknął w swojej otchłani już na zawsze, a jego miejsce zajęła Thazelteotl, pożeraczka nieczystości. Głodna jest, przemknęło przez myśli, grzechy moje starczą na lekki posiłek i Jurewicz zaczął wyliczać

winy. Znajdował się w świątyni, więc był makroczłowiekiem i mikrokosmosem, a będąc częścią Trójcy i czterech elementów materialnych – co w sumie dawało siódmkę – mógł popełnić siedem grzechów. A któż zmysły dzieci Boga Ojca nasyci? A Abelarda za co wykastrowano? co?! Jednostkowy wzlot ducha jest zawsze słupem milowym, ale nie każdy podróżuje. Ten kto łączy w skrytości ducha z ciałem, nie wchodzi do historii, tylko ciało dodane do ciała znajduje odbicie w linearnym zapisie. A rola Heloizy? Dla Stwórcy Abelardów i tłuszczy kobieta nigdy nie była, nie jest i nie będzie ani skutkiem ani przyczyną – zawsze pretekstem. Judasz nie nosił piętna od urodzenia, wykonał tylko czarną robotę Marii Magdaleny, która w miesiącu Adar tak upodobniła się do Nauzykai, że Mistrz postanowił ją oszczędzić i los padł na najbardziej rzucającego się w oczy: rudego. Szacunek dla Homera nie został zachwiany, postawa Odyseusza stanowi do dnia dzisiejszego wzór chrześcijanina: walka z siłami szatańskimi, niewiernymi i heretykami, skrucha, a potem szczęście na łonie domu-kościół. A ja wołam króla Artura, genetyczna myśl się snuje, drży w przestrzeni jak święci w ikonie i drży Jurewicz na wietrze losu oczy podnosząc i przed Rublowem Zbawicielem klękając: rycerzem do końca zostanę, bok ci mogę przebić. Och, jaka włócznia ciężka i krwawiąca, pomóż mi Kosmo, z nóg padam. Smutno mi, kto ze starości umiera, do czyścica iść musi, choćby łąką krystaliczną. Silny wiatr już pędzi ciemne chmury, wypełźnie z nich gwiazda i sina błyskawica grom wielki zapowie. Pomóż mi, Kosmo, do celi wrócić, Rublow mnie woła, słyszysz? Nie gorączkuj się, Andriusza, już biegnę, prosto z cerkwi, Kuźmie tylko przekażę, aby mnie w kurhanie pochował. Dlaczego w kurhanie? A dlaczego w piramidach? Dobrze, idź już, zamykam ci oczy, Danił Czorny składa ci ręce, garbuska czyni znak krzyża. Z tęsknoty ci się zmarło, z miłości do syna Andrzeja, twój syn to był, ja wiem, śpij w spokoju, godnie cię pochowam i daleko, koło świętego miasta Kijowa, w kurhanie scytyjskim, tam światło wiekuiste ci zaświeci, po drodze mi tam, do domu wracam, do swoich.

6.

Już nie posepny, bo wina została zmaszana, a więc już nie duch wygnania lecz szeregowy anioł, płodnego wieku święta narośl, po grzesznej stepowej ziemi, w spiczastej wojskowej czapce, z gwizdem: *psom otomanom i polskim panom kanaryjoczka żalobno pajot*, pędził cwałem na koniu terskiej rasy były Demon z poematu Lermontowa. Czy śpiew uskrzydlał ideę, czy był sztuką dla sztuki? W krajobrazie radości było niewiele. Za wzgórzem pokrytym nieśmiertelną, bo odrodzoną z popiołów trawą, karabin maszynowy dziurawił świadome życie; ognisty język zabijał i wniwecz obracał wszelkie argumenty umysłu i serca. Poprzez ostry jazgot broni małego kalibru przebijał się ochrypli bas dalekonośnej armaty, lecz ręczyć za to głową nie warto, odgłos tej niskiej tonacji mógł pochodzić z zupełnie innego źródła, niewykluczone, że wydawała go od paru dni nie dojona krowa, której gruczoły mleczne rozsadały wymię. Z czterech trupów leżących w zasięgu oka dwa po bezsensownej śmierci, a czy inna istnieje? bezsensownie patrzyły w horyzont, trzeci z zamiarem włóczenia się i straszenia po okolicznych jarach przycisnął piersi do ziemi, tylko ostatni prawie pół nagi z ustami ułożonymi do stworzenia słowa po ludzku patrzył w niebo. Czy ten kryształowy optymizm został zauważony? Nie sądzę, a jeśli tak, to bez głębszego podtekstu, powszednim wzrokiem sanitariusza czy innej osoby z urzędu duchownego lub świeckiego. Warto by wymówić słowo: miłość. Miłość? A komu ją ofiarować? Nieboszczykom czy dziewczętom sztabowym, którym po nocach śnią się lilie, symbol matki dziewicy? Step zawsze pachnie krwią i rozpustą. Miłość cielesna jest początkiem miłości mistycznej, przynajmniej u rodzaju żeńskiego, tak twierdziła święta Brygida. A rodzaj męski? Wiedza wiedzie do Boga, skrucha kruszy grzechy, skalane staje się na powrót niepokalane. I Demon niepokalany dla kozackich oczu ruchem zeskoczył z konia przed kurhanem usypanym jeszcze ze scytyjskiej ziemi. W jego oczach nie płonęła zachłanna ciekawość historyka, nie odnotowano również nikłego lecz świętego blasku archeologa, ale ruchy wskazywały na to, że przybył tu w misji specjalnej.

Kurhanie! Kur chanie! Księżyc na niebie, niedźwiedź w lesie, mój przyjaciel w mogile, złączyć ich muszę, dać im mocne słowo na drogę przyrzekłem ojcu swojemu porucznikowi Lermontowowi, uchyl swoje podwoje!

Słowa jak miód i piołun, smak dość specyficzny. Witaj derwiszu!

Ułaskawiony Demon i ztorturowany Sawmaka, czciciel słońca i buntownik. Dla spokoju duszy drzwi zostały otwarte.

Jeszcze dzisiaj wspomnę o tobie, Michale Jurewiczu, krzyknął Demon, ja ci każę wstań i wyjdź! obudź się ze snu. Jurewiczu! szaleje wojna, to rozkaz: w szeregu zbiórka!

Ku chwale ojczyzny, mruknął Jurewicz żegnając chana i zawiedzionego niewolnika scytyjskiego podrażnionego zapachem swojej młodości, i sprężystym krokiem opuścił miejsce wiecznego spoczynku.

Źródło prawdziwej miłości nie przestaje tryskać orzeźwiającym napojem. Nie bądź Tristanem, bo we łzach się rozplnę, widziałem jak gwałcili Izoldę. Piękne kobiety powinny w każdych czasach nosić pasy cnoty.

A Tamara?

Jest w rękach anielskich, a ty o chuci myślisz, wygaś do reszty ogień piekielny. W czasie wojny nie należy stawiać skutku przed przyczyną, ojczyzny przed Bogiem, kobiety przed miłością, w armii wszystko musi być w szeregu, wypionowane i wypoziomowane komendą: równaj w prawo! Dlaczego przerwano mi żywot wieczny?

Rozkaz Arcystratega Michała. Za zasługi wojenne zdjęta została ze mnie klątwa. Pośpiesz się, Tamara na mnie czeka.

Królowa Tamara? A Szota Rustaweli: tylko on może mi dać uzdrowienie. Twoja krecia robota sprawiła, że porzucił życie świeckie i schronił się w monasterze Świętego Krzyża w Jerozolimie, czyż nie tak? Co teraz z nimi będzie? Gdzie jest w takim razie ta cholerna Arkadia? Nie doczekawszy się odpowiedzi, ściągnął z siebie śmiertelny całun i popatrzył na odbicie swoich gnatów. Relikwia. Na Spasa do Ławry Pieczerskiej zaniósę i spienił się na widok cywilnego ubrania, które mu podsunięto. Ale czym jest złość wobec logicznego i straszego argumentu? Jurewicz poczuł stryczek na szyi, pistolety przyłożone do skroni, nadto pluton egzekucyjny przed komendą: pal! lecz nie stracił panowania nad sobą. Spokojnie naciągnął na siebie odzienie kupieckiego stanu i siwiał ze zgrzyoty, która jest wyrazem

cielesnego skupienia i wyjątkowym stanem ducha. Stary mędrzec mrugnął do niego filuternie zza pleców Demona i poszedł dalej wiosennym gościńcem. Czy była to jedyna pociecha? Raczej błogosławieństwo, najistotniejszy składnik miłości. Jurewicz spojrział na bóstwo wodne: Dniepr, na wstępujące i opadające korzeniotworzenia złotych cerkiewnych kopuł. Ostatnie spojrzenie jest spojrzeniem pierwszym, świeżym jak bylina. Nieśmiertelny mój hymn tylko krew potrafi zaśpiewać i twoje wody. Słyszę: Ocalę syny, córki i zagrodę Kija, nic więcej! Czystej wody lament, łzawienie, łzą się stawanie, pokątnopokutne pokłony w stronę bóstw przeróżnych, jesteś muzykalny, na ethosie rycerskim zagraj, snem jesteś, w śnie najgłębszym resztę dopowiem: *leżat' i mnie w zemle syroj! Napiew uniłyj nado mnoj w dolinie wietier raznisiot: drugoj piewec po niej projdiot i už nie ja, a budiet on w razdumie pięt' wieczernyj zwon!* Słyszysz, ucichła kanonada. Chrobry mieczem o bramę uderzył, klingę wyszczerbił. Spojrzenie na słońce: ach! na zielska kwitnące: ej' maj, rozpasanie ożywionego istnienia i jeszcze ta konnica genezę wschodu kopytami budząca. Jak duszę odnaleźć w takiej nawale materii? Nie klnij na średniowiecze, ono odnalazło duszę żywą i prawdziwą, z wszelkimi szczepami i przypadłościami, wiekuistą i do rozwoju przysposobioną. Nie odnawiaj śladów ojca, lecz nie zapomnij o pradziadach. Niegdysiejsza ale twoja to melodia prawdziwa, zaprzańcu jeden! Nie zapomnij, skąd swój herb wywodzę, prężąc pierś zawołał Jurewicz, kropla wody święconej na pawim piórze w klejnocie jest zachowana. Chodź koniu, białogłową powitamy, Taniuszę Siergiejewnę, błogosławioną pątniczkę kijowską. Jak się czuje moja złotowłosa? Nie uschła z tęsknoty. Bogu niech będą dzięki, twoją nieobecność Lermontow zapełnił. W swoim galowym mundurze Tengieńskiego Pułku zjawiał się zawsze po północy. Villona po francusku recytował i wiekopomne dysputy prowadził, aż go trzeci kur wyganiał. Nie skalał czci Tatiany sam się kalając błędnym rycerstwem, świecę mu zapal w Ławrze Pieczerskiej, święty to przecież, nie przez wielką wiarę, lecz przez demiurgiczną siłę, ja ci to mówię, syn jego ziemski, lecz nie z czci synowskiej płyną moje słowa, ale z prawdy przedwiecznej przefiltrowanej przez sceptycyzm. Dużo jest gwiazd we wszechświecie, mniej gwiazd i śnieżynek w zamieci, ale więcej niż zgasłych i nie narodzonych idei, lecz planeta nasza eldoradem najzacniejszym, bo z gliny miłości ulepiona na kształt serca tęskniącego i otwartej myśli. Wiem, do kogo wracam i z kim wiązę dalszy szczęśliwy los, lecz żal opuszczać ziemię. Ech, jaki okrutny żal i to ludzkie wielkie rozrzewnienie w mgnieniu oka

spaliło ciało Demona, a lekki podmuch rozwiął prochy po stepie. Kacerska panichida? możliwe, lecz *hoc est corpus meum*, proskura ziemi, co naturalne naturze. I w tej samej chwili zaczęły bić wszystkie dzwony w kijowskich cerkwiach. Z radości czy trwogi? Księgę dźwięku należy znać na pamięć, słowo, dźwięk i obraz to Etymasja Trójcy. Dzwon to najcudowniejsze połączenie materii nieożywionej z duchem. Umiera coś czy coś się rodzi, gdy sarmata przychodzi z drużyną wojów? Pluskały wody, pragnienie ich koni gasząc i z ciekawością patrzyły w zamglone oczy trupów w dół rzeki płynących. Powiedz, brzegu gliniasty, twoje stopy przed historią stały tu, w ziemię wrósł twój tron, lecz piersi nagiej nie chowasz i oczu nie mrużysz, zanuć dumkę pogańską: rozumiem was, topielice nieznane, i słyszę, jak rodzą się miecze i kielkują kości. Ocuć się, ocuć, oblecz w siłę ramię Lilith, najśodsza ziemia jest niemową, myślotrawy odpowiadały rzucając urodę w lustro wody, ciesząc się krasą warkoczy splatały obrazy mówiące, podpowiadające, wyjaśniające i z miejsca na miejsce przenoszące: po dwakroć śmiertelny ten, kto nie zdoła wypiec w paleniskach myśli choćby jednego bochenka chleba. A kto miesił chleb, którego spożywał Michał Jurewicz siedząc już na brzegu Dniepru i chłonąc pluskopytaniamyślotrawoobrazy? Ustami ziemi jest grób, ziemia mogiłami przemawia, przeszłość i przyszłość w tym pucharze jak szampan najprzedniejszy musuje. Zerknij w tę czeluść: naga prawda, taka jak Bóg ją stworzył, oczy zamkniesz z wrażenia, mimowolnie kielich burgunda przechylish i krzykniesz: *in vino veritas*. Żłudna, ale najpiękniejsza. A co żłudą nie jest, chichotały wody tej ziemi, snem się stanie, ironicznie zawodziły zmarszczki srebrne rzeki tej, Predysława łaskawie nie spojrziała, ej, aj, ej, na jeszcze nie króla Bolesława, który był wielki i ciężki, że ledwo go koń nosił, lecz umysł miał bystry, przednią intuicję, męskie rysy i zdrowe plemniki. Czyżby znowu Świętopełk przeklęty z kołobrzeskim biskupem Reinbernem na Wzgórzu Włodzimierza nowe laski kuć chcieli?, Miasto bogate. Chrobry biedny: dwa smoki, które patrzają na królewską córkę jak na powszednie jadlo. Tylko dąb stoi nie patrząc na nikogo i zaklętymi skarbami jak liśćmi szeleści. Ja święta, on błogosławiony, a wokół zjawy z pieczęciami ziemi na oczach i wiecznie krwawiącą włócznią.

Nie słuchaj tych lamentów, powiedział Jurewicz do Jurewicza odbitego w nurcie rzeki, wszystkie wieki są chrome, a człowiek daleki, wielkie są tłumy, lecz ludzi jest mało, nie wierzysz? przeczytaj: w kijowskim latopisie wielkimi i ozdobnymi literami cyrylicy jest

napisane. I zoczył nikły dymek w szuwarach, a potem rybaka nad ogniem piekącego rybę. Jeśli on ma rybę, a ja chleb, to muzyki nie trzeba. *Deisis* uczcimy, ręką w rękę uderzymy dobijając targu: na drugi brzeg się przepawimy. To jest ten most cienki jak ostrze miecza, to woda na żarna i na wiatrak dech. *Tam de buły oczerety, tam nyni zwowały*, nucił pod nosem król rybak, *buły kołyś harni chłopci, wsich w tiurmu zabrały*. Bez ustanku pienia i śpiewy, w borach duszy i stepach ziemi, z żył to wszystko wypływa, ze splotu słonecznego i wiecznego powrotu. Pod sztandarami zodiaku, płaza, gada czy ptaka unosi się melodia wyklętego ludu. Królu rybaka, masz tu chleb do ryby, rzekł Michał Jurewicz siadając przy ognisku. Stokrotne dzięki, urządzimy paschalne śniadanie, jedz do syta, sokole strącony, to czego w słowie nie zmieszczę, w innym naczyniu znajdziesz, my obaj z jednej gliny i dzieło jednego garncarza. Ty biały, czerwony czy zielony? Należy zawsze być takim, i głową wskazał firmament. Nazywasz mnie królem rybakiem i nie poczytuję tego za ujmę, bo łowię ryby, aby nie zdechnąć z głodu. I rybakiem już pozostanę, bo nie opuszczę tej ziemi. Będę wyciągał ryby z głębin tej rzeki i zanim je spożyję, czy sprzedam na przyodziewek, będę odczyniał ich milczenie, zajęcie godne Platona, którego uczniem był Arystoteles i nim pozostał. W oczeretach mieszkam teraz, tam, wskazał na Kijów, istny Babilon. Nie tak dawno słyszałem, jak Wertyński śpiewał w smrodliwej knajpie: *pożegnawszy zmarłego, z okiem w ziemi utkwionym zdjęła z palca pierścionek i w twarz popa rzuciła*. Operetka. Mówią, że Wiera Chołodna wróciła jako Joanna d'Arc i ogłosiła się carową Rosji. Świat to nieskończona ilość nieczytelnych znaków i tylko prawi szaleństwem wydziobują ziarnko po ziarnku. Czy z ich przyczyny przebrała się miarka? Znak, który określa się tylko jako materia, przestaje być znakiem i zanieczyszcza byt. Początek jest zatem końcem: długim puszystym, zwodniczo czarującym ogonem lisa. Słońce, które nas hołubi, odziewa i karmi, swój żar leje również do piekła. Czerwona gwiazda Wenus o zmierzchu rozdaje natchnienie, czyją myślą ty jesteś i czyją myśl twoja: kto w czasce mieszka, gdy o zmierzchu szyba zmienia się w sumienie? Pamiętaj, mole stoczą szkarłaty, inne kolory korniki, a ty jedząc rybę w Dnieprze złowioną czy wyczuwasz smakiem miłość Demona i czyn Józefa z Arymatei? Brwi Michała Jurewicza unoszą się coraz wyżej, czoło zmarszczone: na czyjej dłoni wiruje planeta błękitna? tragiczna krew w kulistym naczyniu, czy zmienna twarz ojca, której rysów nie sposób spamiętać? Pamięć płodowa mówi: Jezioro Rybińskie, miejsce urodzenia, jesteś więc duchem wody. Nad

wodnym wirem, którym jesteś, unosi się nadal odwieczna srebrnoświatlna czara, stoisz najbliżej, spójrz: twoja nicość w zwojach mózgu na wschód drogę przeciera, dziś możesz to odmienić, by od mroźnej bieli w snach nie oszalała. Oszaleje! Kto to powiedział? Ja! Byłem u ciebie przez całe stulecia, nie coś, nie ktoś, poza wszelkim wszechświatobytem, niepojęcie tak odległe, że nie dosięga mnie nawet myśl rodząca się z myśli Boga. Nie było początku i nie będzie końca, nic prócz snu nie istniało jeszcze, snem snu jesteś, snem tworzysz, sny snów rozmnażasz i śmierciosnem do snu powracasz. W czym tu moja wina, że mi biały szal przeznaczasz? W kurhanie sen śniłeś, który sny odczynia. W twoim mózgu szczep się przyjął, który snem być przestanie, gdy największą biel mroźną swoim snem ogarniesz. Ja tego nie chcę, widzisz: świat na głowie staje, do Tatiany chcę tylko dotrzeć, swojej Siergiejewny.

Nie chcę ciebie znać, wołę błękity wypływające z przebitego boku. To już się stało. Nie ja twojego lecz ty mojego dotknąłeś działania. Czekam na ciebie, do widzenia. Ech, do diabła z tym wszystkim, mruknął Jurewicz, splunął ze złością i przetarł oczy. Zmęczony jesteś, śniesz na jawie sny, pokiwał głową rybak, wojujesz ze sobą. Z czerwonymi byłeś nie będąc czerwonym. Rewolucyjny trybunał cię czeka. Jesteś rozdarty, ale kto dziś cały. Demon mnie w to wplątał. Demon Lermontowa. Został agentem białych, by znów być przy Tamarze. Król rybak siwą głowę podrapał, smutnie się uśmiechnął: to on był tu przed tobą, sukinsyn, radosny jakby się narodził w błękitnych pieleszach. Ziemskokrwożercze pieśni śpiewał jak najęty. Chcesz do białych się przedrzeć? Do Kijowa tylko, na Wasylkowskiej moja żona teraz mieszka. Gdzie żona, tam ojcowizna ciała, po kądzieli szablą cięli łabędzie klangory, tak śpiewali w step odlatując za siódmą zorzę, ci co krwią parkany malowali: nigdy nie uśniemy. Na pewno kobieta w bieli? Tak, hrabianka Łopuchina, Siergiejewna Tatiana! W ciąży była, na pewno już coś powiła, Wilemira chciałem, wielki przecież świat jest, a on dla świata jak każdy z nas. Najpiękniejsze słowa snuje się z kamienia, bo mówiąc na głąz patrzę, który tak dziwacznie gorycz swą zieleni. Może to malachit? Chłopiec, mówisz, i rybak się zaśmiał, i to jak się zaśmiał, aż się zatrząsł cały. Jurewicz patrząc na niego też parsknął śmiechem. I wydało im się, że wszystko razem z nimi śmieje się do rozpuku. I to nie było złudzenie. Z czego tak rechotali? Oni: ze swoich atlasołachmanów z łatkami marzenia, i skutku śmiechu, którego są wieczną przyczyną. A reszta? Z radości Jurewicza wynikłej z narodzenia potomka płci męskiej, z linii rzemiennej, która tak staniała, że większą wartość mieścił w sobie kubek

węgla, nie mówiąc już o beczce soli. O, to już ironia! Naiwny wykrzyknik. Kto nie drwił z człowieka od narodzin ciała? W tej erze masek tylko zwierz dla człowieka w człowieczeństwie stoi. Ale śmiech śmiechem, czy o córce nie myślałeś nigdy? Bóg stwarzając człowieka nie myślał o Ewie, męski plemnik zmienia kopyto w stopę, która tropi westchnienie zastygające na ustach zmarłych. A ja nie zgadzam się z tobą. Patrząc na Bogarzekę, rzeknę rzemiosłem swoim, bo mnichem wodnym jestem z Sofijskiego monasteru za zawile myśli wygnany: Bogurodzica i Sybilla, siostry naszych oczu, ponad mężami stoją, by leczyć ich chromozłote kroki. I usłyszeli, jak między ich głowami z gwizdem przeleciała zbłąkana kula. Jeden tułów odchylił się na wiśta, drugi na hetta. Można nazwać zazulą, guł-mułą, biegunem chżyym, grzmotem bałałajki ten ołowiany świst nahajki, która z furkotem wrzeczona ściera imiona z księgi rodzaju. A oni? Głowami tylko pokiwali, do nogi ziemskiej kuli zbłąkaną kulę przykuli, oj luli luli, sercem pomagali. Pomyśleć, rzekł rybak będący dla Jurewicza królem, a wolał być ulem miodorodnym, że zmrużone oczy schorowanych staruch do dna mnie wychyliły. A tu nagle o pawęż uderzyła złowieszcza struna. Ale to nie do nas strzelano, dodał. Kto tam teraz rządzi? cudnostrasliwie zaszeleścił Michał Jurewicz. Na pewno nie korne panny. I po sarmacku rzędy końskie zdobią, okową okowity lubią oko tumanić, wtedy długi wzrok czynią i zaczynają śpiewać, kiedy umierają. W tym świściepomruku lgną do nich krasawice, białe panie wdzięczą się jak łanie i na tym łanie rozścielają posłanie swojej współmierności. A potem się modlą żarliwie. To Polacy! Dlaczego owijasz w bawełnę? Nie w lniane płótno lecz w złotogłów od ręki bym ubrał, lecz była Polska Piastów i Polska Sasa, jak Ruś Jarosława i Rosja cara. Mówisz jak Rzym, choć z prawosławia wyrosłeś. Trójwymiarowa przestrzeń nie znosi pośpiechu. A ty z czego tak się cieszysz? Żołnierzem jestem, a każdy Polak z buławą się rodzi, już w kołysce można mu przyszyć szlify generała. Radość rycerskożołdackozbójcka, krzywotronowy trzos, sprzedany los, kupiony stos. Nie wiesz jak pachnie prochowy dym, jak złociste plamy mnożą się po stokroć w jaskiniowych źrenicach, z których Pankrator zielony wychodzi i krzyczy: cel-pal, a serce pędzi przed siebie na stu azjatyckich koniach. Skończył się jeden, zaczyna się drugi porządek rzeczy, lecz jeden drugiemu niewiele zaprzeczy. Prawdę mówiąc nie dziwię się teraz, że wygnano cię z monasteru, powiedz wyraźnie, że jesteś synem jakiegoś boga i kijowskiej prostytutki, widzisz przecież, jaki goły jestem zewnątrz, możesz zabrać wszystko, co obce, lecz pozostaw mi to

moje ja, tę miłość, która spaja moją duszę z ciałem. Nic ci nie zabieram, myśli swoje ci daję, a ty mnie zbójem nazywasz, masz, zjedz jeszcze jedną rybę, jesteś osłabiony, jedz z ośmi, fosfor wzrok poprawia i wzmacnia nerwy. Nie myśl o rzeźmieszkach, dużo teraz tych runodraczych atamanów siczowych: Zełenyj, Struk, Anheł, a za Keremeńczugiem Machno. Tak pachnie inkwizycją, której ta ziemia nie znała, że Ilja Muromiec wstanie i jednym cięciem pozbawi smutku wszystkie brzozy i kaliny, które w kobiałkach przynosiły lato, a teraz muszą martwym zamykać powieki. Patrzą na nas, jakby odnajdywały w nas swoich zmarłych, a ty przez ich konary, jak miedzi wrzątek w czarodziejskie koryta wpływasz, zorzymorza fale osiodłasz i na tym atramentowym hejnale dosięgniesz nieraz brzegu śniegu swojego, Michale Jurewiczu. Masz, łyknij sobie jeszcze kieliszek gorzały, dobra, pszeniczna, błękitne żyły twojej rzeki obejmą brzegami stulecia, to nie nektar ale samogon, lecz mądrość mogiły to nie wianuszek stokrotek, to raczej pędy ciemienia obnażone do nagości dziwotworną jesienią. Dziękuję za rybę, wódkę i bylinę. Niech tobie i mnie ziemia lektyką będzie, z uśmiechem rzekł Jurewicz i podkreślił węża, jeśli w sercu pokój, czym jest zwykła wojna, a jeśli na dodatek jest tam jeszcze, ta wylizana przez ludzkie języki miłość i nadzieja, to można śmiało przeczyć temu, co twierdzą, że nie było rozmowy przy pierwszej wieczerzy. A czy Dniepr coś powiedział? Tak: począwszy od najodleglejszych galaktyk aż po zakamarki atomu wszędzie trwa harmonia i porządek, tylko międzyludzka przesieka juchożogą broczy, a oczoszczęki przy miękkich gardłach jak powieki klipią. Tylko lirnicy i maluczcy ciałem tę Zielonobłękitną Ewangelię podtrzymują na duchu i na głos czytają. A dowód celowy? Podano: smak i powonienie, system trawienia, zęby i krtań. A mózg, serce i stos pacierzowy? Te błękitne karty wszelkiej maści żołdactwo wydarło na tytoniowe skręty i z dymem puściło. A ci, co żyją, czy ożyją? Jeśli żywić się będą wskazanym żywiołem, nie wżebrzą się w żebra żadnego żniwa, bo trzeba zasiać oczy, by cię dostrzeżono, a swoje oczy dostrzec źrenicami źrenic, które się wyżreniczają nie z padołu. I tak i nie, zawiąło od szuwarów. Dwoje ludzi siedzi na brzegu, a w głębinach Dniepru rybnie łyżą słońce, jutro urodzi się tęcza. Oczy rybaka, jak niebo zamknięte błękitem, złowiły odbicie wiśniowego płotka, czyżby znak Byka włożył na palec szafirowy pierścień? Na wasie Jurewicza pajęczyna spoczęła: odnalazła siebie, lecz zaraz nadleciał wiatr. Dwa kamienie patrzą na siebie. Jakże wesoło pluskają nieruchome ości w zmarszczonych czołach. Właśnie! Twarz Michała Jurewicza nad wyraz skupiona. Skąd taka

nagła odmiana? Miał dość słów: wzruszających, pocieszających, nawracających, żelazoodpornych i głębokich. Ten rybak budził niepokój. Jakiś wysłannik! Czego i dlaczego? Przestał wierzyć w tę monasterską bajdę i pomyślał: może to zdjęta z Demona klątwa celowo lub przez źle dopełniony obrządek pogrzebowy na żer glebie nie oddana, boję się, muszę wziąć się w garść, i jego zsiniałe usta, jak kiedyś ojca świętego Piotra Caraffa z Neapolu, ledwo dostrzegalnie zaczęły się poruszać: ...ciebie szatanie, i was, jego złe duchy, zaklinam, nie spocznijcie, aż ten tu oto rybak nie zostanie przez ogień lub ziemię strawiony. Niech się tak stanie! Och, czego oko nie zobaczyło, czego ucho nie usłyszało, jest poza wszelkim słowem. Ach, dzieci z wosku bez przerwy na schodach daleko od drzwi w przestronnym korytarzu, gdzie tylko chroboczą myszy w wiecznym wiosennym półmroku, w ruinie maja, otrzymacie, czego innym życzycie.. Kropla spadła na kroplę, liść na liść opadł. Czy to nie kowal kuje topór?

7.

Topór był wielki ale poręczny, z długim, talentliwą ręką wykutym ostrzem. Z jego żelaznego wnętrza wydobywał się jękośmieszoszloch. Nie było żadnego złudzenia, że właśnie stamtąd pochodził. Dlaczego przemówił? Dobry czy zły znak? Do kogo ta broń należy? A jednak ciemność jest pewnego rodzaju światłobrazem, pomyślał Michał Jurewicz i otworzył oczy. Teraz światłobraz wprowadził go w zakłopotanie. Żyjąc umieram, a więc oczekuję wyjaśnienia. Będąc śmiertelnym muszę przeciwstawiać się śmierci, a to mi pozwala jednoczyć niebo z ziemią. Nieoczekiwane jest zatem tym, co utraciłem. Co więc odzyskałem? Mogę tylko przypuszczać, że świadomość bycia człowiekiem, sąsiadem bycia sąsiada. Czyżby wyszeptana anatema sprawiła to, że się tu znalazłem? Pobyt w tym budynku musi być krótkotrwały, bo nie zamieszkuje w nim moja myśl, nie może w nim znaleźć swojego schronienia. Ten portret z kalendarza, oprawiony w kunsztownej roboty starą ramę, zaprzecza boskości, do której przynależy nasza świadomość. Nie wie o tym, czy świadomie zaprzecza? Poczekam na słowo, tam tkwi rąbek każdej tajemnicy, zniszczalnej i niezniszczalnej. A potem przyjdzie król U, zaśmiały się szare komórki, i będzie chciał zbudować wieżę Babel i

zgrupował wokół siebie najświetlejsze umysły ziemi, lecz martwe drzewo bardzo szybko wchłonęło go w swoje słoje. Po nim berło przejmie cesarz D z plemienia Dan, który lud swój podzieli na wiernych i doskonałych, a resztę odsunie od siebie bez słów *consolatio*. Gwiazda szczęśliwości długo będzie wisieć nad jego głową, a saksuały stanowiąc będą ozdobę.

...A więc, Michale Jurewiczu, rzuciliście klątwę na klątwę, którą Bóg zdjął z Demona i na ziemi zostawił. Mało tego: klątwę, która przyjęła postać Króla Rybaka, oddaliście w nasze ręce. Profanacja sakramentu rycerstwa, którego praojcem jest Arcystrateg, imiennik na dodatek.

...Jest to akt waszej dobrej woli i prawomyślności, akces do naszego Zakonu.

Ja ze strachu bezwiednie wyszeptalem słowa papieża Pawła IV wymierzone w Filipa Austriackiego. Chwała ci za to. Każdy środek uświęca cel.

Jaki wniosek? Nie zaprzeczać i nie aprobować, nie rzucać gromem o ścianę, pod wiatr się nie pluje. Będę milczał, niech mówi we mnie to, co tylko do istoty mojej należy: drogorzeko, zakolu, polna ścieżko pierwszej matkikrzemienia, z której Satanael lewą ręką wyciągnął swoich synów, a prawą anioły, śpisz jeszcze i śnisz, nurzając się w kabalistycznych liczbach. Czy to nie twoja krew na pierwszym śniegu? Ach, to cmentarz nuci!

...Unieszkodliwiłeś, używam już formy braterskiej, jednego z większych wrogów wiecznego Pana i jego ludu.

Wisłolonowodo unieś wiecznowiekopowieki, wiatr południowy cię zapłodnił, zachodni uczynił brzemienną, na wąsach sumiastych piana piwa się strzemieni, mlecznobiałe rączęta praczek na brzegach twoich len wybielają. Hej! hej! białe skrzydła kniej, srebrne pióra pól, bolesny poród raduje orlęta w orla się worlają. Ech! nasze piersi nabrzmiały, z jednej sutki konie złotorune wybiegają na błonia, z drugiej len i płowe zboże sypie się w rogoże. Ach! zmarszczki leją już ołów słońca do stóp, już wierzba dziuplasta we mnie wrasta i już jam przemieniona w zielone ramiona. A wy sąsiadeczki moje? Grusze, śliwy, jabłonie, szalwia, lubczyk i powój, co się majem po pniu wije. Hej! obudźcie się kołodzieje, na tęczę nałóżcie obręcze.

...Jesteś już braciszkiem, jednym z nas, śluby swoim czynem już wypełniłeś. Skąd ta Wisłowarszawa we mnie? Dzyń, dzyń, dzwoneczków dzień: Aleksander Błok talent tam włożył, a Sawopka ciocia Katusza znad wołockiej Oki szerokiej do niego jeździła, kwitły

wtedy jabłonie i grusze, u Fukiera trójniak pili, a potem pod kolumną Zygmunta siadali. Król o krzyż się opierał i wierszy słuchał.

...Twój trud zostanie wynagrodzony, zostaniesz naznaczony i odznaczony. Strasz-nie ko-cham, rze-kły, od-dając się myślom wargi pana Fal, a słuchająca pani Lus odczuła czerwienie-nie! Pościel s-spadła gwałt-ownie w cenie, odpowiedziała tak-townie pani Lus, więc pan Fal u-czynił akt sk-ruchy i nie-zadowolony za-mknął o-czy tając cel niedzielnego spotkania, a pani Lus wie-działa swoje i czuła zd-radę j-ego przez skórę. Poże-gnanie bez słowa.

...Przyznany został ci Order Wielukrzyży. Było już niebo i ziemia, i wszystkie oceany, ryby, ssaki i gady, i jajo planety toczyło się po orbicie swojej. Litery mojego imienia rozrzucone były po całym świecie. Wszystkie żywioły rościły sobie pretensje do tego równoważnika i wykrzywiały ducha każdej litery. Zaroilo się od karłów, garbusów, gnomów, elfów. Wywołany krzyknąłem: jestem. Stałem się, pozbierałem swoje członki, pocerowałem ubytki i narzuciłem na siebie tę zwiewną opończę. Wzbudziłem poruszenie, na południe padały cienie, drzewom skrzydła urosły, budziła się wiosna. Hathor o żer wołała: ten tam oto ma krew najśłodsza! Jego sobie upodobałam! Lecz wyplułem siebie, zanim mnie strawiła. Ocalałem, znowu jestem, ktokolwiek wie o mnie, niech o sobie myśli w skupieniu, bo gdzie wy jesteście, ja być nie mogę, lecz miejsce moje każdy z was zająć może, w każdej chwili.

...To najwyższe odznaczenie przyznawane jest za wybitne zasługi w wytyczaniu naszej drogi. Tamten obraz. Gdzie jest teraz ten obraz? Zawsze patrzyłeś w niego, miałeś w oczach ten ciemny drogocenny pejzaż starego mistrza. Był twoim domem, domem w domu z furtką otwartą na rozłogi budzącej się zorzy porannej. Za oknem jesień jak nie kończąca się noc, coraz zimniejsze strugi deszczu bębniły o szyby. Wchodziłeś w ten obraz każdej nocy coraz dalej i dalej przez tę jałową ziemię bez końca, chcąc dotrzeć do czerwieni zorzy. Po ostach, kamieniach, nie zwracając uwagi na skaleczenia, ani na stan zdrowia, nie mówiąc już o odzieży, ale wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że największe prawdopodobieństwo odnalezienia jakiegokolwiek znaku, potwierdzenia, choćby cienia echa, tam właśnie się znajduje. Bez przerwy na szlaku, w niepewności, w dzwoniącej ciszy, w tym kosmicznym nieludzkim chłdzie, z sercem w gardle i zlany potem, zastawałeś siebie jak kogoś obcego, przekłętą bliźniego, siedzącego na krześle przed obrazem. Dokładnie pamiętam ten świt, kiedy wróciłeś na pół martwy, martwy na tyle, aby jeszcze móc zasnąć i

obudzić się. Obraz zniknął ze ściany. Szukam go teraz, muszę odnaleźć dla ciebie, moje krzesło stoi teraz obok twojego, siedzę bez przerwy na nim, bo wiem, że przyjdzie świt, kiedy powieszę go na starym miejscu i usnę na chwilę na twoim ramieniu, a potem już razem pójdziemy przez ziemię obrazu.

...Używając mitologicznego słowa jesteś teraz herosem, bohaterem naszej ziemi.

...Jak heros będziesz podziwiany, lecz jak heros będziesz musiał nadal wypełniać nakładane na ciebie zadania. Boże, czego ten człowiek nie wyczyniał ze mną czego ten bóg nie wysłinał przewracał jak naleśnik na patelni otwierał zamykał lizał szarpał całował gryzł siniaczył od stóp po czubki włosów wszystkie wnętrzości uświęcone nawiedzone istny zakątek raju niebieska rosa w kwiecie wieku cuda w cudach nad cudami kiedy dwa ciała w jednym istnieniu jak alfa i omega od pierwszego dnia taka miłość do teraz do ostatniego tchnienia nie pamiętam jak się zaczęło ale tak się wszystko zaczynało ziemia nie odmówi niczego jak jak nie odmawiam gryząc wargi kiedy z głową chce wejść we mnie chcąc się stać mną chcąc być tam zawsze i czynić to samo co na zewnątrz i jeszcze więcej i częściej a może cały czas jak bardzo pragnę aby tego dokonał dopiął celu by się tak nie męczył a ja bym się gryzła że może go choroba złamać albo jakaś śmierć spotkać lub licho wie co żebym już wreszcie była cała utopiona zaduszona pocięta na kawałki bez udręki czekania i dygotania. B. Pamiętam, siedziałam w ogródku pod rozkwitłą forsycją, z dziewiczą błoną, trzydziestoletnia i świadoma, ze zwykłą odrazą do mężczyzn, odrazą bez powodu. Może dlatego? Nie, na pewno nie! Wtedy poczułam ciarki, jakby sodomski deszcz spadł na mnie. To był jego wzrok. Nie wiem, co było pierwsze: filiżanka herbaty czy kieliszek wina, grzech nie zapamiętać takiego szczegółu. Nie był rozmowny, ale, utalentowany nadzwyczaj, słuch miał doskonały, usłyszał moje wołanie. Czy moje? Och, nie roztrząsajmy tego! A to krzyżowanie, ptaszynko moja, to w niego wstąpienie, zanikanie. Nie ma ziemi i nieba, tylko ogromna śmiertelnie wstępująca i wskrzeszaniem ustępująca błękitna fala Pacyfiku. Nigdy więcej do mnie nie przyszedł. Może to Bóg mnie nawiedził? To oko, czy widzi mnie? Wszechimienna falo, uśmierć lecz nawiedz, a potem przełam, rozerwij, rzuć rybom na pożarcie! C. Wiesz, ta Xińska, lafirynda, płaska gnijąca deska, która przedtem nic nie robiła, tylko po doktorach latała, a do której teraz każdej środy przychodzi ksiądz z sakramentami, aż trudno uwierzyć, że taka płaska flądra, która na pewno nie umie zrobić tyłkiem ósemki, kiedy trzyma kogoś w

ramionach, potrafiła dokonać czegoś takiego. Krew może zalać człowieka, kiedy o czymś takim myśli. Nie zdziwiłabym się, gdyby to przydarzyło się tobie lub mnie, to zrozumiałe. Co on w niej widzi? I jak oni to robią? jak gołąbki. Aż się serce kraje. Taka czystość, takie niebo. A mój stary patrzy na mnie jak na żabę. Dzisiaj pomodłę się za niego, a jutro dam na mszę z prośbą, aby Bóg kazał mu mnie kochać. Nie można żyć bez przenikania siebie, bez miłości nie ma zbawienia, kobieta zbawia mężczyznę, mężczyzna kobietę, w tym zapamiętaniu rozmawiają z Bogiem, tylko wtedy i nigdy więcej. Boże, wybac mi to, co mówiłam o Xińskiej, nie chcę, aby ktokolwiek był potępiony, a kto ją zbawi, jeśli nie ma męża, kto wszczepi w jej duszę anielskie skrzydła? Za nią również zmówię dzisiaj dziesiątkę różańca. No, lecę, już dzwonią na Anioł Pański. *Dio cartiga quelli, chi non conoscono l'amore. ABC = lignum, in quo mundi petendit?* Aby być ubóstwianym, trzeba być uświęconym.

Nie pozwala mi pić i palić, usłyszał Jurewicz czyjś szept z tylnego rzędu, a przecież wie, że nie jego syna urodzę. Może wierzy, że taka piękność jak ty geniusza powije, ja sama tak myślę, w porównaniu z tobą wszystkie boginie zebrane w pęczek wyglądają jak kocmołuchy, nie wyłączając Afrodyty, o której mówią, że gdy pożąda, to jakaś wyższa istota prosi o duszę. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie utrapienie przynosi taki geniusz, już z pieluszek patrzy na ciebie z pobłażliwością. A czy tego oczekuje matka? Ale ciszej, ktoś na nas patrzy. Widzisz? pod tamtą ścianą. Teraz widzę, Oko Opatrzności. Czy masz coś na sumieniu? Nic cielesnego. Kto to może być? Teraz o nic nie pytaj, nie na pogaduszki tu przyszłyśmy. Wyraźnie słyszę dźwięk kopyt skrzydlatego konia, którego uśmiercono razem z nim. W ostatniej chwili szepnął, że mnie kiedyś odwiedzi, przyjdzie, aby wyjaśnić do końca. Nie wiem, co wyjaśnić. Stamtąd nikt nie wraca, ja jednak czekałam, bez nadziei co prawda i wiary, jednak nigdy nie zapomniałam o tym, co mi przyrzekł. Dziwne, że tak głęboko zapadło mi w pamięć tych parę słów. Zapewne słowa umierającego składają się z innej substancji i zawierają o wiele więcej treści, niż przekazuje nam literalna powłoka. To nie ja zapamiętałam, to zapamiętało się samo, zamieszkało w pamięci, turlało się po mózgu jak ten kwiatek, czekaj, jak się ten kwiat nazywa? już wiem: róża jerychońska, przez dziesiątki lat uschnięty, martwy kłębek wiatr rzuca z miejsca na miejsce, zupełnie jak człowieka, nie, z nami jest gorzej, aż trafi na kroplę rosy, jako taką glebę i od razu ożywa, zmartwychwstaje i rozkwita: jestem tym, czym byłam. A człowiek? Płakać się chce, kiedy pomyślę, jaka będę za dziesięć lat, nie mówiąc już o

trzydziestu. Żeby choć w trumnie rozkwitnąć, odejść z taką twarzą, z jaką się przyszło na świat. Tak, z taką urodą bez wstydu zasnęłoby się w śmierci. Ależ, gdzie tam, będziesz leżeć na katafalku jak ropucha, ciało jeszcze pół biedy, ale twarz, maleńko, jak prehistoryczny gad. On był piękny, jak odchodził, niecałe dwadzieścia, może trzydzieści lat, nieważne, ale takich jak on od razu przykrywają wiekiem i do ziemi, od razu do ziemi, jakby się bali, że zaraz wstanie, wsiądzie na konia i odjedzie rozmnażać życie. Czego tak się boją ci wszyscy usułtanieni? Między nami nie było nic takiego, co można by nazwać zbliżeniem, ciągły brak miejsca i czasu, w drodze i w drodze, aż dotarliśmy do tego miasta, którego nie lubił, na które, nie wiem dlaczego, ciągle kłął, może przeczuwał, a może wiedział, co go tu spotka. Żeby tylko nie odszedł, zanim wyjdę, bo już go nie widzę, może czeka na korytarzu lub w domu, może na cmentarzu, na tej ławeczce koło swojego grobu? A jeśli go nie znajdę, to znaczy, że musiał odejść, ale jeśli raz przyszedł, przyjdzie po raz drugi, trzeci, dziesiąty, na zawsze.

Opowiem sobie bajkę, wszystko jedno o czym, tylko nie o wilku lecz o drwalu, który został wyrzeźbiony ze świerkowego drzewa. Nikt nie mógł powiedzieć dokładnie, kto nadał mu ludzkie kształty, czy jest spadkiem po prapramieczu, czy po praparakądzieli, wiadano tylko, że od trzech pokoleń stał na tym samym miejscu w starym kredensie. Pokój, w którym mieszkał, był północny, nie zaglądało do niego nigdy słońce, a przez okno dostrzegał tylko skrawek pustego nieba, nic więcej. Ogłupiający widok, przez wieczność taki sam. Na pewno chciał spłonąć, uciec, popełnić samobójstwo, ale zawsze coś stało na przeszkodzie, w końcu, jak każdy człowiek, zrezygnował, przywykł do ścian i miejsca, w końcu umarł, nie na tyle, aby go pochowano, umarł w nim tylko człowiek, jak to bywa z ludźmi, którzy poza swoimi głupimi sprawami niczego więcej nie potrafią widzieć. Pozostał mu czas, długie minuty starczego istnienia, przerażająco puste, wiecznie głodne, trawiące szybciej niż żołądek krokodyla, więc bez przerwy mówił, jakby odmawiał różaniec, o nocy pod zimnymi gwiazdami, szczególnie o tej nocy, która zapadła tak niedawno, jeśli odrzucić czas. Widzę to doskonale, marniał we śnie, ale tylko tam, po tamtej stronie oczu. Czy jestem?! wołał tam w sobie, do wewnątrz, gdzie prócz ciemności szalał jeszcze wiatr, i kim jestem, kiedy już jestem, żywy i jednocześnie umarły, dwuistny w ścianach kredensu. I tak bez końca zaczynał i kończył, kończył i rozpoczynał, aż pewnego razu ktoś wszedł do pokoju, nie rozróżnił – mężczyzna czy kobieta, ale zapewne ten pierwszy, bo zapachniało alkoholem, rzucił podróżny

worek w ką, a obok niego postawił muszlę. Szumisz jak mój bóg, powiedział ciemny władca puszczy. Nie wiem, co to puszcza, odplusnęła muszla, ale wiem, że to szumi ocean. O! właśnie w tej chwili błękitna fala wtacza się na brzeg, teraz się cofa, zostawiając na plaży pianę i muszlę. I ja tak przyszłam na świat. Śpiewam o głębi, która jest początkiem. A gdzie twoje ciało? Musiałaś być kiedyś jeszcze piękniejsza! Ach, ciało, czy warto wspominać o czymś tak błahym wiedząc, że moim ojcem jest ocean, matką głębin, a ja ich pieśnią, czymś niepojętym dla nich samych. A teraz żegnam, wracam do siebie, tam jest najprzestronniej, ale nie przypuszczaj, że rozkosznie, tego nie należy się nigdy spodziewać, tego nie należy nigdy chcieć, to zawsze jest, usiądź na moim brzegu i słuchaj, co będę przedła. I drwał wyteżył swój drewniany słuch, ale niczego prócz szumu morza czy morzoboru nie usłyszał, lecz nie rezygnował, otworzył wszystkie zmysły, coraz mocniej i wnikliwiej się skupiał, schnął, kurczył się, stawał się coraz mniejszy, aż zupełnie zniknął z oczu. Przewrócił swoje istnienie na drugą stronę, jak sztukmistrz przewraca wysoki cylinder i nagle spostrzegł, że znowu nastał dzień pierwszy. Nie słyszał teraz szumu: morza czy lasu, lecz śmiech, ktoś tam gdzieś śmiał się do łez albo przez łzy, nie mógł ustalić tego dokładnie, nie zależało mu zresztą na tym, bo śmiał się takim samym radosnogorzkim śmiechem, sprawił sobie szaty i został kuglarzem. Zaczął pojawiać się tam, gdzie uważał, że jest nieodzowny.

...Oprócz tego co wymienilem, nasz drogi Michał Jurewicz obdarzony jest talentem, jest, że się tak wyrażę, złotą rączką, nigdy nie był uczniem, a prześcignął wszystkich mistrzów, wykuł topór, który nie tylko będzie spełniał swoje naturalne funkcje, ale jest już nowym kierunkiem w sztuce, już jest częścią naszej kultury. Brawo! To nasz pierworodny, krzyknął kuglarz zza prezydialnego stołu, już za życia zasługuje na to by wisieć.

I oklaski, nie kończące się oklaski strawiły resztę zdania. Niech żyje! ech żyje! ech je! che! che! cha! Sala wyla, wiała się w wiankach, w rumiankach, w przeróżnych wariantach, aksebantach, w czarciochuciomorach i zaintonowała pieśń chwalebna: *Laudate Pueri*. Lecz oto po chwili uniosła się dłoń tego Środkowego w zielonych uświęconych szatach i uspokoiła żywioł wszelki. Mak zasiawszy rzekł: niech dokończy homilię. Czy pamiętasz? złowiło ucho Jurewicza. Nie musi się zaczynać od: czy pamiętasz? W Karakanach byłeś wtedy, nie kwitły jeszcze pokrzywy, ale już puszczały pączki, przyglądałeś się tym chwastom każdego dnia i bluźniłeś, nawet na głos, darłeś się, że za powoli piją słońce i gnojówkę, którą poileś ich

korzenie. Chciałeś przyspieszyć czas, bo babka, którą pielęgnowałeś, powiedziała ci, że opuści padół, kiedy rodzina *urticaceae* kwiatkami ukłoni się niebu. Byłeś młody i zadłużony po uszy, dług ziemski mało istotny, bez porównania z długiem życia, ale dla ciebie rzecz nadrzędna, w tym wieku trudno się dziwić, a babka bogata ale skąpa. Uwierzyłeś w te pokrzywy, śniły ci się po nocach krzyczące, że nie zakwitną nigdy. To ja krzyczałam, bez imienia dla ciebie, ta, którą zerwawszy się z tego przeklętego snu, zlany potem i wściekły, spotkałeś w przylegającym do dworku parku, zajętą zwijaniem przedzy, pracą z której się utrzymuję. Usiadłeś obok mnie i wylałeś swoją gorycz, otworzyłeś wszystkie myśli i tę szkatułkę z tanimi szkiełkami postawiłeś przede mną. Było to tak rozbijające, nie miałam siły oprzeć się pokusie. Uwiodłam cię, może nawet tego nie pamiętasz, byłeś przecież taki zagubiony, ale to ja byłam twoją pierwszą kobietą, ja jestem właścicielką twojego dziewictwa, nie pamiętasz mojego imienia, może to i dobrze, ważne, że ja twoje pamiętam. Kiedy mnie posiadałeś, w tym zapamiętaniu przerwałeś nić, którą przedłam i zaraz zakwitły te przeklęte chwasty. Przerwałeś nić i zaraz pojechałeś spłacić długi i tak bez końca spłacasz i spłacasz. A ja nadal przędę, teraz twoją nić, mocną i długą, żebyś mnie jeszcze spotkał, dojechał do mnie, bo jestem bardzo daleko. Nie ja mówię do ciebie, to sen, mój sen, jak wtedy o tych pokrzywach, a ty mnie słyszysz, ja wiem, że słyszysz. I to jest cudowne! Nie śpisz i mnie słyszysz. Taka ludzka przez to się staje, taka podległa ale tylko tobie, uwierz mi, musisz mi uwierzyć, jestem córką Temidy. Ach, stare dzieje, nie warto wspominać, niepotrzebnie się wygadałam, przyjmijmy, że nie słyszałeś tego. A teraz popatrz na mnie, proszę, błagam, widzę, że próbujesz, starasz się, a nie możesz mnie dostrzec, zobaczyłeś mnie nie widząc, nie mogę niczego więcej wymagać, to tylko oczy. A teraz spróbuj coś powiedzieć, wiem, że to męczące, nieraz ponad siły, ale ty jesteś dzielny, rzeknij cokolwiek, abym tylko usłyszała twój głos. Co za z mora! Och! udało się, wiedziałam, że będziesz dobry, wiem o tym doskonale, bo czyż mogłoby być inaczej. Zamknij się już! Jezus Maria, jeszcze jedno zdanie, można zwariować ze szczęścia, nie przypuszczałam, że otrzymam tak kosztowny prezent. Teraz wierzę, że między nami nic się nie zmieniło. Nic... się nie zmieniło. Co za szczęśliwy traf, tak jak wtedy, w tym parku, kto by pomyślał, że ja z tobą, z kimkol...wiek, kiedykol...wiek, a jednak... Już mnie nie słyszysz, wiem, obudziłam się.

Jak wbito gwóźdź, trzeba powiesić kapelusz. Dostojni panowie, przewielebne panie, smutny stosunek płciowy na płatkach róż, Teatr Wielki otwarto. Czy to do mnie i o mnie? – gryzł się Jurewicz. Musi o mnie. Te pokrzywy i babka, koronny dowód, ukoronowany jej spadkiem, ucierniowany po paru tygodniach. Babka przez pokrzywy odeszła, a ojciec, wstyd powiedzieć, pięćdziesiąt lat, serce w ruinie, lekarze przestrzegali, aby się oszczędzał, ale gdzie tam, swawolił jak zwykle i podczas orgazmu zastygł w ramionach rodzicielki mojej. Teraz powiedz, po coś mnie spłodził? No, po co?! Sam nie wiem, ale chyba po to, aby słyszeć twój głos właśnie teraz, kiedy nie ma mnie, twój głos utwierdza mnie w przekonaniu, że nadal istnieję, tu gdzie się znajduję, słyszy się tylko głos najbliższych. A czy nie chciałbyś wrócić? A po co wracać, kiedy się jest. O nic więcej nie pytaj, pytania odbierają słuch umarłym, do których się zwracasz, a to jest, być może, jedyna droga do zbawienia, o którym tak dużo mówi się na ziemi. Do góry, wciąż do góry, bez westchnienia i zapomnienia o czymkolwiek, z najdrobniejszymi szczegółami przeszłości w pamięci, poganiany przez samego siebie, prędzej, prędzej, możesz nie zdążyć, możesz się spóźnić, na co masz zdążyć? gdzie się nie spóźnić? pozbawiony pytań, nie wiedząc że w ogóle istnieją, nie wiedząc czym jest miejsce, w którym się znajdujesz i kim jesteś, który jesteś, a jesteś, bo czujesz niewyraźne i na wskroś przenikające poczucie wolności, jeśli tak to można nazwać czy określić, bo inaczej nie potrafię przekazać tego stanu, stanowi istotę mojej duszy.

...Topór, który wykuł Michał Jurewicz, przemówił, a więc potwierdził słuszność naszych poczynań oraz to, że prawda i sprawiedliwość są po naszej stronie, w co nikt z nas nigdy nie wątpił, lecz dodatkowe potwierdzenie tego faktu przez dzieło sztuki, jest dla nas aktem wysokiej rangi, o światowym znaczeniu. Z tego też powodu Nasz Wielki Michał Jurewicz zostaje mianowany I Zastępcą Komtura Obrony naszego Państwa. Jest to wyraz uznania za jego dotychczasowy trud, a jednocześnie jest to inspiratorski bodziec dla przyszłych wiekopomnych dzieł. I ten Środkowy, w zielonych uświęconych szatach, w czcigodny lecz ceremonialny sposób na ramiona przywołanego Michała Jurewicza narzucił purpurową pelerynę z Orderem Wielukrzyży, żując jednocześnie jakieś tajemnicze błogosławieństwo mocnymi, wystającymi szczękami.

...A teraz przystępujemy do drugiego punktu naszego porządku dziennego. Prosimy wszystkich o udanie się na plac Oczyszczenia. I widziały niebiosa, jak Jurewicz purpurą oczy

ciesząc, źrenice swoim aksamitem poił: hosanna! rozsadzała kanaliki łzowe, gruczoły potowe oraz dokrewne. Idy majowe, pomyślał, idę na Idy, po schodkach, pierwszy stop...pień, drugi, trzeci, czwarty i – z żywicznych desek scena niewielka, a na środku ogromny pień, a obok topór, który przemówił, a wokół las głów, w napięciu zastygły las, a z niego jak sosny masztowej cień na podium wszedł herold, rozwinął rulon papieru i wyrecytował. Na podstawie artykułu 282 § 4, podpunkt b, i artykułu etc. etc., litera za literą, prawo za prawem, za wrogą działalność przeciwko naszemu Zakonowi rybak podający się za króla zostaje skazany na śmierć przez ścięcie toporem. Ukłonił się i zbiegł, a z budki-wygódki stojącej w rogu sceny dwóch drabów wyprowadziło rybaka króla, szyję mu doskonalili i czoło subtelnie do pnia przycisnęli. Wszyscy siedzący w pierwszej honorowej ławce powiekami skinęli, a jedne usta wyrzekły: Michale Jurewiczu, czyn swoją powinność. Dwie ręce ciężkie narzędzie nad głową uniosły, do cięcia siłę w mięśniach skupiły, lecz topór zarechotał, uparł się i nie chciał opaść. Michał Jurewicz próbował tak i siak, i owak, orły przeklinał i Boga wzywał, lecz pozycji toporu nie zmienił. Nie dam rady, wykrzyknęły usta, nie mogę, odpowiedziały wzruszone ramiona. W pierwszej honorowej ławce poruszyły się szczęki tego Środkowego i herold już bez krwi w twarzy, zapominając o schodkach, na scenę wskoczył. Ukochani bracia, krzyknął malarycznym głosem, zaszła pomyłka, kajam się przed wami, źle odczytałem, to nie rybak ma być ścięty, lecz ten przeklęty Michał Jurewicz. Zdarł z niego pelerynę i na ramiona rybaka zarzucił, a dwóch drabów już ze złością powtórzyło scenę. Król rybak chwycił topór: ech-rup! krzyknął i głowa Jurewicza na sęk żywiczny spadła. Tłum zawył, zaśpiewał, zaszczekał, zagdakał i w tym upojeniu spółkujące głosy splotły się w głosy. A Michał Jurewicz, jakby nic się nie wydarzyło, chwycił swoją głowę za włosy i razem z królem rybakiem zeszedli z podwyższenia. Skręcili w uliczkę prowadzącą do rzeki z zamiarem przepłynięcia się na drugi brzeg.

8.

Słuchaj, moja opiekunko, matko czy żono, może istota wyższa, ja nie wiem i ty nie wiesz, jak zwykle, jak zwykle ani ja, ani ty niczego dokładnie o sobie nie wiemy, przychodzisz tu z

tęsknoty, chi-chi, z miłości, ha-ha, może z innego powodu, o, to miałem na myśli właśnie. Usypiasz mnie, jeśli w ogóle śpię, i tym sposobem okradasz mnie, tak, to właściwe określenie, zabawiasz się moim kosztem. Za łyżkę stawy owoce mojej pamięci zapełniają twój koszyk. Nie wystarczy ci to, że masz mnie, że możesz przyjść z miską czy bez miski, nawet posłuchać tego co mówię, a wiesz, że tylko dla siebie to robię, no, może to niecałkowicie pokrywa się z prawdą, ale dla żadnego kręgowca, to z całą pewnością mogę potwierdzić. No, powiedz, moja opiekunko, matko czy żono, może istota wyższa, gdzie to twoje złoto jesieni? Pamiętasz? czy pamiętam? W każdym razie wczuwam się w sytuację. Ten głębszy, szybszy i głośniejszy oddech. Oczy? Co za błyszczące ślepia, a przede wszystkim nozdrza, drżące chrapy rasowego rysaka! A może ty, patrząc na mnie, jeśli jeszcze można na mnie patrzeć, mogłabyś doznać tego uniesienia, dajmy na to rozognić oczy czy coś podobnego, na przykład spłonąć rumieńcem, albo jak krzak Mojżeszowy stanąć przede mną. Tak, takiego widoku bym sobie życzył, nie ukrywam, że chciałbym wzbudzić dreszczyk, ja, a nie te zasmarkane dzieje po kądzieli, które mi podkradasz i w swoje piórka stroisz. Co za głupiec ze mnie! Przypisać tobie coś takiego mógłby tylko umarły, nawet dla robaków, a ja jeszcze żyję, raczej jestem, jestem obecny, nie wiem czy dla ciebie, ale sam swoją obecność odczuwam w tej chwili. Rozpląkała się, z zimnych, nie, bądźmy sprawiedliwi, z zimnego koloru oczu leją się ciepłe łzy. Kropla po kropli wycieka, no właśnie, co wycieka? może człowiek, sentymentalny co prawda, skrzywdzony urodzeniem, ale, było nie było, w rzeczy ludzkie zaplątany, a może wspomnienie po nim, nie dorzeźbiona kłoda, echo mitu. To odłożmy na później, na jutro zostawmy trochę manny. No, już dobrze, nie płacz, nie wspomnę już o podnieceniu, nie wiedziałem, że taka jesteś wrażliwa, jak poetka, poetka czego? ot, policyjny dowcip, umiarkowany co prawda, liberalny można dodać, ale z pazurem ducha czasów. Znałaś Safonę, mówisz, mój Boże, co za nieszczęście, i nic nowego, każdy ją zna, każdy mężczyzna ma swoją utrapioną Safonę i ja kiedyś miałem poetesę, może to ty, dostrzegam pewne podobieństwo, ryt zodiakalny identyczny, ale czy ja dobrze widzę, czy mogę zaufać oczom kiedyś sokolim, podziwianym za głęboką zieleń, a teraz? Podaj lusterko, niech zobaczę to swoje zwierciadło duszy, niech podskoczę z radości... jak marcowy kot. Albo lepiej nie, czy za mało jeszcze miałem rozczarowań? Przecież wiemy doskonale, że to co zobaczę, wprawi mnie w zakłopotanie, a jednak prędzej czy później ulegniesz pokusie, więc póki jesteś, póki

jestem w takim nastroju, z odwagą spójrz sobie w oczy! Dobrze, tylko nie krzycz, zawsze byłeś skłonny do krzyku, spokojnie, panie, jak ja się nazywam? nieważne, w tym przynajmniej przypadku dane personalne nie obowiązują, całe szczęście, idiotyczne powtarzanie imienia i nazwiska, data urodzenia, miejsce urodzenia, pochodzenie, wyznanie, przynależność, i to w nabożnym skupieniu, potwierdzone własnoręcznym podpisem, piramidalna wiedza do kwadratu, ale nie denerwuj się, masz to już za sobą, po co niepotrzebnie się spalać. Boże, ja powiedziałem spalać, ja jeszcze się palę, coś podobnego, co za miła niespodzianka, jestem zarumieniony, no, więc podaj mi to przekłete lustro. Co ty powiedziałaś; rozumiem, powtarzasz raz jeszcze, że nie ma w tym domu lustra i nigdy nie było. Fatalna sprawa. Tyle serca, nie popisuj się, o żadnym sercu nie może tu być mowy, tyle nadziei, to jeszcze starsza piosenka, nie udawaj, że jesteś zawiedziony, powiedz otwarcie, że uspokoił cię ten fakt, czuleś pietra, graj w otwarte karty, w ostatniej chwili zrezygnowałbyś z tego spojrzenia, ale ty zawsze przy płci odmiennej udawałeś gieroja. Bohater z dwoma medalami.

Uśmiechnąłem się. Patrzcie, patrzcie, uśmiechnąłem się do wspomnienia! Czy posiadam jeszcze te zapomniane oznaki męskości? Gdzieś tam chyba leżą zapomniane, porzucone w aksamitnym etui, rozpamiętując dni swojej chwały. Mogłabyś mi to powiedzieć, moja Safono, może istota wyższa, czy uśmiech w naszym przypadku powinien cieszyć, czy smucić? Teoria śmiechu, uśmiechu, co za nonsens! Trzeba się uspokoić, wykonać jakąś czynność fizyczną, ale jaką? Wiem! Wysmarkam nos, nie! będę dżentelmenem, co mam w nosie, niech tam zostanie, nie będę zmieniał zdania. Uszanuję nos i kobietę, uratuję dwa honory, nie wykonując jednej czynności. Co znaczą dobre maniery! Mam to teraz we krwi, czy na pewno? zastanowię się, przyjrzę się sobie, tak, nie ma dwóch zdań, jestem na etapie karła, zniedołężniałego, nie ma co tego ukrywać, ale z cechami dworskiej rasy, królewskiego gatunku, rzecz można. Dlaczego karły nie rozmnażają się same przez siebie? oto jest pytanie epo..., mam dokończyć czy nie? nie znoszę wielkich słów, ale niech tam, dokończę: epokowe. Zabrzmiało fatalnie, mogłem użyć innego słowa, na przykład przełomowe, jeszcze gorzej, ślepa uliczka, wracamy. O co to mi właściwie chodziło? Wiem, o rozmnażanie. Tak, to frapujące, że karłów rodzą normalne kobiety, dorodne i piękne. Nie za wiele? I ta nieregularność: w jednym okresie przychodzi ich na świat więcej, w innym mniej, tak, tak,

zadziwiająco, no śpiesz się, tak, tak, niezwykle interesujące, no dokończ, do cholery, jest również to, że zawsze przebywają na dworach władców albo w cyrku. Zaskoczyłem sam siebie tym odkryciem, albo tam, albo tam, no, no, co za zadziwiająca zbieżność i prawidłowość. Więc może by rozważyć, śmiało, śmiało, swoje położenie w tym kontekście, znaleźć się wreszcie, określić, że się tak wyrażę, bo tak prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie się znajdują, to znaczy: niezupełnie wiem, w przybliżeniu mogę powiedzieć, że w tym domu, w obiekcie, co za wyrażenia! który spełnia funkcję jakiegoś klasztoru, szpitala czy więzienia, może jest to mieszkanie rodzinne. Ale mniejsza z tym i z tamtym, co przedtem powiedziałem, nie jest tragicznie: cztery ściany, sufit, drzwi i okna, mebel na którym leżę, łyżka strawy i Safona, może istota wyższa, jakiś wysłannik być może, szpieg zły lub dobry, odpuszczam jej winy, ponieważ jej obecność podsunęła mi myśl o wspólnocie rodzinnej. A może to ona dokonała na mnie tego aktu przemocy, żeby zaludnić swój dom? mówi, że nie, że zastała mnie w tym pokoju nie zamieszkanym od lat, nie teraz to powiedziała, onegdaj, ale czy mogę jej wierzyć, czemukolwiek wierzyć? Ten fakt ponoć wprawił ją w zakłopotanie, istnieją prawdopodobnie przyjemne zaskoczenia, teraz nie ma już żadnych wątpliwości, co do tego, bo jestem jednym z nich, według jej słów. A więc ucieszył ją mój widok, co za nedorzecznosc ucieszyć się zniedołężniałym karłem, ale co ja mogę wiedzieć, co na ten przykład dzieje się w danej chwili na podwórzu albo trochę dalej, albo wyżej lub niżej, może, żadne może, odrzuć od razu tezę, że tam się cokolwiek dzieje poza tymi bzdurami czy nedorzecznosciami, powtarzającymi się bez końca w rytm starej melodii. Nie wspominaj o tym i dziękuj, że masz to już za sobą, że leżysz sobie spokojnie, zamiast błąkać się po ulicach czy korytarzach, jak przysłowiowy pies merdający ogonem. Nazwałem to spokojem, spokojny zniedołężniały karzeł przy boku Safony.

Co za urzekający widok! Królowa za swoim karłem! Niewielką ma ze mnie pociechę, ale nie sądzę, żeby tego potrzebowała, jest za stara, aby się łudzić, odnoszę wrażenie, że pozbyła się tych głupich przesłanek życia, które oślepiają umysł, ale jednak czego bym o niej nie mówił, wydaje mi się, że na coś czeka, że nie umiera w ten głupi i nudny, dodałbym uniwersalny sposób, jak wszyscy, nawet jak ja. Nie, to niemożliwe, co za głupi pomysł sądzić, że to mój anioł stróż, co też moja wyobraźnia jeszcze podsunie, myśl krańcowo abstrakcyjna, nie wierzyłem nigdy w anioły, w istnienie aniołów, chociaż w diabły czasami wierzyłem, tak

jak mogłem wyobrazić sobie piekło, a obrazu nieba nie potrafiłem odtworzyć nawet we fragmencie, ale tłumaczyłem sobie, raczej wybielałem siebie stwierdzeniem, że rzeczy nie istniejące stoją poza percepcją. Oryginalna bufonada.

Wielka szkoda, że koncepcja anioła odpadła, zresztą słusznie, ta moja Safona wygląda raczej na emerytowaną prostytutkę, za ostro powiedziane, przepraszam Safono, wyglądasz na kobietę pełną miłosierdzia, daj spokój z tym miłosierdziem, kobiecym miłosierdziem, nie na twoje nerwy ten temat, nie zawracaj sobie głowy Safona i karlej dalej, jakby jej zupełnie nie było przy tobie. Tak między bogiem a prawdą nie wiem, dlaczego przerywam sobie, zaprzeczam, podaję w wątpliwość nawet to, co jest oczywiste, nie wiem, dlaczego boję się przyznać, że kocham Safonę, nie udawaj wariata, no, widzicie, znowu zaczyna się kłótnia, chyba nie potrafię przeciwstawić się tej zmorze, która siedzi we mnie, ale postaram się, będę się starać nie dawać jej powodów do zabierania głosu. Nie jest to miłość łabędzia, czy pewnego rodzaju ślepotą od pierwszego wejrzenia, nie, tego nie twierdzę, wstydzilibym się nawet o czymś takim mówić, zabrzmiałoby to nawet komicznie: łabędź i karzeł, chociaż w moich warunkach, w naszej sytuacji obowiązuje, tak mi się wydaje, inny wzorzec estetyczny, jeśli można mówić o jakimkolwiek wzorcu w tej materii, w tym duchu raczej, ale ciszej, nie mówmy o nawykach czy przyzwyczajeniach. Tak czy inaczej odczuwam to jako życie pozagrobowe, życie w domu niebieskim. Jestem ciekawy, czy wczoraj bym to tak określił, czy nie nazwałbym tego, dajmy na to, czyścem, rodzajem mimo woli narzuconej pokuty, przez którą trzeba przejść, aby osiągnąć stopień wyższy, a może niższy, w każdym razie taki, po którym schodzi się w głąb siebie, w dalszą część siebie. Nie wiem! nie mogę również powiedzieć nic, co jutro o tym będę sądził, nie jestem już taki dureń, głupiec wszechwiedzący, który wszystko widzi w jasnym świetle, nie dam się już nabrać na żadną jasność, słuszną drogę, właściwy cel, sprawę nadrzędną, jakieś tam odkupienia, jestem już w swoim łożu, nie słucham oczu, uszom nie dowierzałem nigdy, nie mogłem dowierzać uszkodzonym bębenkom, nie mówiąc już o innych zmysłach, tak, tak, jestem już w łożu, skupiony w sobie, skupiający siebie, teraz mamy godzinę? nie wiem, która godzina, ale śmiało mogę powiedzieć, że do wieczora również jest daleko, przypuszczam tylko, że tak jest, mój biologiczny zegar wskazuje, że jest około południa, więc o godzinie dwunastej oznajmiam, że swoją miłość odczuwam, no widzisz, już się zastanawiasz, że będąc nią wypełniony,

przebywam w domu niebieskim, no, dodaj: uczestnicząc w życiu pozagrobowym. Jestem bardzo ciekawy jak moje wynurzenia przyjęła Safona, czy je właściwie zrozumiała, jeśli słuchała. Fakt że siedzi obok, jeszcze nie jest dowodem jej obecności, właściwej obecności, z otwartym, ach te stare bezpowrotnie utracone metafory, tak, z otwartym sercem. Nie mówiąc, nie potwierdzając jakiejś historyjki swojego życia, może z powodzeniem słuchać kogokolwiek zaplątanego we wspomnienia, wpatrując się w jakiś nie istniejący krajobraz z czasów młodości, nudny urywek plaży, na której utraciła dziewictwo, czy coś w tym rodzaju, sprawiając wrażenie zasłuchanej. Znam to z własnego doświadczenia i niech mi nikt nie wmawia, że przyjemniej jest słuchać niż mówić, nie, nie mówić, wydobywać z siebie swoje jeszcze żyjące, wciąż żyjące wątpliwości i nadzieje. A nie mówiłem, Safona niczego nie słyszała, nawet lepiej, będę mógł jeszcze raz zająć się czymś przyjemnym, duchowym, jeszcze raz powtórzę, abym nie miał złudzeń, że mówiłem o czymś zbytecznym albo na przykład niestosownym. Ale czy to stwierdzenie mnie uspokaja, czy kiedykolwiek byłem spokojny skończywszy modlitwę, nie wiedząc czy została wysłuchana i czy istnieje ktoś, aby wysłuchał tych kilkunastu zdań, które wymawiałem z bojaźni czy przezorności: czułeś się gorzej niż przed i dlatego przestałeś się modlić, wpadając przez to w jeszcze większy wir niepokoju. I teraz, nie udawajmy, czujesz się rozczarowany, w mniejszym stopniu oczywiście niż dawniej, ale smak goryczy jest podobny. Nawet dawniej, kiedy nie wiedziałeś, kiedy nie wiedziałem o swojej właściwości karlenia, która objawiła się gdzieś około czterdziestki, a świadomość tej cechy trochę wcześniej, zauważyłeś w sobie dziwną wrażliwość na wołanie, troista krew cię zalewała, kiedy zbywano cokolwiek stwierdzeniem: później, przeszłyśmy się nam, co nagle to po diable, wrażliwość nie na dzienne pokrzykiwania, nawoływania czy inne mało znaczące gesty lub słowa, słowa poparte gestami czy gesty poparte słowami, nie, na to nigdy nie zwracałeś uwagi, była to wrażliwość, jest to wrażliwość, mam nadzieję, że nie opuściła mnie, na te krzyki jakie nieraz wrywają się z objęć ciszy czy ciemności. Po tym co powiedziałem, nie mogę upierać się, że czuję się nie zawiedziony, nie jest to wprawdzie czarna polewka, niemniej jednak ma swój Wydzwięk. Co za sentymentalizm! daj spokój z tymi oświadczeniami, z tym słownym grochem, po co ta cała komedia, kiedy wiesz, jakie jest jej przeznaczenie, a ty, zniedołężniały karle, nie możesz zrozumieć, jak dotąd niczego nie pojąłeś, jak byś jeszcze codziennie hasał po tych nadbrzeżnych łąkach, jak kiedyś za

błogosławionych dni, wtedy błogosławionych, teraz możesz je tak nazwać, to właśnie, ale dzisiaj tę skąpą radość zostaw w zawieszaniu, nie musisz grzebać wszystkiego na raz w jednym dniu, trzeba żyć, przynajmniej myśleć, że się jeszcze żyje, że się żyło, coś się widziało i wiedziało. Tych kilka ogólników na pocieszenie, zadośćuczynienie za fakt narodzin, rekompensata za wariacką jazdę na karuzeli, ach te wieczne koła, powroty, nawroty niewarte wspomnień, a rozpamiętywane, te dzieci... Niesamowite, dzieci, czy ja byłem dzieckiem... kiedykolwiek, bez wątpienia sikałem w pieluszki i... bez wątpienia czułem się jeszcze fatalniej niż teraz, na początku oczywiście, dysponując jeszcze płodową wiedzą, później już nie, coraz rzadziej, dopiero później, tak, dopiero później, pod koniec, tak jak teraz, znowu coraz częściej te fatalne nastroje, wrodzone fobie. Czy miałem dzieci? tak, czy miałem dzieci znając siebie i biorąc pod uwagę to, że na mnie się nic nie kończy? Należy przypuszczać, że byłem ojcem, ojcem? ja, który nie mogę zrozumieć sensu ojcostwa, nie tego wyświechtanego i powierzchownego ziemskiego opiekuństwa lecz ojcostwa życia. Więc na pewno byłem złym synem, marnotrawnym, podobieństwem owego wiecznego tułacza. Nie jestem pewny tego, co mówię, ale wszystko wskazuje na to, że racja jest po mojej stronie, co zobaczymy w swoim czasie, splatając historię trzeciego pokolenia natrafimy i na siebie, tak, tak, zobaczę siebie, będę patrzył na siebie, na tę dawną moją istotę, prawie obcą, zupełnie obcą, jak będę widział siebie i swoje potomstwo? szczególnie potomstwo mnie interesuje, w tej chwili oczywiście, czy jeszcze żyje? a jeśli tak, to jak daleko zabrnęło, w umieranie, naturalnie.

W drogę, mój Lancelocie, ach co za miano nadałem sobie, owszem, owszem, nie mam nic przeciwko, niech tak zostanie, a więc, drogi Lancelocie, rycerzu karlego stołu, ruszamy, Safono, na czym to skończyliśmy, już wiem, już widzę, ale naplotłeś, mój Boże, muszę stwierdzić, że nie brak ci talentu, cieszy mnie to bardzo, wybaczam ci wszystko, jeżeli coś jest do wybaczenia, a jeżeli nawet jest, to tak mało jest win, których nie można wybaczyć. Jesteś rozgrzeszona, rozgrzesz i mnie dla równowagi, teraz żegnaj i słuchaj.

9.

Wiatr nie wieje, a koronogłowa opada, pomyślał Michał Jurewicz, kiedy stanął przed domem ocechowanym numerem 3, a należącym do ulicy Wasylkowskiej, która w złotoskwarowym Kijowie, w zamierzchłych jeszcze czasach, swoje włości nabyła i w księgach wieczystych ten fakt odnotowała. Interes nad wyraz intratny w swoich rękach skupiła, burzliwy i gwarny. Radował on nie tylko ongiś oślepionego Wasylka Halickiego, który w kwitnącej czapce Monomacha, na kasztanowej nodze stojąc, słuchał latopisu lata nadchodzącego, ale również Wasylka rzezimieszka żyjącego z okradania bliźniego i Bazylego z Bazylei w mundurze legionisty entej brygady. Wasylkowska bojaryni nie mak-betle-jemiła nikomu, but w dom budda, mó-wiła wianki, jak zwykle, rzucając do wody, znana piosenka. I Jurewicza potraktowała godnie, pochodzenia nikt mu nie wytknął, od ucha do ucha śmiały się usta, poczuł: won-wol--ności przed-smak. Rumieniec na twarzy zdrowiem trysnął, więc wzrok w biel kasztanowych kiści wrócił. Niech zmartwywstanie, życzeniem skinał, albo wykapię się w wiosennym mleku jak córka Batu-Chana. Najpiękniejsza córka roku ale biedna jak przechrzta cerkiewna, przednówkowa, odejdzie, z kwitkiem kwiatka opadnie, brzemienne lato o deszcz wołać będzie: rosę na moje brzuchogrono, a jesień owoc żywota pokaże. Czas pokaże, co zerwie. A zerwie lub skosi, skosi i omłóci i plewy wydmucha. Zapraszam w gościnę, wyznihil ziarno słów szczerych Michał Jurewicz z łagodnego wyłogu cywilnej marynarki, czym chata rogata, Sergiejewna na pewno wysłowi. Dom jak Pankrator odsłowiczyl rybak i numer 3 jak trójka w taroku pomyślność zwiastuje. Dziękoodmówienie. Wróć do swojego trzcinołacu, tam mnie zawsze znajdziesz, nawet po śmierci będę na mokradłach i czaplokrokiem poszybował w stronę Dniepru. Żeg-naj-droższy. Dzień jak nowina, wyciszając serce zawieszczyl Jurewicz, puls liczył: przy siedemdziesięciu drzwi otworzę: lata jak latawica, liczę stokrotki naczynia wieńcowe. Wiosna tego nie uleczy, potwierdził cichym wezwaniem dzwonek drzwi wejściowych. Otworzono, poznano! Tatiana Sergiejewna łez nie żałując drzewo mężowskie swoim węzem oplotła, swawoląc slowolała i tęskliwie słowa piła. Poprzez ramię żony Jurewicz dostrzegł swoje oczy zdobiące dziewczęcą twarz. ogini tego domu czy dalszy ciąg legendy? Baśń, licząca plus minus latek piętnaście, nie cieszyła, zagładę rodu wróżyła, całą jej zaletą uroda: urokliwie zapowiadająca macierzyńskie

jutro. To ta trójka z taroka. Kto w tym palce maczał? Ja też Wielemira chciałem, krzyczała już krew, Wielemir, Wielemir miał się urodzić, twój plemnik był Y a nie X, od pół wieku się nie mylę i żyły wojów ozywiam. Hańba, hańba na mnie spadła, rozpaczam i płaczę, a łzy moje to siwizna twoja, przekonasz się, jak cierpię. I rzeczywiście, jak Niobe cierpiała. Jurewicz W ciągu paru minut kompletnie osiwiiał. Tatusiu! krzyczała legenda, twoja głowa jak synogarlica, skronie jego w dłonie ujmując zakasandrzyła: ksiądz srebrny, srebrna la-wina z tej srebrnej kuli srebrne runo wyjazonię: widzę jak ogień długie płomienie za pazuchę chowa, pożoga czerń wyprzedaje, bocian klepie noworodkom kosy, kobiety wyglądają przez okno, drogi i kochany, wróc uro-dziwy nad dziwami... A Tatiana Siergiejewna z głowy męża werset Apokalipsy odczytała. Zagubionemu aniołowi, czystemu duchowi grozi zagłada, krąg się zamyka, lecz pieczęć nie została jeszcze złamana. Mężowskoermontowowskiej ikonie obrazoburstwo po piętach depcze! Wysłuchaj mnie, Panie, wysłuchasz, nie do Egiptu wyosiołkujemy, nie obawiaj się, kolej nas zawiezie w takt poloneza do krainy etiudy F-dur. Trzy dni temu grał mi ją rotmistrz Ronarski, szepnij mu słówko, a glejt załatwi i list polecający wręczy. Ja mu o tym przypomnę. Babka zwracała się zawsze do Boga, jak do bliskiego krewnego, na którym spoczywa obowiązek pomocy rodzinnej: żadne zaprzeczenie czy odmowa nie były brane pod uwagę. Aż dziw bierze, że skłonność do fantazjowania i egzaltacji, a nawet to jej życie w wyimaginowanym świecie nie pozbawiło jej trzeźwego spojrzenia, kiedy zachodziła potrzeba, przemieniała się w taktyka i stratega, w szachistę, który w jednym palcu ma wszystkie debiuty i perfekty opanowane końcówki. Plan i termin akcji został zatwierdzony. Katiu, podaj herbatę i koniak, ojciec jest strudzony. A więc *Katharosá*, podchwycił Jurewicz, czystej krwi i bez zmaży. Od świętej Katarzyny nie prześladow zwierzyny, dopowiedział i usiadł przy stole. Po chwili na ten padół drewniany spłynęła łaska pod postacią herbaty i kieliszka koniaku. Wziął w rękę kielich i uśmiechem dzięki składając pił krew winorośli na pokrzepienie ducha i odnowienie małżeńskiego przymierza. Siedząc w głębokim, miękkim fotelu z kieliszkiem w gniazdku dłoni chciał odczuwać boskodostojeństwo, a nie mógł i nie śmiał, bo słyszał daleką kanonadę. Brat ścigał skórę z brata, wnuk dziadowi dziurawił śledzionę, Lenin chciał czerwonego, Wrangel białego. Właśnie, właśnie mówiła Siergiejewna, nowy Rzym założymy. Kochany Miszeńka, nasza Troja do cna spalona, nasz dwór Machno burzanom powierzył, nie ma już Motii i Kuźmy.

Kijów drwi z nas, to Babilon, Pompeja. W sekrecie ci powiem, co mi zaszeptano: nie minie miesiąc, a po Krieszczatiku spacerować będą czerwoni. Oni, właśnie oni, a ty skórzaną kurtkę nosiłeś, w taraszczańskim pułku komisarzem byłeś. Zdezertrowałeś czy do niewoli się dostałeś, to tylko słowa, puste, bo kto uwierzy, że komisarza po włosach pogłaskano i na wolność puszczono. Co to za komisarz, którego wrogowie nie skrócili o głowę? Sam przyznaj! Wiesz co w Trybunale Rewolucyjnym powiedzą? Komisarz pułk opuścił, niech opuści ziemię. I amen żyje, dogorywaj w mogile. Dalej mówiła, a może tylko myślała, że najważniejsza jest pierwsza odczuwalna świadomość, krew poruszające serce i czas, który sprawiedliwie mierzy: małe i duże, aby się cieszyć, gdy zimne ciepłym się staje, a martwe ożywa, bo tu tylko wilk jest wilkiem a ołowiana kula śmiercią, jest to nieraz nudne, trywialne, pachnie truizmem, lecz kiedy siedzisz opuszczony, sponiewierany, zagubiony, od razu odsłania się w tobie Bóg w całej pełni, zaczynasz rozumieć, że jesteś potrzebny tej ziemi, że bez ciebie zubożeje, a ty bez niej staniesz się ostatnim z łazarzy, bo stracisz słońce. Ta druga świadomość, ten drugi czas jest głębszy, szerszy, pełniejszy, śmielszy, ale jest wtóry, istnieje po to, abyśmy trwali, śmierć pierwszego będzie pogrzebem drugiego i zagładą trzeciego. Myśl niebieska jest życiem ziemskim, a nasze uczynki fundamentem niebieskim. Michał Jurewicz opróżniając drugi kieliszek zrozumiał wreszcie intencję połowicy: banicja. Z rozpaczowściekłości zaczął płodzić gromy i ciskać w Demona, który go w taką wpakował kabałę. Nadaremnie spalał złoty kruszec nerwów. Demon siedział u Boga za piecem z księżniczką Tamarą, a błękitna planeta już nawet pyłkiem nie była dla niego. Nie słyszał gromowładnych słów, ale je przewidział i dlatego polecił jednemu z egregorów, pod groźbą wiecznego czekania, aby wywiódł go z domu ojców swoich.

Kiedy Jurewicz rozpoczynał piekącą bylinę, Siergiejewna i Katia wyszły z pokoju, a kiedy kończył ognistą brzytwę burlackiej poezji, ze ściany wyszedł sam Semjoza. A ty tu po co? warknął Jurewicz i cisnął kieliszkiem. Książę egregorów chwycił szkło w locie, nappełnił koniakiem i wypił go duszkiem. Owszem, owszem, smak prawie edeński, lepszego teraz ze świecą nie znajdziesz, a ty klniesz jak nifilim. Nie z własnej woli do ciebie przychodzę, spełniam tylko przyjacielską misję, więc swoje nerwy na sposobniejszą chwilę zachowaj, Demon mnie przysyła. Demon? znowu Demon, ten kleszcz przeklęty, czemuś go nie rozdeptał albo siekim baszka. Śmierć to rzecz ludzka, my tylko tęsknimy, gdybym miał

nadzieję, że śmierć mnie kiedyś spotka, czułbym się szczęśliwy. Nieśmiertelność czyni mnie zgryźliwym, zawistnym i podłym. Och, głupcy, głupcy, o czym wy marzycie! Pragniesz tego, co ja przeklinam i przeklinać będę. Ale do rzeczy. Przychodzę, aby ciebie od śmierci uchronić, do końca tej rzezi ani jeden włos nie opuści twojej głowy. Nie mam na to ochoty, lecz w ten sposób spłacę karciany dług honorowy ulubieńcowi Tamary. Nie myśl czasem, że jestem twoim stróżem, sam musisz główkować, aby cię żaden z moich synów w złym humorze nie spostrzegł. Ty masz rodzinę? Śmieszne pytanie. Zawsze mam tylu synów, ile w talii kart, gram nimi bez przerwy. Nabuchodonozor był pierworodnym, nie wszystkich pamiętam, ale był Kaligula, Aleksander, którego zwiecie Wielkim, co mnie bardzo śmieszy, Herod, Attyła, Czingis-Chanik i Tamerlanik, Ludwik Słońce, a nawet Generalny Inkwizytor Tomasz Torquemada... Doborowe karciećtakacięta. A w szachy nie grywasz? W starożytności i średniowieczu ta gra jeszcze miała sens, lecz teraz, mój drogi, w naszych czasach tylko karty pierwsze skrzypce grać mogą. Po raz pierwszy taki namiętny pokerek się udał, spisują się na medal moi nifilimowie, od dwójki do tuza bez żadnych zastrzeżeń, sam przyznasz rację, waletem przecież byłeś, ale ty się do tego nie nadajesz, ty z plemienia Seta. A jeśli nie wyjadę? Głupcze, cudowny, nie przeszkadzaj spłacić mi długu i nie myśl o mannii, nie martw się, umrzesz w ruskiej ziemi, przyrzekam ci to i, jak mi Bóg miły, nie zapomnę o tym. A jednak miły? A jednak miły? A miły i upragniony, synem jego przecież jestem. Może mnie los Demona spotka? Ale ten hazard do reszty mnie strawi. A co on teraz porabia? Odpoczywa. A Michał z Lucyferem szachowy turniej o władanie nad światem do sześciu zwycięstw rozgrywają. Czarnymi gra Archanioł Michał. *Uważajemyj gospodin* – rzekł dworsko, napełniając kieliszek koniakiem, gdyby nie ten, którego nazywacie Rabbim, Jezusem czy Chrystusem, wasz ród od dawna byłby uważany za wymarły. Nie brak wam inteligencji, nie zaprzeczam temu, lecz wszystko, co tworzycie, tworzycie nie dla siebie, ale przeciwko sobie. Białe czynicie czarnym, a czarne białym, biesy wobec was są aniołami. Tak, tak gospodin, to błędne koło, a nie spirala. Szalbierstwo, korupcja, krzywoprzysięstwo czy zakulisowe kurestwo uważacie za cnotę, a podrzynanie gardła za święty obowiązek, bo ktoś tam, teraz czy kiedyś, komuś tam, czymś tam, nadepnał na odcisk. Nie masz pojęcia, jakie czuję obrzydzenie do was. Gdyby nie ten nałóg hazardu, padłbym do nóg Bogu i prosił o wybaczenie. Sam się nieraz zastanawiam, dlaczego Rabbi upodobał sobie tę peryferyjną planetę? może dlatego, że

jest błękitna, a on jest niepoprawnym marzycielem. Pomyśl, dał się przybić do drzewa, przybili Go gwoździami jak podkowę do kopyta. A co ty zrozumiałeś z tej ofiary? Kiedy patrzę na ciebie, walecie, śmiech mnie ogarnia: na tobie zbuduję kościół mój. Serafinie! oni pobudowali katedry, klasztory, kamień na kamień, drzewo na drzewo, farba na farbę, spowiedź, procesja, święcenie owsa, walonka, szczedriwka. Rabbi, Rabbi ty nawet przytułku nie masz! Ale moce niebieskie poruszają się nie tylko z tego powodu. A więc, mój drogi, sursuin corda, spojrział na płyn pod światło, uśmiechnął się, przełknął łyżeczek, cmoknął z zachwytem i wypił resztę. Nie dziwię się teraz, dlaczego nifilimowie tak przepadają za tym trunkiem. Zaśpiewam ci: *e-och, on nie czuwstwujeť ljubow... ljubowi nikakoj, e-och, kakowa ljubow na swietie goruczaja, e-och, sedit Miszeńka zapłakany glaza..., A Moskwa, nie ssena, sliozoom nie wieritt!*

Tylko plemiona słowiańskie potrafią wytworzyć takie ogromne łyzy, przy których łyzy krokodyle wyglądają jak kasza manna. Z ciemnych oczu Jurewicza zaczęły wypływać takie właśnie słone planety, były tak wielkie, że zagrażały światu potopem, ale wodnik zorientował się w porę, łyknął z kieliszka i chlipnął: a ja nie chcę uciekać. Zającem nie jestem. Gdybyś był zającem, nie byłoby problemu, zadzwoniono w odpowiedzi. Sęk w tym, że ty gospodin o podejrzaney przeszłości. Jurewicz w sobie się skupił, poszukał matuli, skrył się w jej ramionach: pod twoją obronę, nie daj skrzywdzić syna jedynego, pod serce schowaj. Urodziłam, odeszłam, stałeś się mnąsoboosobą pamięć i myśl, pacierz i macierz, Bóg i próg, to jedyna więź nic więcej. A ojciec mówił inaczej. Ojciec jest zawsze ojcem co otrzymałem – zwróciłem. Nic dla ciebie, nic ty dla mnie: skomleniomilczenie. Amen! Żadne amen, *gospodin* Jurewicz, twardo stuknął Semjoza, księżę egorów, a jeśli amen, to nie z twojej myślowoli, twojej doli jam patrom teraz, do chwili aż Kijów opuścisz, a potem Bóg z tobą. A jeśli ukryję swoją nagość? Czuję się jak Adam, który je jabłko podane przez Ewę. Kuźma pistolety! krzyknął Jurewicz. Siedząc w fotelu spostrzegł stojącego obok prawdziwego Michała Jurewicza i nagle z uznaniem kiwnął głową: *theion sacra belezza, apprehensio, placet*, Apollo, Apollo u Hiperborejczyków. Nie, Kuźmo, wymamrotał bezwiednie, Apollo nie będzie się pojedynkował z upadłym duchem. Sługa skinął otworami oczodołów i trzeszcząc nagim szkieletem odwrócił się na drugi bok w swojej cmentarnej ciupie ocienionej kiściami kaliny, westchnął z ulgą i znowu zapadł w swój wieczny sen. Apollo paś Admetowc

trzody, wznosił mury u Leomendona, skąd się nagle wzięła u mnie ta ośloucha wzniosłość, nie poparta słowami Pytii, mojej wieszczki Tatiany Siergiejewny. Och, *ty erin-merin*, gdybyś swą nagość chciał ukryć tam: i gołębica wzroku pofrunęła w stronę niebios, rozkrzyżowałabym swoje ręce, ale tu na tej planecie, na tej tragikomicznej scenie – to psu łyknać duszkę. Nie martw się, żyć będziesz jak JCM Franciszek Józef albo jak, żeby było bliżej, JKM August III Sas, który uwielbiał teatr i las, bo w duszy miał wieczną jesień, i plemię hożoboże płodzić się będzie mogło w adamaszkowym namiocie, arce karzącokażącej, więc odpuść nam nasze winy: wina nalej na poku-cieszenie i zba-zabawiaj nas w każdej chwili, bo ciała Izoldy pragniemy jak powszedniego chleba, przejadła nam się manna i noc Walpurgii nas nęci. Sny nasze wołają, zmysły żądają, by ucho widziało, oko słyszało, powonienie czuło, nie zwlekaj, jak my nie próżnujemy i po- i za-lecamy się, do czego się da: kto da jakikolwiek okup, zba-wienie lub inną rzecz godną godów gadów na morzu, ziemi i niebie, by móc wznieść modły za grzechorodnych, co wśród nas i z nami zdobywają ostrogi przyszłych łask, by wreszcie dostąpić chwaty pod stiukową powałą, niech się tak stanie. *Bulbul butyloczka kazionnowo wina*, nalewamy koniaku, zadzwonił (teraz już szkłem kieliszka) i mrugnął do Jurewicza. Anioł czabanom powiedział, by zawitali do nas trzej królowie. Umarł król, niech żyje król! I bez pukania wszedł Kacper w miękki kapeluszu, jaki nosił premier Eden, ukłon uczynił i szkatułę złota na stole postawił. Oto mój dar, wykrólewiał król obliczem. Gwiazdę zobaczyłem, gwiazdę przez proroków zwiastonotowaną, więc przybiegłem na ten zew i taka radość mnie ogarnęła, moi drodzy panowie, że miałem ochotę rozplynać się w niebycie, oczy załśniły piano, serce zabiło forte, o, fortuna oto, którą składam jak wdowi grosz. Powiedziano już, rzucił przez zęby księżę Semjoza: ostatni będą pierwszymi. Idź i czekaj! Na kogo? Na kogoś! Może ktoś, kiedyś zauważy Waszą Królewską Mość, lecz nie licz na cuda. Najmądrzej zrobisz czekając na tego tu oto Jurewicza. On wspomni o tobie, jeśli nie zapomni, że należy wspominać. Żegnaj, bo Melchior wchodzi w kadzidlany dymie.

Wiem, wiem, lubisz dym: pierworództwo w ofierze, jak nakazał Pan bratu Abla. Wiem, wiem, lubisz zapach żywicy i jędrność dziewicy.

Lecz jak mam nazwać myśl, która stworzyła ciebie,
byś tak wielki dług zaciągnął w niebie?

Od milionów lat szedłeś przez krew, drążyłeś drogi
w mózgu i oprócz dłoni całowałeś skronie

matuzalów i golemów?

Mateuszu, wyostrz uszy, słuchaj.

Marku, dobrze miarkuj, lecz nie do ziarnka ziarnko.

Łukasz, dobrze skasuj, zębami sprawdzaj monety.

Janie, dobre kazanie z Mount Everestu.

Wiem, bardzo dobrze wiem, że lubisz zapach żywicy, więc kadzidła w ofierze, daj perły odebrane wieprzom, które nosisz zaszyte w pasie jak Artur Rimbaud, bo rak złośliwy może na biodrze zapuścić korzenie. Proszę bardzo, lecz za co będę żył? Ptaki niebieskie nie gromadzą lecz płodzą. Jesteśmy w świątyni Ka'ba, ucałuj więc czarny kamień. I usta Melchiora skóry smagłej ręki egregora smak poznały. Twój dar będzie skrzętnie policzony, licząc na martwychpozostanie. Witaj, witaj, strudzony Baltazarze, Bel-Szar-Usur, Belu, zachowaj króla, nasze hebrajskie dzieje, pradzieje w Bogu łaskawym. Słowośłowemśłowiło, a reszta dziewosłębii w miłodaniu, aż się Lilith pojawiła w moim łóżu i powiła debbe- i chachor-sora, który ryknął czterojęzycznie wrywając ojczulka z twórczego transu, więc wodnistooogniste przekleństwo cisnął: niech się wszystko rozprysnie! I rozprysnęła się glina po błękitnych obręczach we wszystkie strony światośmierci, potem słońce śmiecholetnie wysuszyło wykoślawione człekoczkarki i grzańcem napełniło, do jednej goździk wrzuciło, do drugiej ziarnko pieprzu i tak po kolei: liść laurowy, gałkę muszkatową, paprykę, lubczyk, miętę, wanilię, ziele angielskie, zaklęcie cygańskie, przekleństwo słowiańskie, jad germański, proszek z ropuchy i jeszcze wiele innych korzeniokoronnych kompozycji. Przez zmysł powonienia pożyciu zwracani, duszosepleniąc znowu słowotworem: bul-bul żar-usta rozrywali, rywali, po naczynia sięgali. Ojciec pił matkę, żona męża, dziewica prawiczka, wdówka wstydliwego, jak smoki żłopali, torsji dostawali, więc moderaro odkryli, a gdy do adagio doszli pijawkami do siebie przylgnęli delektując, deliberując, myślotworząc, a ja zwykłą trójeczką atutową zniwo zbieram. Tak, tak, mój drogi Baltazarze, żarzy się jeszcze we mnie zorza wzorzysta, nieraz padam w padaczce na padół i trzęsę trzęsawiskami mrowioludzia. A kiedy ochłoną, taki smutek smukłowały smuży się w oczodołach, że

śpiewam: *bul-bul-butyloczka kazinnowo wina*. I ty łyknij tego koniokoniakokrada. Czyż nie tak, serdeczny egregorze?

Mefistofallus miał jednak dar przemieniania. Smaczek, owszem, parysoparyski, trojogaskoński, nalej jeszcze tej wszechświatłości. A ja, cha-cha-cha, nie jestem nawigantem, więc przyniosłem w darze mirrę: pokój, lecz dam temu spokój, abym był godny Synaju, złożę w ofierze parę garści brylantów ze skarbcza Salomona dla świeżonarodzonego Michała Jurewicza w tej kijowskiej stajence, a dla jego Sulamitki wszelkich wonności i radujących oko niewieście kosztowności niewielki kuferek. Lecz zanim stopę w strzemię włożę, strzelę jeszcze strzemiennego, wracać muszę. *Good bye* bajubajubajubaj i zniknął za drzwiami. Wizyta skończona. W serdecznej starosferze zginęła mowa. Wystarczy ci tych skarabeuszków na chleb i tytoń i farański dach nad głową na lat dwadzieścia, a potem zobaczymy, czy żyć zechcemy, jeśli liczyc umiesz lub znasz alfabet zodiaku Psów Gończych. Udasz się do grodu, który Daniel Halicki wznosił dla swojego syna Lwa, księcia przezacnego.

Robię to przez szacunek dla Demona ułaskawionego, bo inaczej wysłałbym cię w błota fińskie do zakisłego Kobrynia, gdzie by cię co noc kułbaczyły rusałki lub wiedźmy na miotły sadzały. Lwów to nie ziemia obiecana, ale na czarnoziemiu leży, który zawiera kosmiczne mikroelementy: kto spożywa płody tej ziemi i spowiadać się umie, smak monady językiem poznać może. Pamiętaj, o dwudziestej twój pociąg odchodzi, jeśli zawiedziesz, po firmamencie Perseusza gonić będziesz w postaci bezgłowego łabędzia. Teraz idę grać w pokera, bo Siergiejewna wraca. Jedne drzwi zamknęły, drugie otworzyły swoje podwoje. A więc Miszeńka, zakobiecila poliszynszylem Tatiana, rotmistrz Konarski ducha rycerskiego wykazał i przedział w oficerskiej salonce załatwił. O ósmej wieczorem wyjeżdżamy. Oto list polecający do... i spostrzegła na stole skarby Salomona. Złotokozaperliłodiamentowyszlifzłowiło.

Próba na wysokościach, a na ziemi smaczek dobrej doli! Ręka trzykrotny prawosławiący krzyż nakreśliła, a usta w dziw ułożone wydziwiły: nasze to boga-c-tworzenie? Owszem, restitutatiana! Lud wziął, król dał. O, Boże! zadość się stało, zaiskrzyła, nie będę pytać: ukradzione, zrabowane, złupione, bez tego drapania sumienia, nam też wszystko wydarto, zrujnowano, napiętnowano, a ja jestem kobietą tylko, chcę mieć ogień w kominku i męża żywego przy boku, który od czasu do czasu jakieś tkliwe nasionko podrzuci. Tak mało trzeba

kobiecie i Bogu, ale nawet tego nie można się dorobić, tyle tego diabelstwa karabinowego namnożyło się na świecie. Jeżeli już ten czy ów sklerotyk nie może żyć, niech nakupi sobie ołowianych żołnierzyków i niech nie pokazuje się na oczy kobietom, bo mu łeb rozstrzaskam patelnią. Niech się taki błotem udławi, albo w gnojówce utopi, niech go ziemia nie przyjmie ani woda, a niebo opluje ogniem, wilki rozszarpia, wrony rozdziobią, karaluchy strawią. Kula ziemiska nie większa od kaczego jaja, a oni jakieś granice, druty kolczaste, szable, armaty, hasła, manifesty. Niech ich wszystkich cięża nawiedzi, niech trwa dwadzieścia miesięcy, a poród oktawę, bo gdyby chociaż raz urodzili, innym okiem patrzyliby na ziemię i niebo, i otaczające wody, inne pieśni by nucili, carozasrańcy. Wyc mi się chce, gdy pomyślę, w jakich bólach rodziłam i jakim cierpieniem stworzony był człowiek, więc dodać do tego przedwczesną śmierć może tylko czarciozboczony mutant, nikt tylko on, choćby na głowie miał trzy korony i siedemnaście pieczęci boskich na swojej bumadze. I wpadając w ton śp. Motii, babka gorgoniła do wieczora nie zapominając o ukryciu w dnach walizek zdobytych skarbów i pocałunkach dla swojego świętego Michała Jurewicza. Tak, tak, moja Safono, żono czy istoto wyższa, o godzinie dwudziestej pociąg wiozł już ich do miejsca moich narodzin, a moja matka, niepokalana Katarzyna Jurewna, miała na szyi kolię Kleopatry i fenicką purpurą zdobioną apaszkę. Jechała na Podole, aby mnie wydać na świat, bo taka wyrocznia zaślśniła w listkach jemioly w kitajgorodzkiem parku, w dniu jej narodzin. Tak, tak, mój drogi Lancelocie, rycerzu karłego stołu, mamy już kądziel, musimy ruszyć po miecz, aby to razem związać wieczystym rzemieniem: oraz to, że nie opuszczę cię aż do śmierci. Na koń i w drogę po nową rycerską przygodę.

MIECZ

I

Dzwoń: bim-dłoń, bam-chram, dzwoń, toń w skroń, skowronomułokasydeczko, inwokacja, inklinacja i dwie modliszki na ramionach Allacha usiadły: Haruta i Maruta. Pijąca soki z osierdzia Podola, cyrylicznym kwieciem okryta kalina dała im schroodzienie. Leżąc na wznak Marut majaczył majaki Haruta jawośniającego o życie żeńskim, za które zostali wtrąceni do studni w okolicach Finis-Fenix. Półksiężycem ramieniowiary tulił do siebie brata, w którym każdego dnia po zachodzie słońca zaczynała falować febra w *felix* Arabii nabyta. Kiedy dreszcze wydeszczyły pot na czole anioła, gwiazdy na powrót drzewostan zasiedliły, lecz on serce od nieba odwrócił. Nasłuchiwał: *machzan'ul-asrar*, szum piór simurga? Powiedz, Harucie. Gorączkuję grzechem? Ego jak *kad'a Omara Chajjama!* Harucie, przeklęty kogucie, stań się wreszcie kapłonomuezinem, lecz jak? kiedy się wszystko wokół mnie obraca, wszystko co jest, kwiatem stoi. A to, co słyszysz, to oddech śpiącej Sulimy, księżniczki, którą pieśnią stworzył murza Husein trzysta lat temu. Śpiewając od czambułu się odłączył, więc go refleksyjny łuk sztachetki halickiego w tym miejscu długich lat nadziei pozbawił. Demiurgicznym słowem stworzona drzemie w nieśmiertelności i nie wie, że żyje i czeka. Nim trzeci kur zapieje, wstanie, aby zamieszkać w tamtym dworeczku. Allach jest wielki, Harucie, i nic prócz Allacha, Marucie, nasze to dzieło, by słowo to ożyło i zamieszkało w domu, z którego śmierć Huseina wyfrunęła pod postacią strzały. Czyńmy wolę Allacha, zrehabilitował nas przecież, zerknij na księżniczkę okiem medyka. Serce jak dzwon, uroda *peri*, mózg jak róg obfitości. Stworzona a nie zrodzona. Adra, Marucie, kadabra, Harucie! I Sulima na drugi bok się przewróciła w łożu Kseni Bobrowskiej, a Ksenia, której nikt nie chciał zasakramenić ślubem, na trzysta lat pod kaliną zasnęła. Zdażyliśmy, słyszysz, trzeci kur pieje:

Anno kurze Domini jajo

Nostri Sancti kurczątko cier-piało

Fihi Ma Fihi Mantiqu't-Tair

Ecce homo – koguci targ

kury: Haft Pajkor Szahname dekrety

W głowie uciętej tkwią prawdy sekrety

kogut: Über alles łączcie się by nie zginęła

Happy and Glorious wolność narodów

Galliformes – odwieczny rylec bytu

Terra nostra w gnojowniku

kury: Kuku – kokokobio – wieści Hiobowe

Na śniadanie podróbki drobiowe

Haft Pajkor Szahname tron

Z pnia głowa opadła Theos doron

Przebrzmiał głos koguta, Marucie, i tak wszystko ucichnie i wiatrem się stanie. I my w dymie znikniemy, Harucie, więc niech nam poda napój Dżibrila. Niech się tak stanie, Marucie!

I pomknęli do Buchary, gdzie w *MKRB muezzina* podano im czary różanego wina. Swoją krwawicą barwiła róża usta aniołów i rozkwitła w guł-mulle. Patrz, Marucie, ten guł-muła jaśniejszy od nas, choć z mułu wywiódł kończyny. Spowszednieliśmy, Harucie. Czapka pustyni na głowie świątyni! Meczetomaczety, kościokościoły, animanioły to my. Każdy mit ma świt, czy pamiętasz świata świt i swój świat? Dzisiaj o świecie już musimy osiąść w micie. I niech zbudzona Sulima swój mit przez nas otrzyma. Zarośliśmy mchem pogody, myśl się bogiem zabieliła, ócz pasterzy pozbawione nasze kory zmózgowane, a oczy to orda kulbacząca stopy. Harucie, my Allacha czyste duchy, zła szarańczę zjadamy. Marucie, my kościeje, cieniościenie karmą karmieni w czasie Ramadanu, hostią wybielani w duchozłamaniu, duchy bez dna życia i życie bez dna. Czyż nie powiedziano: wy nie czynicie, to Allah cyni-kus. Słyszałeś, jak na Podolu kogut biesy budził, by spieszyły słońce podnosić. Pamiętasz, cośmy sobie przyrzekli wtrąceni do studni: jak spowszedniejemy, w słońce się rzucimy.

Pożegnawszy guł-mułę za biesami pomknęli w krainę porannej zorzy. Ścieżkami spopielających bogiń Harut i Marut wnikali w zawieruchę czarciego klanu, w dziewiczą

śnieżycę ruszczanych włosów, w gołębie ciemienia wiedźm. Czarny pot spływający z oblicza demona koił spierzchnięte wargi. Lała się struga z otwartego czoła na mogiły wygasłego morza, na złoża rud rodzących cienie. To tu, Marucie, tak, Harucie, w tym odmęcie ukryło się życie. Mosiężny morza wrzątek. Cały piekielny ród na brzegu morza, w kałużach krwi i ze szkarłatem w oczach, w ukropie trudu, z bosakami, linami, kołowrotami. Czarne myślące mrowisko. Razem, braciszkwowie! Jeszcze raz! jeszcze raz! Ciągnęli, sapali, umierali, nikt nie zwracał uwagi na konających, bo kto prócz nich podniesie słońce, a już czas, aby wzeszło i ziemi światło dało. Słońce się opierało, kosiło żarem, tysiące biesów, czartów, rusalek, spopielających, zwęglonych, w szkło przemienionych pod stopami Haruta i Maruta trzeszczało. Dla Sulimy, Harucie; *le cosaque agoniste, et pleure sa mie*. Dla Sulimy, Marucie; *with an arrow from the guelder – rose his heart assailing*. Kroplami potu, wysiłkiem bez dna, do ostatniego oddechu wpisywali siebie w tę harmonię milionów rąk swoich czarcich pobratymców. Zgodnie! Razem! I wreszcie wielkolud poddał się, czerwona kula z trzaskiem i sykiem wynurzyła swój łeb z otchłani, zakołysała się jak zwodowany statek i dziesiątkując językami promieni przeredzone szeregi czarciego nasienia wypłynęła spokojnie na Pacyfik nieba. Ziemia odetchnęła z ulgą. Pozostali przy życiu wskakiwali z radości do wody, a za nimi, z miejsc, na które padły krople potu, rączkowało w stronę oceanu nowe czarcie pokolenie. Pierwsza fala ich chrzciała, druga bierzmowała, trzecia wzrostem i siłą wieku obdarzała, a czwarta wolnością pieczętowała do jutrzejszego. świtu. Z uciechy klaskali w dłonie: mieli przed sobą dzień i noc, a potem może jeszcze jeden cień i jedną moc. I z uśmiechem w różę wiatrów wlatywali. I już tylko morze szumiało przy zwęglonych biesach, na których w spokoju spopielalego ducha leżeli Harut i Marut; śmierć ciała to mordęga, śmierć ducha rajów raj, żarzyła jeszcze ich gorąca myśl.

Sulima jeszcze śpi, ale jej przyszywanego ojca Theophilosa budzi już kogut słońcem podszyty. Tak, kogut wskoczył na parapet okienny i zapiał:

Ku – sicielu z tej samej gliny i z tego samego pnia, wstawaj, słońce drewnianym koniem wbiegło dziś na niebo.

Ku – pidynie imię twoje chcę czcić i postać twoją oglądać. Głosić chwałę twoją twoimi słowami, lecz swoim językiem: Amen.

Ry – ngrafie Kaina, już mnie krew zalewa, nie przyjmę płodów twoich ani żadnej rzeczy, która twoja jest, jeśli nie wstaniesz!

Ku – zynie, bracie, ojczy, wiem, że muszę dziś złożyć siebie w ofierze, ale zanim w rosół i pieczyste się przemienię, proszę cię, aby moim następcą został karmazyn, ulubieniec mój i kokoszego stada.

Przeklęty kapucyn, łeb mu dzisiaj utnę! Oto mniej więcej Teofil Bobrowski. Głowa mi pęka od tego węgryzna. Czego ten Żyd dolewa? Niemożliwe, żeby po madziarskim winie polski mózg tak bolał. Na swojej ziemi tak cierpieć. Czy ziemia cierpi? Ta, którą przegrałem – na pewno. Karta nie szła. Ot, co! Na dziady schodzę. Która to godzina? W kościele Mariackim chyba już *Gloria in exelsis Deo* i *Boże, coś Polskę*, a ja jeszcze w bambetlu gniję. Zabiję: koguta i Żyda! Za budzenie i paskudzenie wina. Późno już, czas wstawać i obudzić Ksenię. Niech koguta zarżnie.

I może coś da na klina. Moja biedna Ksenia, tyle w niej miłości... ta moja biedna głowa... i miłosierdzia... zawsze mnie tak bolała... nie ustępuje św. Kindze... może to nie jest nawet ból... i innym świętym niewiastom... taki zwyczajny... dajmy na to Marii z Magdalii... coś w rodzaju dzięcioła... ale kim była Maria?... który w środku mózgu... tego się nie da ukryć... a może jeszcze głębiej... umiała grzeszyć... i kuje dziuplę... i miłować... aby wydostać się na świat... gdyby nie było pierwszego... nie jest to dzięcioł... nie byłoby drugiego... więc kto tam siedzi... chyba, że urodziła się z tym bezdennym oddaniem... i pragnie się wydostać... które na pierwszy rzut oka... zewnątrz... zauważył nasz Pan... może to ja... Jezus Chrystus... prawdziwy Theophilos... i pozwolił jej... siedzę w tej klatce... usługiwać sobie... mózgu... darząc ją taką samą miłością... i chcę się urodzić... i sprawił, że towarzyszyła mu... co za okropny ból... aż do śmierci... więc tam siedzę ja... a potem zmartwychwstał... a głowa to brzemiennie łono... czy nie jest to dziwne... a więc oprócz matki... właśnie jej... musisz jeszcze... ukazał się pierwszy... sam się jeszcze urodzić... wywyższył ją tym... więc to jest przedporodowy ból... i zapewne był stęskniony... ale czy tamten jest lepszy... trudno się dziwić... ode mnie... po trzech dniach... zrodzonego z matki... leżenia w grobie... może taki sam ślepak... i wizycie w piekle... jak ja... sam bym chciał zobaczyć... chociaż biorąc pod uwagę... coś miłego... ciało i duszę... i usłyszeć... można się spodziewać... to ciepłutkie słowo... że jest... Rabbuni... że

przewyższa mnie... Ksenia... nie posiada... rozumem... daru magnetycznego... i chce powiedzieć... który budzi krew... coś istotnego... i cielesnego szeptu... jaki na ten przykład ma być... kobiecego szeptu... jaki powinien być... który się słyszy... prawdziwy... na milę... Theophilos... choćbyś był głuchy jak pień...

Przez drzwi: słucham, tatuńciu! Daj mi pić, może kwaśnego mleka albo czegoś mocniejszego, bądź chociaż raz dobra i podaj kieliszek dereniowej nalewki, bo jak by to wyglądało, żeby szlachcic na śniadanie raczył się serwatką. I to w dodatku szlachcic internowany przez dwugłowego orła Franciszka Józefa. On, Wiluś i Mikołajek myślą, że Polska jest już nieożywioną materią, na zawsze pozbawioną pierwotnej treści. Kuglarze w monarszych szatach. Owszem, trwa ona w narzuconej formie, łyka zniewagę, cierpi, ale biada, podkreślam: biada każdemu, kto się jej naraził, kiedy ból porazi świadomość, a ta uwolni siły swojej natury i demiurgiczną moc. Widzę energię gromadzącą kształty wprost kosmicznej harmonii. Gdybyś wiedziała, jakich dożyjesz czasów, nie pożałowałabyś kieliszeczka nalewki. Sfałszowali testament niebieski. Czyż nie tak? Nie dać sobie nic odebrać. Odebrać należy. A może sami zwrócą? Złodziej odda? Po trupie. Germanie! Dnia jutrzejszego nie widzą. Nie widzą? Smutne. Owieczki. Stadem jak wilki. Wziąć mitologię. Thor. Odyn. Wagner. A Faust? to z ludu? Jakiś Celt został między nimi. Tam mieszkali. Onegdaj. Biedna Irlandia. Siostra moja. Uśpione królowny. Modro i zielonooka. Budzą się rycerze. Już nie śpią. Bem dajmy na to? Czy Byron? Germańska myśl w słowiańskim życiu. Nie do przyjęcia. Bóg i Rzym. Ewangelię czytam. Jan jest wyjątkowy. I pomyśleć, że byłem oficerem. Kapitanem w 5 pułku dragonów. W Grazu. Zdymisjonowany. Za niesubordynację. Młodość! Mont Blanc głupoty! Pater von Strasburger nauczył mnie pić. Pić, pić, rodzić i pić. Ojej, moja głowa. Kseniu! Już idę. Proszę, tatuńciu. Nie otwierając oczu runo tacy pogłaskał i znalazłszy upragniony kształt, mlasnął rozkosznie, ostrożnie do ust doniósł i połknął z westchnieniem. Psu mucha! Daj jeszcze na drugie oko. I następna ofiara spłynęła ogniem w człowieczą dolę. Dzięki złożony Bogu, otworzył oczy i popatrzył na córkę. A jednak to prawda, wyrzekły zmarszczone brwi. Zarznij tego cholernego koguta, krzyknął do wychodzącej Kseni. A więc, to nie był sen śniony minionej nocy: prawie z nawyku usiadł pod dziką gruszą dzielącą jego codzienną drogę na dwa równe odcinki, pomiędzy karczmą i domem. Lubił to stare, bezpłodne już drzewo o zadziwiająco powykręcanych konarach i labiryntowatych gałązkach, które latem, okryte

drobnymi i rzadkimi listkami, przypominało barbarzyńską dłonią zmięty papirus zapisany tajemnym pismem, a zimą upodabniało się do ludzkiego mózgu wbitego na pal. Nietuzinkowe skojarzenia i obraz. A może rzeczywistość: przeszła lub przyszła? Opity węgrzynem przytulił głowę do jej chropowatego pnia i czuł jak konający strumień żłobi w nim swoje koryto, nowe lub zapomniane życie. Ubiegłej nocy uczynił to samo, lecz zanim przytulił głowę do pnia – spojrzął na konary i, choć noc była bez księżycy, dostrzegł zawijas przekreślonej litery. Początek źle sformułowanej myśli czy czyjaś śmierć? Czy świat przez to stał się uboższy? I w tej samej chwili postać w turbanie zeskoczyła z gałęzi. Obudziłeś mnie, usłyszała, przerwałeś pierwszy sen. Idziemy do mojej nocnej czajchany. Jestem Beduinem Imru al-Kajs z plemienia Kinda. To ja pierwszy wypowiedziałem *la sahwa al-jauma, la sukra ghadan; al-jauma chomrun wa-ghadan amrun*, co w twoim języku może brzmieć mniej więcej tak: dzisiaj będę pił, jutro będę pijany; dzisiaj wino jutro czyn. Mało kto o tym pamięta. Byłem salukiem, kiedy dowiedziałem się, że mój ojciec zginął z ręki Asadów. Pomściłem go okrutnie. A o następstwach zbrodni dużo może ci powiedzieć Szekspir. Zresztą, to krąg waszej kultury, na którą światło pada pod innym kątem, moje słońce utwierdza mnie innym zdaniem. Na ziemi wszystko może być święte i jest święte. Asadzi szykowali się do zemsty. Powiedziałem swoim współplemieńcom, że ruszam do Bizancjum prosić o pomoc. To był tylko pretekst, aby odejść z honorem. A odejść musiałem, ponieważ jakaś nieznana choroba pokryła moje ciało wrzodami. Moja etyka nie pozwalała mi poślubić swojej wybranki Unajz. To kłamstwo, że kochałem się w córce cesarza. Po pierwsze, nie była w moim guście, po drugie, co napełniało mnie odrazą, tkwiło w niej piętno zwierzęcego okrucieństwa. Wrzody zaczęły pokrywać moje ręce i twarz, zbliżała się śmierć, musiałem więc opuścić Konstantynopol. Justynian I, który mnie lubił, podarował mi na pożegnanie suknię przetykaną złotogłowie. W niej ruszyłem na wschód. I ta suknia mnie uzdrowiła; po wrzodach nie zostały nawet blizny, sny stały się bliznami, ja jestem blizną. W Sucharze założyłem herbaciarnię. Legenda głosi, że byłem rozpustnikiem. Owszem widziałem nagie kobiety, ale nie znam ich obrazu, jeśli się czegoś nie posiadzie zupełnie, nie jest to obraz lecz cień. Nie lubię cieni, oddałem się więc tobie, temu drugiemu Imru al-Kajsowi, słowu, z którego wywiodłem swój rodowód. A słowo jest pustynią, jest w nim wszystko i nic jak w Allachu. Jesteśmy na miejscu. Teofil posłusznie wszedł we wskazany otwór i usiadł na dywaniku. Saki natychmiast podał im wino.

Zauważyłeś mnie, bo ja chciałem, abys mnie zobaczył. Wypij. Ty jesteś guł-muła. Wypij za tego, który każdego ranka objawia ci się potwornym bólem głowy. Śmiało! Teofil wypił i przymknął oczy: ustępowała wiosna, kiedy zgrzytnął klucz, wszedłeś i zapaliłeś lampę, ktoś z okolicy serca przemówił. Po ścianach zakołował czysty kształt. Poza tą nocą dostrzegłem wołające cienie. Twoje światło stało się słowem tamtego brzegu. Brawo! Widzisz, ile straciłeś, ale nie martw się, ktoś cię w przyszłości wypowie, a może ty sam? Tych dwóch tam, to na razie przodkowie, synowie tego, co nad nami. Teraz idę załatwić interesy handlowe, ciesz się na razie beze mnie sobą. Nie smucił się, pił różane wino i nucił: *to wino kryje moje rysy. Kto więc rzeźbi noc na moje powitanie, kiedy świętujesz ze mną dzień? I jak zaświeci ciemność, którą zapalisz, aby objawić moja twarz?*

Wino! Wino, które rozkwitło różą w guł-mulle, opowiedziało mu wszystko, czego tej nocy dokonali Harut i Marut. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej, więc pił na umór. Wychodząc rzucili mu złotą monetę, schował ją do kieszeni. No, powiedz mi więcej, szepnął do napełnionej czarki glinianej, wypił i po chwili usnął. I we śnie wrócił pod swoją ukochaną dziką gruszę.

Co za bzdury, szepnął, przywrócony jawie. Obok niego, w takiej samej pozycji i tego samego wzrostu, siedział znużony prorok pogody: najpiękniejszy kogut Teofila. Jego oczy były pełne smutku, wyrażały to, co obraży Boscha. Chwila, która nastąpi, musi się wypełnić, nie ukrywa, że wypełni ją sobą, że chce ją wypełnić, bo dane mu było jej dożyć. Po to się przecież wyklął z jaja. No, nareszcie, ocknąłeś się, rzekł kogut, czy jesteś w stanie mnie wysłuchać? A co ty, u diabła, tu robisz? bez strachu i zdziwienia zapytał Teofil. Zamiast siedzieć w kurniku i pilnować kur włączysz się po świecie. A może z wiedźmami pakt zawarłeś, co? Obrażasz mnie! Nie mierz mnie swoją miarą, obca jest mi ludzka przewrotność. Każdy z nas, kogutów, oprócz swoich przyrodzonych czynności, spełnia jeszcze czyn nadrzędny i zbawia swego gospodarza. Biorę na siebie wszystkie twoje nie odpuszczone grzechy, które zostaną złagodzone, jeśli ja dobrowolnie oddam za ciebie życie. Ty jesteś zbawicielem? Rany boskie, kogut chce zbawić człowieka, do czego to doszło, czysta kpina i dlatego utnę ci głowę. O to właśnie chodzi, jutro masz mnie skazać na śmierć, wydać i skazać. Mam być Judaszem i Piłatem? Po co zaraz przywoływać analogie, to wykrzywia obraz tamtego dalekiego wydarzenia, którego zupełnie nie pojmujecie, a tych co pojęli, tak jak

zostało to objawione, wytępiłście żelazem. Kogut ma mnie zbawiać, zrozum, jako człowiek nie mogę się na to zgodzić. A czy nie napisano: zanim kur zapieje, po trzykroć zaprzecz się mnie. Czy nie powiedziano: kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, nie wejdzie do niego. A czy to, co między nami się dzieje, nie przypomina baśni, baśni którą ci opowiadam jak dziecku, bo jesteś jednym z nich, nie wyklutym poetą. Wiem, że uwierzysz i nie zapomnisz polecić, aby mi ucięto głowę.

Słuchając dalszych wyjaśnień, Teofil dał się zaprowadzić do domu i ułożyć do snu. A jednak to prawda, powtórzył po raz enty tego ranka Teofil, kiedy już ubrany wyciągnął z kieszeni monetę, którą mu rzucono w czajchanie. Nie zapomnij uciąć kogutowi głowę, przypomniał Kseni i wyszedł z domu. Czy był świadom tego, co się wydarzyło? Jak każdy cud przeraził go i wstrząsnął nim. Ruszył więc do karczmy, aby dojść do siebie, po drodze usiadł pod dziką gruszą i natłok myśli zatrzymał mu serce. Czując jego śmierć grusza zrzuciła liście i natychmiast uschła. Zapewne kochała go i spłonęła z tęsknoty. Nareszcie byli razem. Nic nie dzieli ich teraz ani miecz, ani słowo.

II

Ani Tekla, ani wskrzeszona księżniczka Sulima nie grzeszyły urodą. Pierwsza miała azjatyckie rysy, druga była czystej krwi Tatarką, więc sąsiedzi, którzy tak rzadko widywali córkę nieboszczyka Bobrowskiego, zauważyli tylko, że Turczynka, bo takie przezwisko przylgnęło do Tekli, wcale się nie starzeje: mając trzydzieści lat wygląda tak, jakby rozmieniła osiemnastą wiosnę. Nie licząc trzystuletniego snu – tyle rzeczywiście lat liczyła ta moja nieszczęsna babka Turczynka. Jej młodość zaczęła się domagać swoich praw, ale nikt babki nie odwiedzał i nie zapraszał do siebie, być może któryś tam z okolicznych łapserdaków umizgał się do niej, ale to nie było to, czego pragnęła. Babka chciała mieć męża oficera. Wypatrując oczy za epoletami gorzkniała, a swoje napady wściekłości wyładowywała w dość osobliwy sposób. Do tego celu służyła jej koza, którą tłukła po mordzie przytrzymując za brodę. Koza przybiegała na każde jej skinienie, dobrowolnie podnosiła łeb i ze stoickim spokojem znosiła ciosy, jakby wierzyła, że tylko do tego celu została stworzona i przez to obrywała podwójnie. Po każdym takim praniu jej wielkie zwierzęce oczy wyrażały ludzkie cierpienie. Wiara absurdalna jest zawsze symptomem zwiastującym śmierć. I tym razem

reguła się spełniła, ponieważ Turczynka poczuła, że jest kochana. Ktoś nagle zjawił się w pokoju i zaczął jednać z jej duszą. Zapadał właśnie zmierzch, na cienie kładły się cienie i tyle smutku rozkwitało wokół, że nocne ptaki nie miały ochoty opuścić swoich legowisk. A szept się rozwijał. Ktoś tam wiódł spór z Sokratesem, Marek Aureliusz szukał Abelarda.

O, Heloizo, czy bez twojej pomocy powstałaby fizyka kwantowa. Och, jak mało mostów łączy brzegi ludzkości! Szanowni mecenas, nie żałujcie gotowanej fasoli zasuszonym mistykom. Należy być czujnym, a w zamkniętym pomieszczeniu siadać zawsze blisko okna. Czy pamiętała o tym Turczynka? Możliwe, siedziała przecież przy oknie, blisko lichtarza, więc nie można wykluczyć tej ewentualności. Nie lubiła zmierzchu, ponieważ od dnia nie otrzymywała nigdy nawet skrawka nadziei. A co ma ze sobą począć samotna kobieta, kiedy za lasem znika słońce? Modlić się, płakać, prasować, czyścić paznokcie! Te rytualne obrzędy zdają się psu na budę. Każda kobieta, powiedziała Safona, chce być uśmiertelniona lub unieśmiertelniona pocałunkiem. Kant do końca życia nie mógł zrozumieć tego fenomenu, a św. Franciszek z Asyżu dopatrywał się w tym świętości. I kto tu komu przesłaniał oczy. Wiadomo, że człowiek nie narodzony ma inne potrzeby niż żyjący, pogrzebany zaś pragnie być znowu poczęty, ponieważ wreszcie zrozumiał, że życie jest duchowym elementarzem i przedsiönkiem transcendentalnej miłości. Otóż to! Życie to konar duszy, a nie samoistne bycie. Pamiętasz: czyżby to grał Paganini? Nie, to wdowie łzy spadają na nagrobny kamień. Tak, to miłosc-*eunoja* duszy. Ale ciszej, nie budźmy Ojców Kościoła. A niby to dlaczego, oburzył się Walentyn, czyż nie składam się z hylikonu, psychikonu i pneumatykonu? A przez zaślubiny tych dwóch ostatnich jestem również solą ziemi i światłością świata. Jam potomek Logosu i Zoe i bratem Kościoła. Czyż to nie ja przekazałem, że Nus zrodził Chrystusa i Duch Świętego, aby objawił, że wieczność jest niezgłębioną tajemnicą Ojca, uchwytną dla umysłu jest tylko przyczyna naszych narodzin. To herezja! krzyknął Tertulian, mieszanie wody z winem. Cały ten galimatias jest dziełem miłości. To ona sprawiła, że Jezus do głoszenia nauki wysłał nie sofistów lecz rybaków! Poświadcz, Szymonie, byłeś przecież świadkiem tych wydarzeń. Słowo nie jest w stanie wyrazić wiary i miłości, odrzekł, słowo nie jest pasterzem lecz jego laską. A filozofia nie jest słońcem lecz mgłą Po tych słowach przepędził intruzów z izby. Czyżby uważał ten dom za świątynię? W pewnym sensie. Bo nie ci, którzy ufają i wierzą, lecz ci, którzy kochają zaliczani są w poczet świętych. Wiara to symbioza, miłość – to

cud, rzekł Szymon Cyrenejczyk, który nad wyraz umiłował Turczynkę już w pierwszym dniu jej wskrzeszenia. I oto jesteście świadkami cudu, który mieści w sobie uniesienie duchowe i przeżycie fizyczne. Dusza w swoim ewolucyjnym łuku wykształciła w sobie trzy cechy: miłość, nadzieję i lęk. Z tej trójcy tylko miłość zabezpiecza zbawienie, pozostałe dwie czuwają, aby powłoka cielesna nie uległa instynktom natury, co jest równoznaczne z przekreśleniem człowieczeństwa, oraz zapobiegają namiętnościom samounicestwienia. Pomimo to względna równowaga trwa tylko do trzydziestego roku życia, potem zaczyna się dramat. I dlatego wybrańcy bogów umierają tak młodo. A kobiety, które, jak wiemy, przychodzą na świat jako boginie, przekroczywszy ten wiek, przemieniają się w wiedźmy. Oczywiście nie wszystkie, te które wypełnią swoje żeńskie posłannictwo i wydadzą na świat potomstwo, zachowują swoje przyrodzone właściwości i omija je sabat. I tu należy szukać genezy babskiej hysterii. Małżeństwo jest terapią, mówią, a potomstwo łaską uświęcającą. Akuszerki są zgodne co do tego, że nieziemska jasność wpływa w ciało rodzącej i dlatego twierdzą, że ten co zabija płód, czyni zamach na Ducha Świętego. A to jest najcięższy i najpotworniejszy grzech, jaki człowiek może uczynić na tej ziemi. I powiedzcie sami, czy akuszerki nie przerastają o głowę wszystkich filozofów, czy nie tkwi w nich pierwiastek świętości. Położne i grabarze są współuczestnikami największej tajemnicy życia: narodzin i śmierci, a tylko pierwsze są poważane i obdarzane kwiatami, grabarzowi najwyżej wciska się w rękę butelkę wódki. O czym to świadczy? O tym, że natura jest jeszcze bliższa człowiekowi niż Bóg. I o tym, że człowiek jest jeszcze nie najlepszą glebą do kultywacji odwiecznych prawd. Przecież narodziny są początkiem śmierci, a śmierć początkiem narodzin. I nie jest to wcale pojęcie abstrakcyjne, jak mniemają niektórzy. Powiedz, kim jesteś? zapytała Turczynka, bez zażenowania i lęku, zoczywszy wreszcie siedzącego obok siebie mężczyznę. W teorii romansu najwięcej miejsca zajmuje głód seksualny i uczuciowy, a więc czysto ziemskie potrzeby służące do niwelowania absurdalnych cech życia, występuje tu związek ciała i ducha, nic więcej. I nie może tu być mowy o transcendencji. Pierwiastek miłości wyłania się dopiero wtedy, gdy następuje proces łączenia się dusz. Z pytania Turczynki nie emanowała ciekawość, był to radosny odruch serca wyrażony nieodpowiednim zdaniem. Czuliła ona swoją wielkość i wyjątkowość. Być kochaną jest pierwszym, najbardziej istotnym pragnieniem i marzeniem kobiety, lecz przez kogo – to już należy do sfery kulturowej. Turczynka

zapomniała o epoletach lecz nie o mitologii i demonologii. Istniała przecież Leda, Kallisto, Alkmena, istnieją *succubi* i *incubi*. Zapalona gromnica nie wykazała obecności złych mocy, więc babka nakreśliwszy znak krzyża poddała się woli nieba mówiąc: *Suscipe Flos florem quia flos designat amorem*. Mój Boże, jak to pięknie zabrzmiało! Piękno jest boskie. Z poczucia piękna swój początek wywodzi duch i materia, religia i sztuka. Wszystko co nieśmiertelne jest etyczne i estetyczne. A demony? Wszystko co traci kontakt z siedliskiem Boga, skazuje się na zniszczenia. Są więc tylko długowieczne, ale jedynie dla nas, stosujących ziemski miernik czasu. Szatan jest obecnie najniższą i najsłabszą istotą dysponującą świadomością istnienia i każdy człowiek z powodzeniem może mu zagrać na nosie. W pytaniach dziecka wschodzące słońca kołysze się w kropelkach rosy, choć głucha ciemność dokoła. To wyraził uśmiech Szymona z Cyreny. Czy w tych słowach nie kryje się idea chrystianizmu? Kogo mają wielbić żdźbła ścierniska: zniwiarza czy siewcę? Człowiek oczekujący posiada zawsze więcej nadziei od błądzącego, lecz jeśli błądzący trafi na ścieżkę, jego żarliwość przyćmi najjaśniejszą cnotę. W imieniu Boga czynimy wiele zła, pod płaszczykiem idei popełniamy zbrodnie, lecz nie złożylibyśmy podpisów pod tymi czynami. W swoim imieniu tylko kochamy. I to jak miłujemy! Obserwując zakochanych Heraklit doszedł do wniosku, że elementem wszechrzeczywistości jest właśnie ogień. Czy potrzeba nam czegoś wznioślejszego? W tej chwili? W tym życiu? Pojęcia abstrakcyjne sprawiają nam zawsze więcej radości niż prawdy absolutne. W każdym naszym pragnieniu, dążeniu, czynie znaleźć możemy element czarnej i białej magii. Świadomość istnienia, bycia tu i teraz, zaciera naszą rzeczywistą przynależność. I tu rozległ się śmiech Ksantypy, ironiczny, władczy rechot, który przemienia życie w piekło. Przestań, poprosiła Turczynka, dam ci srebrną kolię, jeśli stąd sobie pójdiesz. Nie usłyszała nawet tego, zawiść, którą wywołała nowo narodzona miłość, doprowadziła ją do furii. Będziecie się tu kurwić udając Romea i Julię, a ja ciągle będę obwieszona psami. Zdejmijcie ze mnie miano sekutnicy i popatrzcie na moje serce, ja też jestem człowiekiem i potrzebuję pieszczoty. Nikt nigdy nie zaspokoił moich cielesnych potrzeb, dość już tego, teraz, psia krew, nie dam się już wywieść w pole. I ten nędzny dramat trwałby nie wiadomo jak długo, gdyby zawstydzony Sokrates nie przysłał Parysa. Heleno, na scenę, szepnął jej do ucha syn Priama, porywam cię do Troi. I Ksantypa gubiąc pantofle pobiegła za nim. Historii znane są następstwa tego czynu, ale ten plagiat nie wywoła wojny,

ponieważ Sokrates po raz drugi zażył cykuteę, a prawdziwa Helena dwa razy dziennie naciera sobie nogi mazidłem *ilimenti capsci* i trzyma się Menelaosa jak rzep psiego ogona. Wśród harmideru nagle zapiał kogut, tylko raz, ale i tak zapanowała cisza. I w tej nagłej ciszy ręce Szymona z Cyreny objęły dłonie Turczynki. Och, co za urok! Nawet noc, świadek wszystkich prawie zbliżeń z uznania mocniej pociemniała. Bo czyż nie z mroków wyjawilo się wszystko! A co było na początku? Czyż nie z tła ciemnego nieba wyłaniają się gwiazdy. Dzieci również płodzi się nocą, splodzone przy słonecznym świetle zapadają na lunatyzm. Stwórca też tchnął dech w Adama po zachodzie słońca i ustalił, że dzień należy do materii, noc natomiast jest światem ducha. Pomimo uduchowienia i wprost weselnego nastroju Turczynka dostrzegła blizny na rękach Szymona. Łzy stanęły w pogotowiu, ale tylko lament się rozległ: nie ma kary na tych faryzeuszy, dlaczego Bóg ich nie wytepi, tyle lat już żyją żywiąc się ludzką krzywdą i krwią sprawiedliwych. Lament nastrojony na jeden ton mieści więc w sobie więcej okrucieństwa i obrazoburstwa niż szlachetności. Gra wyobraźni towarzyszy wybuchom namiętności i dlatego nad duchem czasu czuwa duch wieczności. On jest tylko w stanie rozwikłać wszystkie sprzeczności, które nami targają i przekazać prawdę w heurystycznych snach. Prawdę jako nadzieję? Więc żywimy nadzieję. I oni też żywili, że ich syn jako obywatel rzymski zostanie urzędnikiem państwowym, ale sprzeciwił się i uciekł z Cyreny do Jerozolimy. Żył jak nędzarz w lepiance, uprawiał kawałek pola i studiował swojego ukochanego Platona, pisząc jakieś dzieło. Żył w szczerym polu swojego życia, jak powiedział, i tym swoim prawie szczęściem zatruwał nasz podeszły wiek. Nie wierzyliśmy wyroczeni delfickiej, która orzekła, że nasz syn przebywa w kręgu emanacji boskiej i bierze udział w spełnianiu prorocत्व. Przecież Grecja i Rzym nie wydawały na świat proroków. To z mroków ościennych wyłaniały się łachmany nawiedzonych i nawoływały do opamiętania. Nas, cywilizowanych ludzi, wolnych obywateli, jakiś tam pustynny pastuch, napisaliśmy mu, ma uczyć filozofii życia i bogobojności? Czy bóg barbarzyńców może oświecić twój los? A on co na to? Milczał, nie dawał znaków życia. Ponieważ ich szukałem, powiedział. Kiedy oczyściłem wszystkie pióra duszy i byłem pewien, że przyjmę śmierć jako wyzwolenie, usłyszałem, jak pewien Żyd, imieniem Jezua, głosząc publicznie swoje nauki, powiedział, że jego śmierć uwolni świat od grzechu, a kiedy wypełni się czas, nastąpi ciał zmartwychwstanie. Zafascynował mnie i skazał na rozmyślanie. Stałem się jego niedzielnym słuchaczem. Platon,

dla mnie dotychczas tak wielki, okazał się archaicznym starcem. Oto źródło mojego milczenia i mojej pociechy! Nie mogłem go pojąć umysłem, lecz ogarnąłem sercem. O zmierzchu dnia onego do mojej pustki wleciały dwa łabędzie. Urodziłem się! krzyknąłem i krzyżąc wybiegłem na ulicę. Szaleniec, usłyszałem, przecież ludzie gwiazd zrywać nie mogą. Oprzytomniałem i spostrzegłem, że w dłoni rzeczywiście trzymam dorodną gwiazdę z konstelacji Oriona. Oto jakie moce drzemią w człowieku. Ale kiedy się moc wyzwala i dlaczego? Kiedy ciało podda się duchowi, a duch z nieczystych przymiotów oczyszczony zjedna się z duszą, następuje akt personalizacji transcendentnej cechy, która stając się członkiem kompletnej całości zaczyna dysponować kosmiczną mocą. Jest się wówczas człowiekiem przyszłego świata, świata, który nastanie po zmartwychwstaniu. Po pozbyciu się sprzeczności i wątpliwości intelekt staje się światłem czystym, energią praprzyczyny. Eliminacja zła sprawia, że pojmowanie przemienia się w poznanie, znika więc granica dzieląca świat materialny od duchowego. Wszystko, co nie jest złem, nie ulega zniszczeniu, podlega tylko procesowi udoskonalania i oczyszczania, nieodzownym zabiegom przed wejściem w sferę właściwego istnienia. Nie jest to proces ewolucyjny, lecz powrót do opuszczonego domu ojca. Oczywiście dotyczy to tylko ducha, który raz zniszczony znika z pamięci, przestrzeni i czasu. Tylko ciało można na powrót powołać do życia aktem wskrzeszenia. Ciało jest tylko nosicielem ducha, którego sumieniem jest dusza – esencja boskości. A więc nasze istnienie doczesne jest nie tyle wynikiem grzechu Adama, co buntu Lucyfera – on skazał na śmierć i siebie, i nas, z tą różnicą, że jego śmierć jest zupełna, a nasza przejściowa, pod warunkiem, że duch żyje w zgodzie z własnym sumieniem. No, a co stało się z gwiazdą? Z jaką znowu gwiazdą? Tą, którą trzymałeś w dłoni. To nie ja, to Szymon z Cyreny zdjął ją i na powrót umieścił na firmamencie. Tak, ja tego dokonałem i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie o tym chcę mówić lecz o źródle, z którego bez przerwy tryska nektar, o miłości, która jest lekarstwem na wszystkie dolegliwości psychiczne i fizyczne. Uśmierca ona złe duchy, a dobrym służy jako tarcza herbowa. Weźcie kobiety, czy bez miłości nie marnieją w oczach. Geniusz, to nie pogranicze szaleństwa lecz właściwie, uzależnione od nas działanie miłości na intelekt. W naszych warunkach należy nią obdarzać bez przesadnej szczodrości, ponieważ w większych dawkach staje się toksyczna. Klasycznym przykładem jest śmierć Julii, a najbliższym samobójstwo arcyksięcia Rudolfa. Dzisiaj

namiętność z trucizną zmieszana w otchłań piekła moje serce rzuci, jutro krwi zapach na strzępy potarga sumienie. Jakże ciężko i strasznie przedzierać się samemu przez ciemne bory szumiące w człowieku.

Ale ktoś ty taki, że się przed tobą spowiadam? Ja w tej chwili jestem karlejący karzeł, dość dziwną cechą obdarzony homo sapiens; nigdy nie umieram, lecz co pewien czas rodzę się ze śmiertelnej kobiety. Nie pamiętam, jak przedtem brzmiało moje imię, ale niedawno się chrzcilem, teraz nazywam się Lancelotem. Jestem rycerzem, który powrócił, skądś tam w sobie do siebie powrócił i opowiada przygody. Mój czas się zbliża, więc brzmienie głosu jest jedynym dowodem, że jestem jeszcze łonem słowa, a nie brzemiennością kobiety. W tej opowieści nie zamierzałem wspominać o tobie, ale ty wszędzie swoje trzy grosze chcesz wcisnąć. Ktoś imię Julii wymówił, więc się pojawiłem. Odpowiadam za nią. Ten, co mnie stworzył, też nie chce mnie utracić, więc i ja się muszę troszczyć o to, co stworzyłem. Ot, co! I to, ot co! trzasnęło drzwiami. I zaraz zostało powiedziane, że Szymon z Cyreny na drugi dzień od samego rana zaczął gorączkowo poszukiwać Rabbiego. Ale niecierpliwość wzbudza nieufność z jednej strony, a wściekłość z drugiej. Kefas płakał i coś bełkotał o pianiu kura. Jakub łątał sandały, a nagabywany cisnął kopytem o ścianę i poszedł. Każdy cierpi z powodu pustki, ale nie można przez to tracić godności. Odwracając oczy od śmierci nie ominie się przeznaczenia. Ale to natura w ten sposób chroni swoje owoce. Jej celem jest zachowanie życia, o treść zabiega świadomość, którą atawizm skłania do szukania księgi swojego wyjścia. Gdzie jestem?! Na podwórku, rzuciła z pogardą wychodząca z domu staruszka. Słowo Boże się wypełnia, a oni tu wszyscy Greków udają, jakby ich jeszcze za mało było na świecie. I poszła sobie. Kwiczały nie nakarmione świnię, kury też się rozeszły szukać robaków. Taka skrzętna i zapobiegliwa, a tu nagle zostawiła wszystko. Kobieta nie posiada, usłyszano, wrodzonej cechy dociekliwości metafizycznej, lecz zdolna jest poznać istotę rzeczy przez abstrahowanie treści ogólnych. Uwolniona, chociaż częściowo, ze zmysłowych deklinacji uzyskuje możliwość uchwycenia aktu mistycznego w bycie doczesnym już w zarodku, o wiele wcześniej niż mężczyzna. Zgromiwszy niewybrednymi słowami powołanych i wypełniona feministycznymi myślami, szła staruszka towarzyszyć synowi Maryji, Synowi Człowieczemu i Synowi Bożemu w Jego odejściu do Wyższej Triady. Świeć teraz, babo, mamlą, za nich oczami. Ale chwała Bogu, że dusze nie mają płci i już niedługo skończy się hegemonia

rzezańców. Przed nią ciągnął tłum kobiet różnych nacji, odzianych w śnieżne szaty. Przy boku skupionej Brygit, córki Dagny z Kildare, drobila sumeryjskimi nóżkami Inana. Ciemne oczy Kleopatry dostrzegły przygarbioną postać Safony, wiotką Nisabe i łabędzią szyję Nefretete. Maria z Magdalii słyszała, jak ktoś mówi, że to Rabbi nakłonił Prometeusza, aby dał ludziom ogień nie licząc się ze skutkami tego czynu. Odebrał On również wzrok Homerowi, aby nie latał za spódniczkami i więcej czasu poświęcił Iliadzie. Natchnął również Budę, szepnęła Jao-ki, córka Purpurowego Cesarza. A gdzie Nemezis? Jest w zaawansowanej ciąży. Nogi jej tak spuchły, że bez przerwy trzyma je w roztworze soli Glauberskiej, odrzekł komuś idący w przeciwną stronę smagły Egipcjanin, trzymający przed sobą rozwinięty zwój papiirusu. Szymon z Cyreny zatrzymał przybysza z IV Dynastii i zaczął wyciągać z hieroglifów treść. Miód! cmoknął. Ktoś pisał, że rebelia wywołana przez Lucyfera została zgnieciona w zarodku, a wszyscy buntownicy wycięci w pień. Ocalał tylko przywódca i jego adiutant, który, aby uchronić wodza, przemienił się w ziemię, kryjąc go w swoich pieczarach. Lucyfer z wdzięczności, wyciągnął z magmy żywotną odrośl wiernego sługi, nadał jej żeńskie cechy i pojął za żonę. Aby piętno klęski nie ciążyło nad nowym rodem, przybrał imię Uranosa. Stworzywszy potomstwo, zaczął planować nową inwazję na Majestat, stając się przez to jeszcze bardziej despotycznym i podejrzliwym. Jego syn Kronos, nie widząc szans zwycięstwa, pozbawił go władzy, odwołał agresję i niczego więcej nie zmienił. Dopiero Zeus, który odziedziczył po matce rozagę, zaprowadził na ziemi jako taki ład i porządek, a następnie poprosił Najwyższego o akt łaski dla bogów ziemskich i rodzaju ludzkiego, który, chociaż ulepiony z gliny, dziedziczy cechy boskie swego twórcy Prometeusza. Oko Opatrzności spojrzało na ziemię: Bramy Niebieskie otworzą się dopiero wtedy, kiedy duch i ciało zostanie zupełnie oczyszczone z Lucyferskich genów. Doskonalcie się i czekajcie na znak. Od tej chwili czas zaczął płynąć do początku. Oznajmiono również, że jeśli ktoś ze śmiertelników przeczyta to pismo, zostanie naznaczony krzyżem. Wszystkie dynastie farańskie spojrzały na Szymona z Cyreny mądrymi oczami swoich kapłanów, skłoniły głowy i zniknęły na powrót w piramidach. I w tej zmiennej filozoficznej scenerii znowu drgnął czas i zaczął odmierzać już nową erę. Ajajaj! to już druga godzina dnia i Szymon z Cyreny ruszył biegiem, aby dogonić kobiety. Powietrze stawało się coraz duszniejsze. Znad Morza Śródziemnego nadciągała burza. Czuło się ją, chociaż była jeszcze bardzo daleko. Myśl

poganiała swojego woła roboczego, lecz ciało oblewało się potem, omdlewało. Usiadł więc Szymon z Cyreny przy drodze wiodącej do bramy Efraima, oparł głowę o mur i zamknął oczy. I zaraz krew zaszeptała w uszach: kochany mój, gdybym to ja miała oczy. I po co ty przesłaniasz źrenice: czy aby nic nie widzieć, czy aby zobaczyć coś nowego? A gdy ta gorąca i dzika pustynna krew przemknęła, Szymon z Cyreny dostrzegł Jezusę dźwigającego krzyż pod eskortą legionistów ze Szczurzej Kohorty. *Eureka!* oto odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Śmierć nie wyklucza człowieka ze społeczeństwa, jest, to tylko przyczyna nowej rzeczywistości, która poprzez eliminację materii uwypukla i rozjaśnia esencję istnienia. Nowa myśl zanurzona w terażniejszości traci na doniosłości tyle, ile panujące prawo przyznaje jej dogmatom. Oto właśnie mi chodziło, szepnął gdzieś tam czy owam podekscytowany Archimedes, nie chodziło mi przecież o hydrostatykę, woda tylko natchnęła mnie. W dniu, kiedy po raz drugi miałem krzyknąć: *Eureka*, moją myśl przeciął miecz rzymskiego żołdaka. Żołdactwo, ciemne żołdactwo, rak ludzkości. On też ginie niewinnie, idź, pomóż mu dźwigać to drzewo, które przekreśli wszystkie kosmogonie i mitologie. Ja ci to mówię, Archimedes ze Smyrny, który wynalazł wzór na rozwiązanie Hadesu. Szymon kiwnął głową i podbiegł do Jezui. *Rabbuni*, powiedział po żydowsku, pomogę Ci. Zatrzymał się i rzekł, napisano: sam będzie dźwigał krzyż, lecz jeśli chcesz, nieś, niech nie drzewo lecz człowiek stanie się krzyżem. I Szymon po paru krokach przestał czuć ciężar drzewa, przygniotło go brzemię istnienia: ból każdego mięśnia i paląca ogniem tęsknota za czymś nieokreślonym i niewyraźnym. Oblewając się krwawym potem, uświadomił sobie nagle, że jest teraz tym wielkim grzechem ludzkości, który dzisiejszego dnia zostanie zmasany ze świata. Zostanie zgładzony! Zostanę zgładzony! Jezua zgładzi! I nie mogąc pojąć dlaczego ten największy dar musi być przypieczętowany tym ohydny, barbarzyńskim czynem, zapadł w ciemność. Kiedy odzyskał świadomość, był już drzewem krzyża, żywym drzewem, do którego przybito Jezusę. Tłumy zniknęły. Kilku żołnierzy ze Szczurzej Kohorty, którzy pełnili straż, grało z zapamiętaniem w kości, nie zwracali uwagi ani na ukrzyżowanych, ani na grupkę szlochających kobiet. Nikt też nie widział chłopczyka ukrytego w krzaku tamaryszku, który bez przerwy patrzył na Jezusę. Zauważył go Szymon i zapłakał w sobie. *Rabbuni*, szepnął, nie zostawiłem, potomstwa, a tak lubię dzieci. Kiedy wypełniła się godzina szósta, rzekł mu: zaprawdę powiadam ci, przyjdzie czas, kiedy wrócisz na ziemię, aby spełnić swoje pragnienie.

I oto jest wśród nas! Zszedł na ziemię i nad wyraz umiłował Turczynkę! Ciszej, szepnął Szekspir, przeszkadzanie zakochanym traktowane jest jako ciężki grzech. Jesteś Lancelotem i też masz damę serca swojego. Wyjdźmy na palcach. Masz szczęście, że uderzyłeś w moją czułą strunę, tym razem posłucham, ty detektywie sumienia, lecz dzisiaj ty pójdiesz w lewo, a ja w prawo. Zgoda? Zgoda! Nowe spotkanie na antypodach.

III

Ich grolle nicht, pomyślano śpiewnie, a rzewnogniewnie winną wina toń pogłaskano światłością oczu: *ave maris stella, cervus ad fontem* kryształowego Kriszny, którego kielichem nazwano. Umocz usta w musujących runach, klinach, hieroglifach, oto ona, *mneme*, podaje usługne ramię monotonnym refrenom Jordanu, Renu, Dunaju, płynących w dół ku niebiosom jej altu. Ofiaruj smakowi bukiet win słodkich, kuszących i wytrawnych i odpuść winę za porwanie Sabineek. Amor. *Wiener, seid froh!* mrugnięto opusem 314 i zaintonowano: *pardon!* bezpieczna dziewico, skrytopłciowy wąż z rzęs twych spływa w runa takt, w męskości glif, w monarchii herb. Gestem powiedziano: czerp z tego źródła. Bóg jest łaskawy, błogosławiony, kto szaleństwem dna dnia sięga. Sztuka to drzenie, troska o ciebie, abyś mógł zobaczyć złote epolety cienia. O! firanka drży, czuję wiatr, nie jestem kamieniem, muszę urodzaj dać, na jaki mnie stać.

Zmrok już zapadł, ten sam co ogacił dworek Turczynki, i czas ten sam, owa chwila kiedy poczuła, że jest kochana. Noc już rozpuściła włosy i położywszy się na wznak przyglądała się gwiazdom, wśród nich jest łabędź, który zapłodnił Ledę – pożądam go. Egipska ciemność, *rorate caeli desuper*. Czas na światłość, starotestamentowe wino omamiło mnie. Tak, to ja, porucznik Józef Konarski, z sycylijskiego pułku ułanów zrodzony a nie stworzony, z genów matki i ojca w miły dla oczu warkoczyk spleciony. Warkocz z sarmackim wąsem, powołany i wezwany. Ostroga dzień, szabelka doń. Homerycki heksametr cwałujący na rubinowym koniu do złacinizowanej wieczności. Tak jak Pan miłuje człowieka, tak człowiek powinien kochać konia, który ochrania od ognia piekielnego i udziela wiatyku, gdy dusza opuszcza ciało na polu bitwy. Cwałuję, bym nie rozróżniał czy wśród żywych, czy wśród umarłych już jestem. Wyznanie w cwale. Rubinowy koń chrupie owies, obdarz go spokojem, chłopcze malowany, raczyłeś się winem, teraz koniak pij, mimo ran od włóczni, run i zarannych śnień. Popatrzył:

magów krew zobaczył, do ust niósł *continuum fluens*, język poczuł smak: arcynawiedzenie: ożył, kto umarł? On ożył zobaczywszy ordynasa z listem w ręku.

Chyba apostoł przyniósł, ze strachem rzekł, w białej długiej koszuli przyszedł, stary, włos mięciutki i siwy, kostur w ręce zgrabny jak dzida ułańska. A najgorsza twarz, raz babska, rusańczana, zielonooka, a za chwilę zbójecka i brodata.

Wziął w ręce list i odprawivszy sługę, zajął się *oratio super oblata*. Skończywszy, czytać zaczął, z namaszczeniem przyjmując treść, która mu objawiała, że jest kochany i oczekiwany i koniecznie musi dzisiaj przyjść do hotelu „Kaiser”, drzwi pokoju numer 12 będą otwarte. Z twojego zebra mój początek, więc tylko do ciebie należę, ja i tylko ja, a nie jakaś tam Lilith, skażone nasienie Satanaela. Ty jesteś świętym owocem, a ja twój chleb pokładny, i chcę nim być, bo żywot nie może być pusty, musimy go napęlnić, a gdy staniemy się jednym ciałem, odzyskasz przykróconą ci twórczą myśl, udoskonalisz majestat swój i tchniesz w ducha moc równą pierwszej, a ja ubiorę go w ciało herosa, byś dumny był ze swego czynu. Materia jest rodzaju żeńskiego, jak ja, bezbronna i oczekująca, duch narzuca jej formę i zaszczenia nieśmiertelność. Pamiętaj, pokój numer 12, drzwi otwarte. Czy iść? Iść, skinał głową lawobrody, życzenie jest przeznaczeniem. Pójdę, postanowił i wypił resztę koniaku. A jeśli to żart? Na ojca klnę się: strzelać będę. Pojedynek o świecie! Od Jozuego poczynając nikt Józefa bezkarnie nie spotwarzał. I czciiciel życia nie wstał, jeszcze jeden koniak zamówił, co ma wisieć, właśnie, co wisiało (o winnym gronie), w gardle utonie. Co się odwlecze, jest bardziej człowiecze. Uniósł nieco głowę, aby ujrzeć swoje odbicie w lustrze na przeciwległej ścianie. Z zółwia, krokodyla czy goryla? Dwuoki cyklop! Ujmujący uśmiezek poruszył kąciki ust. Co najmniej Atryda, podkreślił wąsa, w trzecim stopniu abstrakcji. Jedność i wielość w kwiecie smutku. Mrugnął: *salve! summus*, i pomyślał o otrzymanym liście. Romantyka. Ktoś, prócz Boga, tak gorąco mnie kocha. Nie odliczając sypał halerze na porcelanowy talerzyk. Starczy! Nagrobek zrujnowanego bankiera. Wytarł dłonie chińskim jedwabiem i wyszedł. Szabla przy boku, złoto w kieszeni, monarchiczne austrowęgierskie runo pod stopami, a wokół: *Anno Domini* 1905, wrzesień 12, na szwajcarskiej cimie, spojrział: 21.30. W pięć minut później siedział już w dorożce. Do zamku „Kaiser”, chromy rycerzu, oświadczył. Wio, harmonijny hippotygydo, klusem na wezwanie, wiatykiem jestem, czujesz, jak pachnie list? Co za zapach, ach! Przymknął oczy, potem zmarszczył brwi: perfumy paryskie! Czyżby? Czyżby

zapach jej dłoni. Niezapomniany! Niejeden pocałunek składałem w tym miejscu, na jej ręce, gdzie krzyżowanym wbijają gwoździe. Motylem były moje usta, balsamem. W moje oczożebranie drachmy nie wrzuciła. Skąpiła. Czy sknerą jest? Winny winowajców szuka. A czy wodziłeś ją na pokuszenie? Żona dowódcy pułku, tabu, rycerska dama serca, dworskie duperele.

Poczytaj siebie, przeczytaj siebie od A do Z i gwizdź na interpunkcję etykiety kropki przecinki myślniki pytajniki *imperativus pluralis* stopy mory jamby spondeje *simane saltare docebantur* komediantem nie jesteś nie będąc i nie będąc jesteś panie w lewo panowie w prawo oto prawo i szyk powszedni i odświętny arakochlejco koniakopijco winożłopco bo co zrobić z dniem z dniem jak z dniem ale z bezksiężycową nocą kiedy prawie ślepy i nagi jak noworodek zaczynasz szukać w sobie człowieka ale człowieka nie ma wrzuciłeś go do studni lub sprzedałeś do egiptu i rozpacz cię taka ogarnia że słonych łez nie możesz wytoczyć więc płaczesz łzami onana i te brudy dajesz do prania müllerowej która trzy razy dziennie chodzi do kościoła i ciągle powtarza że modli się za ciebie i twoją duszę i przyszlą żonę a jak masz tego dość wciskasz jej w rękę wdowi grosz bo żenić się boisz myśląc że gdybyś usłyszał że twoja żona pierdnęła to byś się powiesił i czy to nie głupota czy ja wiem nie wiadomo co platon o tym myślał albo dajmy na to swedenborg czy inny krewniak z takim mistycznym wędchem jak ja bo czy to moja wina że brzydzę się siebie kiedy muszę iść do we to okropne nienawidzić siebie tylko za to że muszę wydalac ekskrementy a latryny polowe to już moja gehenna na dodatek każdy jeszcze się poci i śmierdzi capem boże uchron mnie od smrodu ludzkiego i odpadów jego i daj mi kobietę miodem i mlekiem pachnącą jakąś sulamitkę węgierską izoldę polską heloizę austriacką a najlepiej bernadettę niebieską a jeśli nie możesz spełnić tego niech to ciało obiecane persefona się stanie o cyklu dobowym które o zmierzchu przyjdzie o świcie zniknie jak ty zniknąłeś z moich oczu przez to głupie *malum* czy *malus* nieważne czy jedno czy drugie uświęciło twój cel postawiłeś na swoim i pozbyłeś się mnie przepędziłeś z rajy a cherubini zagnali mnie aż do monarchii habsburskiej tłukli po drodze ognistymi mieczami ci twoi skrzydlaci siepacze nie dając odetchnąć po głowie tylko po głowie po szarej i białej substancji po szyszynce przysadce płacie ciemieniowym skroniowym i tworze siatkowym czy nie z twego polecenia tak mnie okaleczyli ojczy daczegoś mnie takim ułomnym uczynił i nie wstyd ci że taki półgłówek nosi podobieństwo i obrazu miano nie

mogę uwierzyć że jestem czymkolwiek synem a te moje epoety pozał się boże gwiazdy na
 patkach konstelacje na ramionach skleroza marskość wątroby i inne choroby które przykują
 do trudołoża nie myśl o tym bo jadę do cudzołoża szukać gwiazdy w majtkach znajdę ją i
 ofiaruję swoją śliczną rozporkową kometę halleya *pas de deux* i żadnej fugi od razu uwerturka
 z rejestru *vox humana* bo trzeba wreszcie narysować siebie nie ma dwóch zdań że nad moją
 żądzą góruje pragnienie miłości więc to jest wena i jeśli takie dwa natchnienia złączą się w
 uścisku i spłyną w dół ku śmierci zjednoczeni w akcie nieistnienia uwolnienia od południków
 i równoleżników i innych znaków topograficznych wrócą wtajemniczeni w przekraczanie
hybris ale cóż może przekazać język prócz tego grochu z kapustą wio chabeto dorożkarska
 wleczesz się jak głodny dzień wykreśloną ci drogą by dać za chwilę parę drobników temu
 śmierdzącemu charonowi siedzącemu na koźle z dumą cara wszechrosji i myślącego diabeł
 wie o czym bo minę ma maluczkiego dzieciątka któremu przyobiecano królestwo za konia
 biedne konie śliczne jak kobiety eliasz czy jerzy do nieba nimi dojechał i nasypał do żłobu
 jęczmienia z drzewa żywota więc dzwoni głośniejszymi podkóweczkami wotywo dzień dzień z
 każdym dniem coraz jaśniej dniem się stawaj dzień rzeknij do rzeki pluskającej nietoperzami
 ćmami lewiatanami mówię *apokatastasis* słyszycie sokoły molekuly świerszcze monady
 poprzez ten chichot i skrzek co rzeczce czując zapach jej listu kot przebiega drogę więdźmy
 rechoczą piorąc bieliznę na brzegu rzeki hej hej nawołują znowu ktoś szuka tej szczodrej i
 modrej a gdzie ona cha cha hi hi nie mara nie sen nie mgła oto ona jak ja zmordowana
 miotłociemnomocą spływa brudem w zimne wody rzeki płyn z nurtem wody hej hej głodniej
 czary wij czarty war krwi chłepczą powoje podpełzają szuwary owijają bagienne opary na
 powrót nocą się stają jedlinową skrzypeczką śmiech umarłej przypomnę ten list ten list ten
 zapach ach ach wypowiadaj się spowiadam się wypowiadajmy się ułani na wodzie pisani
 niedługo jest życie malowanych dzieci wio chabeto wio a ty śmierdzący charonie wysłuchaj
 grzechów moich bo powiedzieć chcę że wieszczęłem siebie myślą mową i uczynkiem i za
 niebywanie w domu pewnej damy awansu nie dostałem bo swoje trynitarne obcowanie w
 kwateryczne przemienić chciała a więc *diabolusem* jej stać się miałem ja grzeszny śmiertelny
 ale naczelny wśród człekokształtnych *ka-mutef* smak soli znający między dolną i górną
 granicą wód grzejący się przy ogniu przez siebie skrzesanym kajam się że rzadko spożywam
 rybę nie znającą skóry i ości a przepadam za wieprzowiną i nawet w dniu postne ją spożywam

nie chcąc się zadowolić *aqua permanens* reszta grzechów tak pomięta że trudno odczytać ale spróbuję wygładzić papirusy i odczytam znaki jakie popełniłem w zaszłości trudno przebrnąć przez te obrazki kliniki kulfony majuskuły skróty ale żuję z cierpliwością benedyktyńską te wykwinne ciężkostrawne dania i dochodzę do wniosku że nie zasłużyłem na potop morowe powietrze wojny głód posuchy to przez twoje dziecinne odruchy histeryczne nastroje i nieobliczalne wybuchy gniewu spadają na mnie klęski bo chcesz chwały bałwochwalczego poddaństwa jaśniepaństwa dając i łamiąc przymierze ciągle strasząc zagładą a ja na klęczkach wołam *libera nos* modłę się bez przerwy proszę w tej chwili mówię jeszcze raz te *rogamus audi nos* posypuję głowę popiołem chylę czoło choć mam prawo żądać sprawiedliwości nazywając ciebie sprawiedliwym żądam jej aby zbudzić twoją refleksję tu i teraz bo biografia twoja jest niewiele dłuższa pocieszny zagubiony robinson cruzoe powiadam że jeżeli zatopisz wyspę moją zostaniesz sam sam siebie będziesz zżerał własny ogon gryzł a kiedy minie złe zapamiętanie zatęsknisz jak ongiś i zapytasz gdzie jest adam mój on mnie może uleczyć a adama już nie będzie więc zapłaczesz jak bóg płacze niebieskimi mocami zaszlochasz i znowu sklecisz mnie w tym swoim żalonym transie takiego jaki jestem więc jeśli już jestem niech zostanę bo wierzę a jeśli wierzę ty również uwierzysz że razem stanowimy zdanie grzeszny podmiot z boskim orzeczeniem moja wina z twoją gliną *meatua maxima culpa* rozgrzesz mnie Charonie święty przewoźniku błogosławiony dorożkarzu cystersie dominikanie redemptorysto bazylianie bernardynie pustelniku janie sarkanderze andrzeju bobolo gnieźnieński bogumile józefacie witebski rzeknij *in nomine patris* abym pokutę godnie wypełnił przez ten list gorliwie spełnił posłanie ten styl zapach ach nie wspominając już o innych subtelnościach wcięciach wgięciach falbankach koronkach tiulach mitenkach woalkach całej litanii *eleisonglorii* padaniu na kolana wstawaniu całowaniu przysięganiu że z nią w niej i przez nią alfa i omega serca rozumu nikt przed nią nikt po niej nic nic nicponie ej ej dłonie już w skłonie nad cielesnym nieboskłonem jak szczury instynktownie za węchem cichuteńko naskórkiem pazurkiem wzrokiem a potem to już kłami siekaczami won won zarazo nie czas jeszcze na dłonie *ruki po szwam* chamie czy nie wspominałem o dzieworodnej duszy Józefie ułanie jesteś wołaniem nareszcie jestem nareszcie biała na najbielszej bieli czerniejąca na czerni bezcenna w swoim przyrodzonym miejscu dążąca donikąd czekająca półżywa czuwająca może wreszcie może się uda może doczekam chwili kiedy wreszcie przez

tę szarość przebiję się promień błękitu mój kolor ja skończona i rozliczona ja żywa nie wierzę a oczekuję przez całe swoje długie nie wiem jak długie dostatecznie rozwlekłe jałowe bycie w półletargu pod kościanym kloszem w szarym czyścicu skulona pod tą szarością z której bez przerwy patrzy na mnie mądra ale zimna straszna i niepojęta źrenica a może to ja tam i tu tu i tam patrzę na siebie krzątająca się wśród tych szarych nagrobków i prochów i rozrzuconych kości olbrzymów nie do wskrzeszenia żebym wiedziała że patrzę na siebie że widzę siebie że jestem w źrenicy obudzona i lazuruowa wyobrażam sobie wyobrażam siebie nie nie mogę wyobrazić siebie gdzie indziej w innej scenerii w kim innym nie ma innego dla mnie prócz tego co mam czym jestem na wieki wieków jestem pod tym nieboskłonem samiuteńka lecz niezrezygnowana na pół żywa czuwająca czekająca na błysk tego lazuru i ta źrenica wpatrzona we mnie nie to nie ja na pewno to ktoś znikający jak wszystko dokoła stracony nie tylko dla siebie nie do wydobywania z tych konających głębin dziejów nie ma niczego prócz takiej samej agonalnej źrenicy patrzącej w dół tak jak ona patrzy na mnie szukając oparcia czy zrozumienia na mnie na najbielszą w bieli czerniejącą w czerni łatwą do zauważenia patrząca w górę i wokół siebie i na grunt po którym stąпам poszukująca siebie w tym w czym zawsze byłam by się jeszcze mocniej upewnić że nie ma końca i nigdy nie nastąpi jakikolwiek kres tego czym jestem i w czym mieszkam tej czaszki z szarym niebem gdzie bez przerwy krzątam się w popiołach ogniska domowego na wpół żywa czuwająca choć wiem że żaden raj nie istnieje i nie czeka na nikogo jest tylko ziemia nieba i niebo ziemi na przemian w każdej nocy i w każdym dniu pod tym szarym niebem którego kiedyś być może przebiję włócznia lazuru czekam na to wydarzenie na tę chwilę która przeminie w błysku a potem pozostanie już tylko szare niebo ziemi i szara ziemia nieba i ta źrenica do odczytania odczytam ją rozszyfruję i ogłoszę tę bez wątpienia błahą treść bym wreszcie mogła uśmiechnąć się bezkresem tego szarego nieba które mnie po macierzyńsku tuli do swojej szarej piersi mnie i te złote i srebrne łańcuszki i agentatora tej czaszki który na co dzień pobrzękuje szabelką brzdęk brzdęk po hotelowych schodach na piętro wszedł skręcił w lewo drzwi z numerem 12 otworzył cichuteńko tak cichuteńko wejść jak duch uszanujcie to w takiej chwili cesarz nie może być widzialny jak słowo strzepnięte z języka zaczyna się dynastia konarski w 5 księżycu i 12 słońcu uszanujcie to etykieta wymaga abym powiedział że żony i nałożnice I i II rangi traktowane będą z należnym im poetyckim talentem jak perły będą długo umierać wśród

migotliwych lśniń a mądrości ich serca nie przysypie piasek klepsydry mędrzec wie że śledząc oddechy wypływające z ust można zadać pełne uszanowania pytanie ośmielające się wypełnić ciszę wydam edykt aby na spragnionych opadła świetlista poranna rosa a na ziemi jałowe spłynęły rzeki uszanujcie to i oddajcie należną cześć pieczęci którą przyłożę rozglądam się cisza żywej duszy gdzie jest tak która przysłała list na stoliku karteluszek który mówi abym zgasił światło i zapalił świecę zapaliłem przy blasku świec intymniejszy nastrój przejrzywszy księżyc toczy w blasku swój lśniący nefryt a wraz z tym zobaczył trzy niewiasty w śnieżną biel odziane wychodzące z łazienki biel prześwitująca kapłanki dionizosa ziemia obiecana trzykrotnie okrążająca stół przy którym siedzę z włócznią jak centurion longinus taniec ku mojej czci orientalne rytmy zapierające dech chciałbym być taką kapłanką nie taką świątynną przyjemniej dawać niż brać szczęśliwcem był tylko tebańczyk tejrejasz dziesięć lat kobietą był dziesięciokrotnie większą rozkosz przeżywał oszaleć można od tego a jeszcze narzekają szczególnie mężatki że w tej sferze są zaniedbywane w ciągłej rozkoszy chcą żyć i dlatego tak lubią tę pszczołę żądłącą one też te trzy kapłanki stojące przede mną trzykrotnie wdziękami dźwięczące wszystkie trzy moje nie tylko jedna z nich ma być ulubienicą tak powiedziały wybrać wybierając ostrożnie co nagle to na szablę może tę megalityczną dziewicę coś mi mówi nie nie podpowiadać posłuchać serca wybrałem środkowa gazelonoga uklęknąć oczywiście jestem oficerem monarchii ck Sarmata i łacinnik bez średniowiecza ciebie umiłowao moje serce serce i miłość bzdura elementarna serce i krew ta co je zalewa z tego powodu miłość złość kość ość pasuje jak ulał ululaj ulana osiodłaj farysa swego ucałowaniem *kobylice mojej w kolesnice faraonowej ja upodobil tiebja* czem-em zasłużył na twoje oddanie gazelonoga powiedz mnie pobrzękującemu szabelką i zapatrzonemu w ten zafajdany zadek odsłoniła oczy posadzić w nich róże a potem ściąć i ofiarować jej zanim zwiędną wszyscy byliśmy kiedyś tak piękni hojnie obdarowani blaskiem listopadowego maja niewielka pociecha w oczach tych oczodoły zobaczyć można czarny marmur rodzinnego grobowca gdzie spoczywają w pokoju wiecznym dwadzieścia cztery cudzołóstwa mojego dziadka i wierna ślubom cnota małżonki jego chryste ja jeszcze na kolanach błagalnik gdybym był młodzieńcem dzisiejszej nocy chciałbym zobaczyć stado białych łabędzi poprzez cielesne obcowanie z tobą o rany jak zakochany kocham cię bo budzisz się we mnie ujmuję cię w dłonie aby uderzyć o krzemień a ja jeszcze w pozycji klęczącej zobacz coraz dłuższe golenie

rosną jak nieboszczykowi włosy i paznokcie dość gdybym był jeszcze dzieckiem w kołysce płodowej pełen dechu zielonego ziela które wiecznością mroczy dałbym ci łubiankę poziomek i pachnidło utarte w mózdzierzu rosy ale ułanem jestem kość z kości i krwi gorącej która bardzo często w war się przemienia i jeślibym w tym czasie nie posiadał kobiety którą w ramionach trzymam dostałbym obłędu już trzymam i szatę zrywam wybacz mi co widzę oczy jeszcze widzą turczynka tekla *theós* mój *kleós* najświętsza ugaś mnie nasyć do snu ukołysz góry przestawię morza wpiję brzask świtu poranek bim bam bim bam na mszę poranną dzwonią sięgnął ręką gdzie tekla podniósł powieki przetaił oczy zwariuję w swoim pokoju ale się zalałem i unosząc się nieco na łokciu dojrzał kobiece majtki o rany sięgnął oglądnał uniósł brwi zatrzymał wzrok na misternie wyhaftowanych literkach TB i pocałował jedwab tekla bobrowska turczynka TEKLUNIU.

IV

Kiedy zbliżał się dzień rozwiązania, ów dzień, w którym Turczynka miała wydać na świat mojego ojca, podolska lady Makbet, moja prababka, która tak serdecznie nienawidziła Turczynki, że nawet pod groźbą ekskomuniki nie udzieliłaby błogosławieństwa temu związkowi, a chcąc jak najszybciej zrealizować wcześniej zaplanowany mariaż, przywołała do siebie akuszerkę Horpynę i obdarzywszy ją grosiwem i złotym pierścionkiem z czternastokaratowym rubinem, zażądała, aby odbierając poród obie dusze wyprawiła na tamten świat. Ale tylko Turczynka opuściła ten padół, aby ze swoim Szymonem z Cyreny słuchać błękitnych wiatrów, zabrała też ze sobą Horpynę jako służkę. A nowo narodzony bękart, mój ojciec, czuł się zdrów jak ryba i darł się z głodu na cały świat. I w tym miejscu na arenę wkroczyła Helioza, przyjaciółka Turczynki, która w tajemnicy zabrała dziecko do swojego domu, a następnie udała się na plebanię. Za zgodą kapłańską mój ojciec został wpisany do ksiąg metrykalnych nie jako syn Turczynki lecz Heliozy Baworowskiej i Józefa Konarskiego, ponieważ taka była ostatnia wola zmarłej, przekazana tym dwom osobom. A ostatnie życzenie, jeśli wypływa z najczystszych głębin miłości, nie jest przypadkowym zlepkiem psychicznych elementów lecz światłem porządkującym naturę. Jest to włócznia karząca, która tym razem ciśnięta została w stronę podolskiej lady Makbet. Ród Piotrowskich, z którego wywodziła się moja prababka, i ród Szablowskich lgnęły do siebie z dziada

pradziada, lecz nigdy nie były ze sobą spokrewnione. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu nie mogli dopasować potomstwa. W tym pokoleniu opatrność odstąpiła od reguły, więc lady Makbet trzymała rękę na pulsie. Za jej życia miał się spełnić akt, o którym marzyło tyle pokoleń. Agnieszka Szablowska przyszła na świat po to, aby zostać jej synową, przyszłą żoną jej siedmioletniego już syna.

Dziękuję ci, świątobliwa Turczynko, że nie dopuściłaś do tego, bo posłuchaj, co napisał o twojej konkurentce w swoim prywatnym notesie dworski rządcą: Sylwetka Agnieszki Sz. zawiera w sobie proporcje godne mistrza Leonarda, można byłoby ją postawić za wzór, gdyby nie szpeciły jej cielęce, prawie bezmyślne oczy. Ale oddając co cesarskie cesarzowi, trzeba nadmienić, że nie zawsze były one takie. Pamiętam czasy, kiedy błyszczały jak klejnoty, przyciągały i hipnotyzowały. Piękność i blask zaczęły tracić, gdy Agnieszka skończyła czternaście lat, a więc zapewne od pierwszej menstruacji. Z roku na rok stają się coraz bardziej krowie. Jest dumna, gardzi ludźmi, uczuciem darzy tylko konie. Jeśli już wspomnieliśmy o koniach, dodam jeszcze, że lubi podpatrywać akty zapładniania klaczy i być może dlatego zamieszkała w narożnym pokoju, naprzeciwko miejsca do tego przysposobionego. Nie ogląda aktów bezpośrednio, lecz odbite w lustrze wiszącym w jej pokoju, leżąc na otomanie i zachowując się jakby miała na sobie mężczyźną. Sądząc po ruchach można się domyślać, że jest obdarzona talentem rodem z Koryntu, więc Józef Konarski, jej przyszły mąż, chociaż ułan, będzie miał z nią ciężki żywot.

Ciągnąc tę swoją sarmacką ojcowiznę, spostrzegam, że mój dziadek, już kapitan, został powiadomiony o śmierci Turczynki i przybył na pogrzeb. Pobrząkując szabelką idzie obok unickiego popa Semena, przyjaciela ojca zmarłej.

Cześć dziadoku w ułańskim otoku, snuj się dalej, snuj. Snuję się w kurzu snuję Świętopylisty obłok nade mną i dębowa trumienka. Ktoś kiedyś do kogoś przemówił z obłoku. Ale się musiał przestraszyć ten biedak. Całe szczęście że nie dostał udaru serca Ten lawobrody Napoleon narobiłby w portki gdyby ktoś nagle wrzasnął na niego z jakiegoś tam *cirrostratusa*. I nie ująłby nic z chwały swojej. A ty co. Posadzkę kalinę na grobie *Kalyna na mohyli rsoplete svoji kosy*. Pop powtórzył uśmieszek czarnobrewej żony Dobrani Jak AdEwa. Dynastyczni kapłani z potomstwem nie to co nasi. W każdą noc śpiewa ciałem *Semeny do meny kuczariawa u meny kuczariawa kożuszyna na podwiru u meny*. I tarzają się w tej gęstej

murawie Teklu Teklu czytam ten twój list czuję zapach ach ach hotel Kaiser i ta noc noc noc
 znowu ciemno w oczach czy mdleję mdleję noczapadaciem-
 nabłogabłogosławionajawoskiemspływamwciemnośćzasypiamśpięjużnarodzonyjasnościąoży-
 wionynasyconywreszcienareszciewdniupierwszymosłupienie.

Lancelocie, karle okrągłego stołu! Słucham cię, najukochańsza Safono. Twój dziadek padł
 bez zmysłów, zemdłał, podaj mu puchar wina, smutek odbarwił jego czerstwe oblicze.
 Dobrze, tylko wpierw obliczę, ile prawdziwego smutku jest w tym liczku. A więc 27 razy
 czekaj, ile jest gwiazd w jego zodiaku, aha, dwa w pamięci, a więc niewiele, niewiele. Policzę
 jeszcze czerwone ciałka krwi w policzkach, gwoli sprawiedliwości. Mieści się w średniej
 artystycznej, więc nie dostanie winogronowej zaliczki. Nie dam mu tej purpury, która krew
 przemienia w zielone konary, mózg w dziuplę, a duszę w praptaka siedzącego na jajach, z
 których wylęgają się biblijne koszmary, że można z nich zjechać tylko w kędzierzawych
 saniach. Teraz patrzę i ty patrz, kochanko Faona, moja, dziadka do letnich sani wkładają.
 Waleriana go raczy głągolicy cyrulik. Oj, siekneły resory, jakieś kości w nasz nurt zostały
 wrzucone. I już iskry końskie kopyta grzebią, karakero-creokarak turkoczą po błoni
 rozwiane grzywy, bay, bay wiatraczny cesarze, wiatr rzeźwe tchnienie z ust niebiesko
 zerkającego i już cię kładzie w biel jedwabnej pościeli złotowłosa mamuna.

Otworzył oczy: ciepła lazurobiel zaświaty przedsiemek gdzie czytają księgę żywota
Orbilius plagosus czy gromowładny retor nie stanie przed moim łóżem Życie ciemność i
 wreszcie światłość wiekuista Wypełniło się słowo słowem. Na pewno już mnie pochowano
 Co najgorsze już za mną Nie lubię tej ceremonialnej obłudy Najukochańszy najdroższy
 inaczej nie powiedzą choćby to był superłożnik czy porubca Boją się żeby nie pociągnął tego
 czy owego za sobą A najgorsze to homopienia Jak owieczki ciągną I ten bezlik starych bab
 Skąd ich tyle na tym świecie jakby się już takie rodziły Takiego liku starców nie widziałem
 Ale już po wszystkim Kwieciste węże z ogonami w zębnych już opłotły kurhanik *Benedictus*
benoni I zaraz uczta O Jezu ale tam w dole to już chyba harmider robaczki mlaskają jak satyry
 dla mnie jąderka w sosie węgierskim dla mnie gulaszyk z serc wątróbka z pieczarkami stek
 sznycel schab taki owaki to i owo karma galicyjska A w domu stypa też co się zowie
 aromatyczny czwartorzęd kenozoiku w kryształach plejstocenu mszalne pod *quo vadis* rybeńko
dominus sit in corde tuo za jego *ba* kieliszeczek za *ach* i za *ka* za triadę i diadem i

odpuszczenie grzechów Była noc jest dzień Nareszcie ciepło jak w owych błogosławionych dniach W głowie przestronniej i jaśniej Teraz też słyhać śpiew Niebieski Rajskie słowiki i drozdy Rozróżniam choć trele nakładają się na siebie Słyszę też dźwięki fortepianu Czekaj co to jest Wyteż słuch Tak to ten przybłąda opus 15 d-mol IX Symfonii Oda do radości Ma się wszystko czego się chce Bóg mu głuchotę a on w podziękowaniu mszę solenną Kto w ciebie kamieniem ty w niego chlebem Fortunę się zbija na takich przykazaniach Och jaka mądrość tkwi w tych kamiennych tablicach Nie dla siebie pracuj twórz dla wieczności Duchem. Jeśli z ciebie jeszcze za życia nic nie skapnie do rajskiego skarbcza nie będziesz oglądał nawet bram jego Ciało to wół który idzie tam gdzie mu każą Nareszcie tu Jak za owych błogosławionych dni Kroki słyszę Za zasłoną jestem Serafin przyszedł po mnie Złoty lok modre oczy Co za lok i oczy i suknie z odcieniem perłowej macicy Nie to nie z pierwszego porządku To najwyżej anioł lub archanioł trzeciej hierarchii Dobre i to Urok i uśmiech Odwzajemniłem Naprzód ulanie Lśnić czy rybą być Wiedzieć Powiem oto język słowa mojego i w pierś się uderzę W lewą stronę klatki Nie dodaj czasem cyrkowej Może mi się wymknąć Lubię cyrk Uwielbiam Za kratami papugi tygrysy małpy wszelakie Każdy znajdzie coś z siebie Uśmiechnie się do ego a nie do jakiegoś tam portretu przodka To pokrzepia Pełnia siły i ducha Kryształ człowieczej soli Sól i tabaka nie zna robaka A kłowni to już sublimacja antropoidalna Od pierwszego dechu do zdechu trzęsiesz się ze śmiechu ojczy oddechu Oto syn mój umiłowany rzeki błazen wtedy dwa lata temu w wiedniu do mumii która nagle jęknęła drgnęła i skrzypiąc otworzyła podwoje A w środku o rany stał cap na tylnych nogach i żuł z dostojnością papirus zapisany kabalistycznymi znakami Od ucha do ucha i wzwyż potoczyły się usta A on nie śmieje się ze mnie ale z córek swoich hahazasmiejalsala-chenrjrechcharailleriscoffofoj + Uśmiechnęłaś się,

– Niechący. Przepraszam. Czekam i czekam.

+ Na kogo?

– Nie wiem.

+ A wiesz gdzie jesteś?

– Wiem. (Pauza) To znaczy niezupełnie.

+ Powiedz, powiedz!

– W raj. (Pauza) W jego przedsioku.

+ Och, dziękuję.

-Drobnostka. A tyś kto taki?

+ Ja? (Pauza) Heloiza.

– Abelarda? + Nie, twoja.

– Wola boża. (Pauza) Też czekasz?

+ Nie domyślasz się?

– Mogę przypuszczać.

+ No, powiedz do końca.

– Dobrze. Będziemy czekać razem.

+ A więc zgadzasz się. Dziękuję kochany.

– Ja też.

ARTAUD: Według mnie nie powinien jej dziękować. I chyba mam rację.

HELOIZA: (zastanawiając się; Bo ja wiem, kobiecie może podziękować. Nawet tak sobie.

Nawet za to, że ją widzi.

REŻYSER: Baba zawsze ciągnie za babą. (ze złością) Ja sędzę, ja błędę, szyję, ceruję, pruję, *et cetera*, jedno zero, dwa zera. A co pan powie, panie woźny? WOŹNY: Przepraszam bardzo, ale ja jestem magistrem.

REŻYSER: Wiem! Panie magistrze, niech pan powie, czy nie mam racji.

WOŹNY: Chodzi o plus czy o minus?

REŻYSER: O minus.

WOŹNY: To zależy. Należy rozważyć kwestię, czy w sztuce kładzie się nacisk na filozofię idealistyczną, czy też materialistyczną, według koncepcji Feuerbacha kobieta...

REŻYSER: A daj pan spokój z filozofią, tu chodzi o dramaturgię, tu jest teatr, a nie dom Platona. Rozumie pan?

WOŹNY: Niezupełnie.

REŻYSER: No i dobrze. I idź pan do diabła! (zobaczył dyrektora teatru) Panie dyrektorze, niech pan, jako osoba kompetentna, przetnie ten gordyjski węzeł: powinien minus podziękować czy też nie powinien?

DYREKTOR: Jesień, dach przecieka, majster z brygadą już trzeci dzień chleją, a ten wpycha mi pod nos jakieś tam plusy i minusy. Idź pan do Pitagorasa.

REŻYSER: (urazony) A pewnie, że pójde i uchleję się jak ten majster. Mam prawo, jestem reżyserem, wypruwam żyły dla publiki, a wy co?

+ Czuję się szczęśliwa. (Pauza) Na całe życie.

– Minęło. Teraz Wieczność przed nami.

+ Najdroższy.

– A czyj to płacz słycać?

+ Jak to czyj? Twój. (Pauza) Twojego syna.

– I on też tu z nami, biedaczek.

+ Zdrowy jak nosorożec. (Pauza) Prawdziwy nosorożec.

– A gdzie Turczynka.

+ Umarła (Pauza; Jest w wyższym kręgu. Ponad skowronkami.

– A ja? (z ciekawością)

+ Ciebie wskrzeszę.

ARTAUD: Co pani, do diabła, wyprawia? Czy pani w ogóle wie, kto to był Abelard?

HELOIZA: A czy muszę?

REŻYSER: Musi pani, do jasnej cholery, bo jak się pani wczuje w epokę?

HELOIZA: Mogę przypuszczać, że to dewizowiec.

WOŹNY: Ja wiem, ja powiem, znam dokładnie jego życiorys.

REŻYSER: Panie woźny, czy ja pana o coś pytałem?

WOŹNY: Nie, ale jestem magistrem i znam się na sztuce, piszę wiersze, posłuchaj pan:

Od dawna jesień w naszych wnętrzach

Warstwami liści wciąż się spiętrza.

REŻYSER: O Jezu, co za rymy, kryształowa Częstochowa. Można kolki dostać od takiej Jasnej Góry.

HELOIZA: Wypraszam sobie, pan obraża moje uczucie religijne, pan mnie nie zauważa, pan w ogóle przestał na mnie patrzeć. Jestem głęboko wierząca, a pan: Heloiza, Jasna Góra, Częstochowa.

REŻYSER: Pani Heloizo, niech pani nie płacze, ja panią bardzo lubię, szanuję, doceniam.

HELOIZA: Naprawdę!

REŻYSER: O Boże, jak tu można pracować. Idę wypić kielicha, idę się uspokoić, a ty weź się w garść.

– Czy to konieczne? Nie chcę. To sadyzm!

+ Ktoś inny tego pragnie.

– Naprawdę. El azar?

+ No, niezupełnie on.

– Pragnie, abym ja...

+ Zostałeś wybrany.

– Czy nie zaszła jakaś pomyłka?

+ Najświętsze słowo.

– Rezygnuję.

+ Pomogę ci.

– Nie chcę.

+ Staniemy się jednym ciałem.

– Nie wierzę.

+ A Nosorożec? Ty i ja równa się on.

– Faktycznie, i Pauza A czy nie możemy tu zostać?

+ Wykluczone. Nosorożec nie ochrzczony.

– Nie pomyślałem o tym. Grzech pierworodny.

+ Nie można ominąć. Skarament.

– Kanon, ze złością Musiałaś zeżreć to jabłko!

+ Nie oskarżaj, byłeś ze mną, mogłeś przetłumaczyć.

– Tłumaczyłem przecież. Nie chciałaś słuchać.

+ Trzeba było lanie spuścić!

– Kochanie, w raju uderzyć kobietę. Czy możesz to sobie wyobrazić? Zresztą, minęło. Nie dzielmy włosa na czworo. Czort z nami.

+ Właśnie. Trzeba ratować Nosorożca.

– Więc jak to ma wyglądać?

+ Musimy wziąć ślub.

– Czy nie można inaczej?

+ To jest jedyna droga.

– Sadyzm. Tylko jedna droga. Słabo mi się robi, daj jakichś kropelek.

+ Właśnie przyniosłam. Podchodzi do łóżka, wyciąga z torebki małą ciemną buteleczkę z kropłomierzem. Odlicza 40 kropli i podaje leżącemu. Wypij kochanie i staraj się zasnąć. Mamy jeszcze trochę czasu.

– Leżący podnosi się na łokciu, wypija lek i krzywi się z niesmakiem.

– Mocny, powinien poskutkować, postaram się zasnąć. A ty pilnuj Nosorożca. On, to ty i ja, a reszta – myśliwi. (zamyka oczy)

+ Śpij mocno, moja opoko.

ARTAUD: Koniec, klęska, tragedia. Nawet premiera się nie odbędzie. Cenzura nie zatwierdziła. Kryzys ogólnoswiatowy, wszystko wisi na włosku, a pan chce pokazywać ludziom rajskie sceny. Czy pan wie, czym to pachnie? Udałem, że wiem. Za pięćdziesiąt lat może sobie pan tę sztukę wystawić, a teraz daj pan ludziom inną strawę.

WOŹNY: A nie mówiłem. Trzeba było mnie słuchać. Wiem, co mówię, kończyłem przecież ekonomię.

REŻYSER: To fakt, nie doceniłem pana. Kajam się. A skoro ma pan już ten siódmy zmysł, niech mi pan poradzi, co mam robić? Czyją sztukę wziąć na tapetę? Muszę coś dać, za miesiąc otwarcie teatru.

WOŹNY: Coś kabaretowego.

REŻYSER: Może być i kabaret, ale skąd wziąć dobry tekst.

WOŹNY: To da się zrobić, ja napiszę.

REŻYSER: Da pan radę w tak krótkim czasie, najpóźniej do poniedziałku?

WOŹNY: Dla pana wszystko zrobię. Jeszcze dzisiejszej nocy napiszę, ale stawiam jeden warunek.

REŻYSER: No, no, proszę mówić śmiało.

WOŹNY: Muszę grać główną rolę.

REŻYSER: Czy pan rozum postradał, przecież pan to aktorskie antytalencie.

WOŹNY: Wiem, co mówię, kończyłem ekonomię. Pierwsze skrzypce w tym kabarecie będą należały do magistra, a ja będąc magistrem, posiadając ten tytuł, chyba potrafię go zagrać najlepiej.

REŻYSER: Pan to jest jednak geniusz. Zgoda. Nie zapomnij pan o roli dla Heloizy.

WOŹNY: Jak bym śmiał zapomnieć o kobiecie. Najpierw będzie moją sekretarką, a potem kochanką.

HELOIZA: Zgadzam się być pana kochanką, ale później musi się pan ze mną ożenić. Bez ślubu odmawiam. Każdy mnie tylko naciąga i wykorzystuje. Reżyser też obiecywał. I co? Zostałam na lodzie.

REŻYSER: Heloizo, proszę, tylko bez tych scen.

HELOIZA: O! widzi pan, może zaraz powie, że nie klęczał przede mną. A klęczał jak Majakowski, wyciągał ręce i mówił: o twoje ciało proszę, jak proszą chrześcijanie: chleba naszego powszedniego daj nam Panie.

WOŹNY: Och, jakie to wspaniale!

HELOIZA: I co z tego, że piękne, przez to piękno zostałam starą panną. A teraz wybieraj pan, panie magistrze: kochanka i ślub albo nie przyjmuję roli i zaczyna szlochać.

WOŹNY: Pani Heloizo, proszę nie płakać. Podchodzi i całuje ją w czoło. Ożenię się z panią, czego się nie robi dla kariery.

HELOIZA: Oto prawdziwy mężczyzna! nienawiścią do reżysera Nie to co ty, żigolaku jeden.

REŻYSER: Toś ty taka. Dziwka. A wiesz, co teraz zrobię: pójdę i powieszę się, a on przez to nie zostanie twoim kochankiem.

HELOIZA: Tak, to ja go otruję cyjankiem. A mam takowy.

WOŹNY: Ludzie, przestańcie, bo mnie szlag trafi i nici będą z kabaretu i z was! Opierając się na ekonomii, proponuję następujące rozwiązanie – primo: zaraz pójdziemy do urzędu stanu cywilnego, gdzie wezmę ślub z Heloizą, następnie udamy się do mojego domu, secundo: pan, panie reżyserze, w tym uroczystym dniu będzie zabawiał Heloizę, już moją małżonkę, aby nie czuła się osamotniona, tertio: a ja w tym czasie, w drugim pokoju, będę pisał tekst do kabaretu, zgoda?

REŻYSER, HELOIZA: (z podziwem i zachwytem) Geniusz!

WOŹNY: No, idziemy już, panie reżyserze. Ale lady Makbet nie byłaby sobą, gdyby nie stanęła na głowie. Tak, stanęła na głowie i na trzeci dzień odnalazła swojego syna marnotrawnego i sprowadziła go w pielesze domowe. Nikt się jej nie sprzeciwił. Dziadek był

potulny i łagodny jak baranek. Milczał i uśmiechał się pod nosem do szesnastej godziny dnia, która swoją spiekotą zwiastowała już księżycową noc, pełną starych brzoź i brzeźniaków kipiących bezmiarem bezrozumnych soków, które w boginiach zaklętych w okiennice i progi wypływają w kuszące wargi i zielone loki. Dziadek widział te usta i rozpuszczone włosy wchodząc pod dach rodzinnego domu, gdzie czekał już na nich wyelegantowany senior Konarski, który, sądząc po wyrazie twarzy, miał coś miłego w zanadru, lecz wypowiedział tylko: zgadzam się i udzielam błogosławieństwa, następne słowo wyfrunęło już z ust jego połowicy, która dała mu tym do zrozumienia, że gdyby tego nie wymagała wiara i tradycja, byłby tu zupełnie zbędny. W przeszłości, w którymś tam ciemnym i krótkim jesiennym dniu, kiedy ludzie tak pragną łączyć się, oświadczone mu, że jego syn, któremu przed chwilą uczynił znak nadziei na czole, zostałby poczęty bez jego udziału, gdyby to było możliwe. Była zdolna do wszystkiego, tylko nie do zdrady małżeńskiej: wybrałaby raczej śmierć niż cudzołóstwo. Krew z krwi i kość z małżeńskiej kości – tylko tego żąda Bóg za ożywienie gliny i ofiarowanie swojego syna, reszta jest drugorzędnym towarem.

Nie pozwoliła mężowi, jak powiedziano, na otwarcie serca, lecz sama również nie wystąpiła z brzegów. W pośpiechu, zimno i rzeczowo, wypowiedziała tylko to, co było konieczne i ruchem zawodowej aktorki wskazała skinieniem stojącą przed domem karetę, która ich troje, bo mąż nadal był nieodzowny w dalszej części ceremonii, zawiozła do posiadłości Szablowskich. Wszystko było już przygotowane, brakowało jeszcze tylko ostatniego guzika – księdza, który dostał nagle tak silnej migreny, że przestał rozróżniać kolory tego świata, lecz nie chcąc się narazić Szablowskim wysłał podwodę po proboszcza z sąsiedniej parafii oraz błagalny list. Błaganie zostało wysłuchane i proboszcz Jaworski opóźnił kapłańskie przybycie tylko o piętnaście minut. Zmywszy z siebie podróży kurz, wszedł do salonu, spojrzął na Agnieszkę i dziadka i uniósł ze zdziwieniem brwi. Tak, uniósł swoje krzaczaste brwi aż pod niebiosa i oświadczył, że jako ksiądz kościoła rzymskokatolickiego; duszpasterz, szafarz słowa Chrystusowego, nie może uczestniczyć w ceremonii zaręczynowej Agnieszki, ponieważ temu oto, stojącemu przed nami, Józefowi Konarskiemu wczoraj w godzinach wieczornych udzielał sakramentu małżeństwa. Ten Don Juan jest ślubnym małżonkiem Heloizy z Baworowskich i ojcem syna i wczoraj również ochrzczonego, spłodzonego przez grzech rozpusty.

Tak! Jestem mężem Heloizy, wyrzekły usta dziadka. I będę nim do ostatniego dnia żywota, powiedział, wystąpiwszy dwa kroki naprzód, aby wszyscy widzieli mówiącego, aby nikt nie miał złudzenia, że to on wymawia te słowa. Ona jest czysta jak łąka i kryniczna woda i nie ma w niej ziemnego robactwa i pełzających stworów. Jestem jej mąż pierwszy i ostatni i ona jedyna. Z przedsiönka niebios mnie zabrała. Przez wskrzeszenie nie moc lecz miłość okazała. I troskę o duszę naszego syna Józefa, nosorożcopodobnego potomka, który jest zapisany w księdze żywota przez przyjęty sakrament chrztu. Tak! Heloiza jest moją żoną. Pójdiesz ze mną świat przeżyć, rzekła, klejnoty są niebieskich cyzelować, myśli tworzyć, których żaden drapieznik nie strawi i czas nie zetrze. I poszło moje ramię ze mną, mój duch posłuchał jej. Otwieram oczy, człowieka widzę. Wielki jest człowiek. Otwieram usta, jakbym z Bogiem miał sprawę. Bóg jest największym człowiekiem, ona tuż obok niego. Ja przy jej boku, przy moim ramieniu ona. Nie ma dla nas rzeczy niewidzialnej. Ty, Agnieszko, zaprzeczenie swojego imienia, chciałaś mnie zaręczyć. Chcesz mnie, a gardzisz ludźmi. Oczy twoje przepastne, a srom nienasycony. Kto w nim nie był oprócz człowieka? Chart afgański cię lizał, skoro brzask się budził. Psy go zżarły za ten suchy zapach. Potem z wilczurem ganiałaś po jarach. Kim był dla ciebie, że się rozumnego wzroku obawiałaś? A to lustro wiszące na ścianie twojego pokoju. Do czego służyło? Ogiery kryjące w nim oglądałaś. Kalahar był w twoim łóżu, bo o nim myślałaś zaciskając z rżeniem dłonie na puchowych piernatach. Sądzono, że moja męskość będzie takie łono poić. Nie przeklinam was, ale was nie widzę. Wzrok mój was nie ogląda, a słowo należy do ludzi. To rzecze wam ten, który widział przedsiönka rajy, mąż Heloizy, wskrzeszony Abelard.

Wypowiedziawszy te słowa, mój dziadek jeszcze dumniej uniósł głowę i nie patrząc na nikogo opuścił dwór Szablowskich.

I aż do wiejskiego gościńca zacierał za sobą ślady brzożową miotłą.

V

Lancelocie! W słuch się przemieniam, Safono, damo serca, może istota wyższa. Już jestem uchem. Trudno uwierzyć w twoje przygody. Wątpisz? a przecież to naga prawda, absolutny negliż rzeczywistości, zdjęty jest nawet listek figowy. Notki o tym zżółkły w archiwach, pobladła ich treść w babcinych sztambuchach, ale ustne przekazy nie pokryły się śniedzią,

geny genom przekazały, ja tylko przedstawiłem akcent i swoją intonację wplotłem. Kto ma uszy do słuchania, usłyszy, przenikliwe oko zobaczy, żarliwe serce czulej krew pogłaszcze. Ja ci wierzę, lecz czy znak należy inni uczynią? Inni są wszyscy, lecz nie ma innych, każdy jest zjadaczem chleba powszedniego i napoju chmielnego, muszą więc wiedzieć, że ślepotą odbiera smak, a dotyk grzebie intuicję. A zresztą, ja jestem Lancelotem, mam z najlepszej stali wykutą kopię, tarczę i miecz, mogę stoczyć bój na udeptanej murawie z Zielonym Rycerzem, Rycerzem Zielonej Kaplicy z lasu Wirraleskiego, by mógł się wyzwolić z zaklęć czarodziejki Morgan lub dla twojej przyjemności na dworskim turnieju potykać się z Rycerzem Smętnego Oblicza. I w nosie mam, o przepraszam istoto wyższa, damo mojego serca, byle jakie gliniane mury Jerycha. Ludzie zawsze wierzą w to, co nie trzeba, a jeśli już wierzą w to, co należy, starają się zrozumieć, a jeśli zrozumieją, przestają wierzyć. I zaczynają szukać. I znowu cudują, odwołują, charczą, przysięgają, wieszają, zdejmują, śpiewają, płaczą i znowu całują, we własne gniazdo paskudzą, potem bielą, i znowu wszędzie gówna, dokoła każdego domu, dużego czy małego, pałacu i szałasu, w górach i nad morzem, w wąwozie i na równinie, jakby bez przerwy chorowali na dezynterię. Nigdy nie wypowiedzą całego alfabetu, nie dośpiewają pieśni. Pokolenie, wiek, era. Jeden zaczyna drugi nie kończy. I tak w koło Macieju. Jeden chce, a nie może, drugi może, lecz nie orze, bo się zapatrzył w czerwień brzasku, który ma go uleczyć z impotencji, ponieważ żonę ma, która żąda i pożąda. A ja ciebie mam, albo ty mnie, a dziadek miał Heloizę, która po śmierci Turczynki, od momentu zamknięcia jej zgasłych oczu, jeszcze go nie znając, tak mocno pokochała owego smukłego Józefa Konarskiego. Nie była wylewna, lecz jej uczucie wyrażone przez dyskretny gest czy spojrzenie, poprzez niezmiennie, napięte trwanie stawało się namacalne. Dziadek wyczuwał je wszystkimi zmysłami i nieraz dotykał opuszkami palców owej niepostrzegalnej lecz pulsującej ciepłem odrośli ludzkiego życia. W tym czasie rysy jego twarzy nabierały subtelnej ostrości, a pod opuszczonymi cienkimi powiekami dostrzegało się eliptyczne ruchy gałki ocznej sycącej się mądrością, stojącą ponad wszelkimi demiurgicznymi geniuszami. Już u Szablowskich powiedział, że jest Abelardem, podświadomie wyrzekł to imię, mimochodem, nie przywiązując do tego żadnej wagi, lecz zacierając za sobą ślady brzoźową miotłą, przeistoczył się w niego z całą swoją świadomością. Do domu Baworowskich wrócił już nie jako Józef Konarski lecz Abelard.

Heloizo, rzekł po powrocie, tylko ciebie widzę i odczuwam jako pewnik, nikogo więcej. Do ciebie należę, rozporządzaj mną, lecz włodarzenie twoje niech nie przygniata, raczej wspomagaj moją dociekliwość. Jak ci wiadomo, kochana Heloizo, Bóg wyłonił się z nicości, jest jej sumą skończoną lecz nie oczyszczoną z gatunkowej grawitacji. Jest to ciężar, który w każdej chwili zdolny jest przekreślić wytworzoną przez siebie jakość. Bóg zatem, droga Heloizo, jest abstraktem skupionym wyłącznie na tworzeniu logicznych neologizmów abstrakcyjnych, które stały się zaczątkiem praprzyczyny materii. Jak widzisz, abstrakcja jest wszechobecna, odnajdujemy ją w zmysłach, w wyobraźni i intelekcie, zabarwia każde pojęcie, a więc nie może być wątpliwości co do tego, że jest to substancja wyższej struktury, która poprzez gwałtowny proces izomerii osiągnęła szczyt jednostkowego świata materialnego jako nowa przypadłość Abstraktu Doskonałego. Zatem człowiek nie jest bezpośrednim tworem Boga, czy też końcowym ewolucyjnym ogniwem, lecz gwałtownie zdeterminowaną przez materię abstrakcją. Ale determinizm nie pozbawił jej przyrodzonej natury, nie odciął również od świata jej sfery, dlatego też utworzyła ona rzeczywistość dorównującą sumie wytworzonej przez nicość, a tym samym stała się pierwszym optymistycznym pierwiastkiem Abstraktu. Człowiek obdarzył Boga indeterminizmem i stał się substratem jego wieczności. Oto dlaczego dostrzegł On człowieka, obdarzył miłością i zawarł z nim przymierze. Nie należy tego rozpatrywać pod kątem dziękczynienia czy wyrachowania. Takie odruchy można przypisać naturom niższym. Po prostu chciał, by człowiek stał się równy Jemu, aby wspólnie, raz na zawsze, zatarli widmo nicości. Ale człowiek posiadłszy tę tajemnicę, popadł w konsumpcyjny schematyzm, a tym samym zdeterminował wolną wolę abstrakcji i stał się samoświadomością wyższej formy materii. Bóg nie mając wpływu na ludzkie postępowanie, chcąc jednak wytłumaczyć, czym jest przymierze i miłość, musiał, na pewien czas, zesłać na ziemię swój najistotniejszy podmiot, który przez kobietę stał się bytem w akcji i dał się nam poznać pod imieniem Jezusa Chrystusa.

Tak więc, kochana Heloizo dotarliśmy do domu, do otwartej księgi Nowego Testamentu przekazanej nam przez Ewangelistów. Czym jest zatem Nowy Testament? Pomijając wszelkie terminy i twierdzenia teologiczne i kacerskie można go jeszcze przyrównać do magnesu, którego siła przyciągania wzrasta proporcjonalnie do upływu lat: jest więc bez przerwy niewyczerpany i kipiący młodością. Wystarczy otrzeć się o metaforę, a już wzrasta napięcie,

zawiazuje się uśmiech nowej jakości, znika trójwymiarowa przestrzeń. A przypowieści? Wystarczy wejść do winnicy, a już się czuje na języku smak najprzedniejszego wina. Morał o zapłacie i wyróżnieniu jest tylko pretekstem czy pozorem, za którym skrywają się nieskończone niuansy i odcienie esencjonalnych możliwości i egzystencjalnej ślepoty. Niejednokrotnie treść jest krwista jak befsztyk, skwiercząca, często fizjologicznie odrażająca, lecz podtekst jest sezamem, percepcyjną uczta, gdzie bez przerwy powtarza: ja ci mówię, wstań, ja cię proszę, przyjdź. Dzwonią wszystkie cechy niewieście, białogłowa piękność kusi subtelnymi miękkościami muzycznymi przejściami, tajemniczymi krzywiznami i hiperbolami. Rzucasz wszystko, masz w nienawiści ojca i matkę, otwierasz, zagłębiasz się, wyciągasz rękę – pustka, tylko ucho wyławia sens astragalomancji: musisz zmienić strukturę swoich atomów, abyś mógł jeszcze raz się narodzić, wtedy podam ci rękę, do salonu wpuszczę, nasycę zmysły. Dotknij mnie umysłem, a poczujesz swój puls, pod naskórkiem każdej tej litery czeka na ciebie stół, łóżko i jeszcze coś więcej, coś o czym nie masz jeszcze zielonego pojęcia. Szaleję za tobą, Heloizo! Kiedy widzę twoje kolana, uda, pachwiny, czuję jak ktoś niewidzialny wciska mi maczugę w dłoń, jest ciężka i szerniała od zaschłej krwi, ktoś inny palce drugiej ręki zaciska na ciepłej, pełnej szpiku kości. A ty patrzysz i czekasz, co uczynię. Księżyc, który wyrwał z za chmur, widzi człowieka czytającego książkę, gwiazda zwłoki przybite do każdej litery. Tylko my widzimy w swoich oczach ten sam obraz: las, w którym chcemy się ukryć, aby spokojnie wysnąć szpik. Bo cóż jest pożywniejsze od tego przysmaku.

Dzisiaj jest czwartek i dziewiąty dzień miesiąca, niebiańska płeć patrzy na ziemską gałąź, czy nie widzisz czerwieni, koralowe amulety wisiły nad twoją kołyską, karbunkuł chroni cię przed złym okiem. Patrz, jakie błękitne mamy ręce, krew płynie z moich oczu, pot spływa z krzyża, gołąbki gruchają, mniszki różaniec odmawiają. Nie smuć się, Heloizo, tylko niektóre rodzaje materii są całkowicie zdeterminowane, a założenie, że wpływają na nasze narządy zmysłowe wbrew naszej wolnej woli może być też tylko domniemaniem. I na pewno tak jest. Dziecięcymi igraszkami nazwał Heraklit mniemania ludzkie. Demokryt też coś na ten temat powiedział. Ród ludzki zaniedbał się, *cultura anima* została pozbawiona porannego zraszania, *ane* zastąpiło *ame*. Ludzie bluźnić będą nauce prawdy, powiedział w swoim liście św. Piotr. Lecz ty patrz na mnie z nadzieją, trzymam w ręku *berith*, a to nie jest narzędzie do grzebania zmarłych lecz flaszką zakonu żebraczego, szampania Abstraktu. Nie smuć się Heloizo!

Ja się przecież raduję, mam ciebie, krainę mlekiem i miodem płynącą, sycę się twoją świętością, wspominam twoją męską dociekliwość i wierzę, że twoja wiara na białym koniu jedzie i mnie jako branke do serca tuli. Tyś biały byk, który mnie, widmo krążące po Europie, na swój grzbiet zwabił, abym nie poczęła Radamantysa, prokuratora w królestwie zmarłych, lecz Nosorożca do piersi przyciskała.

Po słowie „hosanna” Heloiza podeszła do kołyski i wzięła na ręce obudzone dziecko.

Mamy więc przed oczyma jaskrawy dowód, że żeńska struktura psychiczna o wiele łatwiej asymiluje pragnienie abstrakcyjnego podmiotu, a swojego związku z materią nie traktuje iluzorycznie. Ta zmienna właściwość jest cechą wrodzoną, można ją określić jako matriarchalny atawizm, albo wysnuć z niej tezę o żeńskiej praprzyczynie życia, lecz tak czy inaczej mamy przed sobą paradoks biologiczny i cywilizacyjny. A więc co zdegenerowało męską płęć? I czy to jest zdegenerowanie? Możemy przecież założyć, że jest to przypadłość rodzajowa. Jeśli tak, to kontrowersyjny staje się tekst Księgi Genezis. Inne kosmogonie też nic konkretnego na ten temat nie mówią. Na świat zawsze przychodzi więcej kobiet niż mężczyzn. Przeczy to zdrowemu rozsądkowi, więc gdyby nie czuwała nad tym opatrność, prawo natury skorygowałoby tę dysproporcję, czyż nie tak? Oczywiście! A więc kobieta jest doskonalszą formą. Bo czyż nie przez nią najistotniejszy przedmiot Abstraktu ujrzał światło świata? A fakt, że kobietom przebaczał najcięższe winy, nie mówi sam za siebie? Po Zmartwychwstaniu komu ukazał się pierwszy raz? Marii z Magdalii! A widzisz. Mężczyzn zawsze gromił, nazywał ich ludźmi małego serca, a świat miał w pogardzie, bo rządzą nim mężczyźni zapatrzeni we własny pepek.

Kobiet nie mógł posłać w świat, więc wiedział jaka Go czeka katorga. Słowa o bezcennej wartości były tylko wiatrem lub grochem rzucanym o ścianę, żądali tylko znaków i cudów. Przez trzy długie lata walczył jak rycerz z la Manchy, lecz kopia nie godziła ani w mur ani w tarczę. Odrzucił więc zbroję i dał się ukrzyżować, ponieważ pojął, że tylko śmierć może wzbudzić przyczynę zrozumienia jego słów i celu posłannictwa. Umrzyj – a zrozumieją, kim byłeś, zgaśnij – a dowiesz się, czym jesteś! I co dalej? Umarł w imieniu prawa, zatrzymał serce, aby ruszyć z posad sumienia. A potem wstąpił do nieba. Pewien Pers o imieniu Dakiki, pośrednik jubilerski, który był przypadkowym świadkiem tego cudu, nie czuł się wcale zaskoczony. Wzruszył ramionami i powiedział, że w jego kraju każdy wezyr posiada latający

dywan. I zaraz zaczęła się kłótnia, przekrzykiwanie w różnych językach, szowinistyczne przekleństwa, w końcu doszło do bójki. Jak zwykle zaczął Kefas, który zawsze był skory do bitki. Odżywiając się rybami, baraniną i oliwkami, krzepę miał niepospolitą i nawet po najcięższym dniu, gdy inni padali z nóg, jego rozsadzała energia, której nie umiał spożytkować. Siedzący opodal w cieniu tamaryszku, Józef Flawiusz okiem znawcy przyglądał się burdzie. Twarz jego promieniała radością. A może by wzniecić jeszcze jedno powstanie? I zaraz zapomniał o tym. Nienawidził Rzymu. Judeę traktował jak dom wariatów, pomimo to z chęcią tu przyjeżdżał. Stał się poganinem, raczej bezbożnikiem, ale kochał Jahwe i jerozolimską świątynię. Zachwycił się czystością Majestatu. Imperialni bogowie, traccy czy latynoscycy, skażeni byli wadami, a boginie wywiedzione z myśli ciemnego gminu to najzwyczajniejsze kurwy.

Tak mówił dziadek w „x” lat później siedząc na ławeczce w swoim kopczyńskim ogrodzie przed megalistycznym kamiennym ciosem. Było to już, zdaje mi się, po pamiętnej rocznicy bitwy na Kosowym Polu, która w Sarajewie, w dowód wdzięczności, zadrwiła sobie z następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda, pozbawiając go ducha, a tym samym wbijając jeszcze jeden zardzewiały gwóźdź w cesarski los dobrotliwego Franciszka Józefa, któremu zły omen niczego nie zaoszczędził. A może lała się już wojenna jucha po *zeme, niebiosach i moriu*. Nie mówmy na razie o tym, to opiewał już Homer, który przez swój zachwyt nad orężem tak zwulgaryzował ducha, że do dnia dzisiejszego trudno mu się wydźwignąć z owego niebytu. Wojownik, legionista, żołnierz wcisnął swój żołdacki but do filozofii, teologii, kabalistyki, lingwistyki, nauk wyzwolonych, uciemionych, zakazanych i nakazanych.

O! O! patrz, zaświeciło słońce! Nie, cholera, to nie słońce, to myśl. Dlatego błysnęło mi w oczach. Może gdzieś trwa jeszcze wojna? Albo jakaś idea przetacza się z przekleństwem po niebie lub ziemi? W każdym razie ma to wybitnie fizykalną treść, ponieważ działa na zmysły, a jeśli działa na te narządy, jest rzeczywistością. Rzeczywistością, kochana Safono, twoją! Co za radość! Jako karzeł, był nieśmiertelny, a więc dość rzetelnie wyposażona istota, wiem doskonale, że Bóg jest absolutną prostotą, którą pojąłem, jak On mnie pojął, a więc nasze spostrzeżenia są równorzędne. A ty wciąż jesteś zagadką. Nie wydzielasz fluidów i nie posiadasz otoczki eterycznej. Może jesteś Mata Hari? Przychodzisz do mnie, aby rozszyfrować moją tajemnicę i przekazać ją do jakiejś tam centrali. Nieśmiertelność! Któż o

niej nie marzy! Jaki władca nie chciałby być wieczny! Ale muszę cię rozczarować. Mój kod genetyczny nie różni się niczym od kodu zwykłego śmiertelnika. A teraz precz mi z oczu, konfidentko! Nie, lepiej zostań, polubiłem cię, siedź i patrz razem ze mną na dziadka.

Był więc już dziadek osobistością egzystującą poza zasięgiem obowiązującego prawa, pogrążony po uszy w paradoksach Nowego Testamentu, z których wysnuwał cudaczne wątki do swoich enigmatycznych hipotez. Mówił do kamienia i miał do tego prawo, bo był Abelardem. Czy pamiętasz jak znowu ruszył świat do tańca z zawilcami rozumu w jasnym runie jagnięcia s z e p t a ł jak śmiertelnym podrygiem nieśmiertelnik czarował jedwab z piersi zdzierając dla czulszego objęcia c m o k a ł i tyś chyba tańczył w swej kamiennej komnacie bo wyjść z siebie nie możesz by przytupnąć rozumniej krzyczał z duszą swoją hulałeś cmentarzyska swe budząc i wciąż jeszcze wirujesz jak byś nogi miał z sumień s p a z m o w a ł więc się rumień *ichtyomancjo* Innocentego *libanomancjo* Liberiusza *hydromancjo* Hormisdasa *ceromancjo* Canona *tephramancjo* Telesfora *kleromancjo* Klemensa *pyromancjo* Piusa *vivace* inkwizycjo Izabeli *demovorucie* carski i cesarski zakonie Najświętszej Marii Panny orderze św. Jerzego krzyżu żelazny kolorze zielony mewo mormańska siedmioramienny świeczniku soborze efeski *moderato* Aniele Pompiliusza niech Bóg dla nich nie istnieje niech Chrystus za nich nie umiera materia nie przyjmie piekło zniknie Stop panie *primo secundo* ma głos ze swojej puszczy woła oczyścić ich wykąp w wodzie która z ducha powstała odświeżenie i obdarz a psów wierniejszych nie znajdziesz o to cię prosi jedynak twój prawica kamień węgielny Nie! Nie? A jednak *staccato* kamień się mień i znów słowo zmień nie miecz lecz po kój lub wykuj z kruszca ludzkiego diabła już noworodkiem jestem niewiele – się – różnię – od – rośliny – wyłaniam – się – z – ogółu – dostrzegam – szczegóły – zwięża – się – zakres – zbawienia – wszyscy – zbawieni – radość – poruszenie – rytm – otwarcie – drzwi – wejście – w – światło – dzień.

Otworzył oczy. Dlaczego leżę pod tym kamieniem? Zemdląłem? Ale czuję się już dobrze. Wyśmienicie! Nie słyszę już tych cholernych dzwonów, które bez przerwy wołały na roraty i nieszpory. Żyłem w diasporze. Ktoś urok rzucił. Zaczarował. Która to godzina? Zegarek na niebie. Przedwiośnie, nie to już oddech wiosny. Tak czy owak zły czas dla serca. Dużo ludzi umiera o tej porze. Nie tylko! nie tylko! A płciotok? Tak czy owak: serce w rozterce, przeciętnie 65 stuków na minutę. Oszaleć można. To samo przez całe życie. Jak Syzyf. Ten to

jeszcze odpocznie schodząc z góry. Patrzy ze szczytu jak juhas i jodłuje albo zbójnickiego krzesze. Byłem w Alpach? Tyrolskie manewry! Ogniste góralki. Warto by pomnik postawić. Nawet z brylantu, jest za co. Realistyczny kształt: z tętnicą płucną i aortą, a nie jakieś tam dwa półdupki odpustowe. Ufunduję w przyszłości. W pewnym sensie to świętość. Niedobrze mi się robi, kiedy widzę, kiedy tylko pomyślę o gulaszu z serc. Barbarzyństwo. Nawet cynadry jedzą. I flaki. Duszę by zeżarli, gdyby można ją było do garnka włożyć. Człowiek to jednak gad, który potrafił się wypionować przez obcowanie z łożyskowcem. Komicznie musiał wyglądać taki stosunek. A który wygląda dostojnie? Odwrócił się na wznak. Niebo skłonem błękitu dojrzało jego mdpdopojemne oczy. Przeciągnął się, głębiej odetchnął, jakby ciała nie miał, jakby mosiężnym duchem był. Na koń! rzucił komendę i po żołniersku obcasami stuknął. Stępa! Kłusem! Ojczyzna to żona, zagrała jego ułańska śledziona. Galop: jak ja wyglądam wszystko pamiętam od pogrzebu turczynki pozbierać myśli cała historia w palcu cud tyle lat wesele jak Wyspiańskiego tak nagle zmartwychwstanie bóg się zlitował nosorożec jak orzeł wirus w niderlandach jezuniu fosgen w płucach trzy zdrowaśki dziennie rasputin w lodach piekieł od morza do morza przepowiednia spełniona rosja we krwi *temni nemni i hołodni sanit just* piłsudski widocznie zasłużyłem na te mary świat na głowie dni krwi i chwały władza radom mój habit kameduły i nie rzucam ziemi znak europa osiem milionów ofiar *circa* łuk tytusa polonez bój ostatni *habakuk* wyjaśnił, wstąpić do szeregu, zwolnij kapitanie, nie spiesz się Józefie; szwaaadron stóóój! Zwolnił. Spojrzał na habit. Reguła *memento mori*. Rumieniec sparzył lica. Coś wymyślić. Postanowił. Zawrócił. Spod megalitycznego kamiennego ciosu zabrał zapomnianą księgę Nowego Testamentu i cichaczem wszedł do dworu. Zaraz zaczął myszkować po kufrach i szafach. Nie znalazł czego chciał, ale znalazł. I z tym tobołem zniknął w łazience. Spojrzał w lustro. Święta Genowefo! Czy to podobne do Józefa? Stwórzmy człowieka. Obraz młodości.

Długo spała wolność święta,
 Długo biały orzeł spał,
 Lecz się zbudził i pamięta,
 Że on także wolność miał!
 Wiwat gwardia narodowa,

Polskie wojsko, tobie cześć.

Piosenka dziadka czy pra Z powstania. Którego? *Vide! Paginae Anno Domini 1830–1864.*
 Kropka. Do roboty. Wziął z namaszczaniem brzytwę w swoją prawicę i manipulując nią
 oczyścił twarz z przymiotów niższego rzędu. Światłość! Dokonawszy ablucji natarł ciało
 kolonialnymi wonnościami. Pan rodzaju! I z cmokiem zachwytu przyodział swoją wielebność
 w garnitur myśliwski angielskiego kroju. A gdy nastał czas jego, dnia siódmego nie spoczął,
 lecz udał się na poszukiwanie Heloizy, aby przez umiłowanie jej uwolnić się od myśli
 zawartej w VI przykazaniu Dekalogu. Zaniemówiła z zachwytu. Jej słowa stały się łzami
 radości tak wielkiej, że rzuciła mu się natychmiast w ramiona, aby stać się jednym ciałem. I
 uczynili to, co im Bóg nakazał i jak Bóg przykazał.

A potem...

KOCHANA, powiedziało serce.

KOCHANY I JEDYNY, szepnęła ona. Nareszcie człowiek.

Złoto przy złocie. Mężczyzna obdarzający. Serce i dzwon.

Nareszcie habit zdjęty: człowiek, mój mąż,
 chluba i zbrojne ramię.

Bóg się zlitował: Polska oczkiem Jego.

Szabelka zadzwoni, ja lilią zakwitnę.

Cnota i niewinność.

Ojczyzna.

Polonia rediviva.

Legiony to orle korony tara tam tam.

My I Brygada – historii głos wpleliśmy w los.

...on rzekł:

Heloizo, ja koniecznie muszę pójść na wojnę. Taka hańba.

Jak dekownik.

Musisz, wiem. Krew o pomstę wola. Tyle. powstań zdławionych.

Ale jak wrócisz, przez dwa miesiące nie oderwiemy się od siebie.

Będę się modlić za ciebie. A teraz zmówmy litanie, naszą, rodową i narodową, *patrium carmen*. Jak pod Grunwaldem zaśpiewajmy:

Bogurodzica, dziewica, Bogiem sławiena

Maryja!

Twego syna, gospodzina. Maci zwolena,

Maryja!

Zyszczy nam, spuści nam!

Kyrie elejson.

A gdy ruszał król na wojnę, grały jemu surmy zbrojne.

Orkiestra tusz!

Czyż nie tak? Nie ulega wątpliwości. Doborowa kapela grała na surmach. Przyznam, melodię dobrałeś super, z rycerskim duchem, ale instrument i grajek – godny pożałowania. Gdyby król usłyszał takie rzępolenie, odechciałoby mu się szczęku oręża. Zapłakałby jak konie Homera. W rytm takich dźwięków nawet Sobieski nie miałby odwagi ruszyć do ataku, choćby mu się nagle husarskie hufce podwoiły. Gdyby nie Orfeusz, Termopile nie weszłyby do historii. Syn Kalliope i Ojagrosa osobiście grał na cytrze Leonidasowi swoje najslawniejsze utwory w tonacji doryckiej. Jak powiadają, Pittakos, jeden z siedmiu mędrców greckich, powiedział, że wojna bez dobrej muzyki jest potrawą bez soli. Są tacy, którzy przypisują to powiedzenie Zawiszy Czarnemu, inni Longinowi, który został później świętym. Paweł Włodkowic głaszcząc swojego siwka powtarzał zawsze: ja nie z soli ani z roli, lecz z krzyżyków i bemoli. Diogenes, choć cynik, powiedział, że entelechią logosu jest muzyka. Jeśli miałbyś ochotę sięgnąć po dowód historyczny, przekonałbyś się, że słowo muzyka jest etymologicznie czystsze od słowa, które stało się podstawą monoteizmu. Wykluczając bzdurę ewolucyjną, mógłbyś się kiedyś zastanowić nad tym, dlaczego masz jeden język a dwoje uszu. Jest to bardzo istotny relik. A wiesz, dlaczego Polacy są dobrymi żołnierzami? Nie wiesz? A ja wiem! Dlatego, że ich słuch jest wyczulony na diapazon hiperteistyczny. Ten religijny atawizm sprawia, że prawie instynktownie reagują na każde naruszenie ludzkiej skali diatonicznej, która jest częścią harmonii sfer. W takich chwilach zdolni są do czynów, których racjonalnie, nie można wytłumaczyć. Historyk może wpleść w bitwę ideę, determinizm i setki innych izmów, ale nigdy koloraturową sekwencję wstępującą. Dlatego też każda przebrzmiała

bitwa, nawet wczorajsza, zaczyna powoli ulegać metamorfozie, a pod piórem dziejopisarza przemienia się w takie subiektywne dziwactwo, że tylko psychoanalityk może wyciągnąć z tego wnioski. A człowiek, aby żyć, musi spożywać treściwą i gorącą strawę. Wasserrzupka nie nastroi go na górne la, posieka tylko na kawałki, a czując, że stał się niczym innym tylko ochłapem mięsa, zaczyna unikać stworzeń mięsożernych, jak Antystenes chwytając kij do ręki i jak on głosi wszem i wobec: uważajcie, ja jestem również psem. Ale jego hau! hau! nie wykracza poza skalę c-moll, skalę z której Chopin wywiódł swoją słynną etiudę oznaczoną opusem 10 i nr 12. Nie ulega wątpliwości, że w tym czasie czuł się również jak pies. Bo tylko człowiek zaszczyty jak zwierzę obdarzony bywa nadabsolutnym słuchem, który umożliwia mu wyławianie z chaosu kompozycji wyższej harmonii. Chcesz, to ci zagram. A skąd weźmiesz fortepian? A skąd się wzięła etiuda?

Eliaszeliłama grób schlebił i zgromił wielce słownego ducha, aby obietniczył w ludziejowym weslu. Europowita na ramiona wzięła epokalipstropion, z insektów inkwizoblucją głowy oczyściła, bo lotografowe opłatki posmakowały jej wielce. Hosanna wysokiej ziemi. Alleluja!

Kochana Safono, odprowadzamy dziadka na wojnę, prawda? Oczywiście, że tak. Nie zaprzeczam temu. Zrozum, szanuję go, a tyś rozszczebiotła się jak Hipparchia z Maronei.

Zachlipała: stwoobcując dech dał i łono wyobrzemienił, a uwiódlszy dEwę, w księgach znikł, bo wojnę z chaosem wiódł. Uwolnił nas w czas każdeistyczny, byśmy owoc żywotum gruczotwochrzcili, inaczej czeka nas karmaidalna zagłagolica. *Mea terra, nostra terra,*

Kyrie eleison

Biblio – odsłoń całą swoją twarz

Gilgameszu – zachwycasz nas

Wedo – nie w tobie credo

Homerze – synu siedmiu miast – ojciec nasz

Anaksagorasie – istoto na czasie

Ajschylosie – spłonąłbyś na stosie

Plutarchu Złoty Ośle Firdausi Boska Komedio

Zmiłujcie się nad nami.

Kyrie eleison.

Pod twotklibertatis obkoronę
 Obkuwamy się w mundextrum
 By w końcudowniebo norwidzieć
 I śpiexisto feniksem
 Tyś bóg mój i pan
Kyrie eleison.

Safono zamknij się wreszcie! Na litość boską, uspokój się!

Nie krzycz na mnie. Mam prawo pomodlić się od czasu do czasu. Litanię zmówiłem za ciebie, a antyfonę do ciebie. Nie masz prawa gwałcić mojej potrzeby duchowej. W każdej chwili mogę zostać sanitariuszką, a nawet generałem, strategiem lepszym niż był okrutny Macedończyk, albo za swoje grzechy, tak mocno uwielbiany imć Napoleon. Te ich wszystkie mądrości strategiczne mam w małym paluszku prawej ręki. Ale pluję na to. Ta sławetna instytucja zupełnie się zdeklasowała. Jeśli pomyślę o jakimkolwiek wodzu, dostaję rozstroju żołądka. A od żołądka zaczyna boleć głowa. Bo jak ma nie boleć, kiedy się pomyśli, że generał zapomina nagle o plutonie zwiadowczym i który okrążony, okopał się w lesie i raczej poleci Bogu ducha, niż podniesie ręce do góry tylko dlatego, że zdenerwowały go muchy paskudzące na jego sztabówkę i to akurat w tym miejscu, w którymi miało nastąpić uderzenie główne. Poniosły go nerwy, boi poczytał to za zły omen. Przełożył więc natarcie na następny dzień, a malowani chłopcy zostali spisani na straty. A wśród nich był poeta, który miał napisać niezwykłą odyseję o Jarosławie Mądrym, bo miał to odnotowane w niebieskiej księdze żywota. Ani chybi, szlify powędrują przed święte oficjum i stracone zostaną w ogień wieczny, gdzie płacz i zgrzytanie zębów. I prawidłowo. Wódz powinien albo zginąć na polu chwały, albo za chwałę zostać wygnany lub stracony, ponieważ zagraża demokracji. Tak przynajmniej jest w moim rodzinnym kraju, ukochanej Helladzie. A jeśli taki czy owaki wojak odchodzi w stan spoczynku z powodu lat, a nie zacięcia do filozofii, jest i był niczym innym tylko złym duchem, kopącą lampą, która przyświeca tylko zboczonym naturom.

Boże, co ta baba wygaduje, ale niech tam, pomiele jęzorem, musi przecież w jakiś sposób spożytkować swoją żółć, wydzielinę wielce przydatną każdej epoce, ponieważ przyspiesza

emulgację tłuszczu wszelkiego autoramentu. Niech powspomina dni szczęścia swego. Bez życia płciowego niczym jest. Biedula! Należałoby ją przytulić od czasu do czasu, poczęstować sobą. Być może stać mnie jeszcze na taki wyczyn. Bez miłości nawet rośliny więdną. Paprotki nie. Kwiatu paproci szukają zawsze. Muszą kogoś mieć. Nie tylko w sercu. Pazernie i żarliwie. Błogosławione i święte. Zapamiętać nie sposób tej litanii. Kto to wymyślił? Ze średniowiecza, z mroków jego. Czytałem kiedyś opis mistycznej ekstazy kobiety, która samotnie w grocie mieszkając osiągnęła szczytowanie. Lubią ustronne miejsca. Wstydzą się swoich cech i skłonności. Nazywają to skromnością. Dopiero jak płód zawiązany, patrzą każdemu prosto w oczy. Czy Safona miała dzieci? Na pewno! Dzieci są świadectwem niebios. Pojąć ich dobroć. Zaraz po urodzeniu. Odrzucić ciężar kosmicznej rany i na tym się skupić. Tam jest cząstka prawdy wiekuistej. A ona, Safona, bez przerwy miele ziarno na mąkę. Treściwe greckie suchary, muzyczne otręby hoplitów, filozoficzny dymek Ezopowej bajki. Nie daj Boże, aby początek egzystencji rycerskiej przypadł na okres trwającej wojny czy innego jej wcielenia w postaci wyprawy krzyżowej, ekspedycji karnej czy nawracania mieczem na tę lub inną wiarę. Nikt nie powstrzyma bastarda od okrzyku: *Pro fide, rege et lege*, a chęć zdobycia Orderu Zwiastowania czy Czerwonego Półksiężycy wpisana zostaje w najistotniejsze przykazanie Dekalogu. Każdy może odnaleźć siebie w romansie rycerskim, a nawet w *Iliadzie* bo Homer jak dobry Bóg o wszystkich pamiętał, w tym co minęło, ale trwa jeszcze, lecz nikt nie potrafi zobaczyć siebie umierającego pod płotem lub przykutego do maszyny tortur, aby powiedzieć: patrzcie, jaki ze mnie bohater, umieram nie za was, lecz za swoją duszę, która żądała ode mnie wolności i prawości, aby móc pokazać swoje niezwykle widzenie świata i ja spełniłem jej żądanie. Jestem niezmiernie rad, że czeka mnie taki los, bo umysł jest fundamentem istoty ludzkiej, a ciało najzwyczajszą przypadłością materii czy też układem fizyko-chemicznym. A co się stało z poetą, który miał napisać epos o Jarosławie Mądrym? Zginął pod Kutnem albo w Guernice. Służba, jaką pełnił, nie pozwoliła mu wcielić w serce obyczaju czystości, nie pojął więc szczegółów świata antymaterialnego, dlatego też musi przejść przez 8 400 000 gatunków życia, aby osiągnąć postać szczura lub gołębia. Po cyklu narodzin i śmierci jednego z tych gatunków, ujrzy znowu światło jako człowiek obdarzony talentem literackim. Jeśli ostatnim ogniwem był gołąb, przypadłość realizowana

będzie przez nietransformacyjny model struktury głębszej w skali od C^2 do c^7 , jeśli zaś szczer skala będzie o oktawę niższa, lecz posługiwanie się transpozycją

sprawniejsze. Z tego dyptyku wyłaniają się również filozofowie i kompozytorzy. Odtwórcy, a więc muzycy tancerze, aktorzy, dziennikarze, śpiewacy, malarze, rzeźbiarze oraz inni artyści nie mają kodowego łańcucha i swoją formę mogą wywieść ze śmierci świni, trutnia, żółwia, pająka, kuropatwy, skunksa, motyla, ropuchy, a nawet ryby. Najkrótszy cykl rozwojowy, co jest zupełnie niezrozumiałe dla nauk rozkładających na czynniki pierwsze genezę ciała i ducha, przypisany jest stanowi rycerskiemu. Każda kolonia pierwotniaków w akcie jest potencjalnym oddziałem gwardii porządkowej czy też pułkiem dragonów. Jeśli wierzyć ludowym przekazom, Plutarch ilekroć oddawał mocz w ciemności, której się panicznie bał, tylekroć myślał o tym, że Safona jest nieślubnym dzieckiem celtyckiego druida, który cynowym szlakiem, na pokładzie fenickiego statku, dotarł na mityczną, miłodźwięczną Lesbos. Myśl o niej prześladowała go przez całe życie, zbierał materiały, aby opisać jej żywot, ale mojra przecięła nić. Napisał tylko parę zdań, które dotarły do naszych czasów. Lesbos!

Wokół wyspy święta woda: młodsza siostra ducha nieodzowna jak święty ogień, za który ukrzyżowano Prometeusza na Kaukazie, nie opodal Arki Noego. A w dolinach złote runo i Serafini na rasowych koniach zabawiają się dzigitówką. Nikt nie zwraca uwagi na pięcioletni dziecko siedzące pod ścianą sakli. Leżąca obok niego matka ma rozpruty brzemienny brzuch i poderżnięte gardło. Zły duch urządził sobie znowu karnawał. Wygodnie mu się żyje w człowieku, łatwo zmiękczyć tę glinę i wszczepić w nią swoje wirusy. Po katakumbach węszą, na zmarłych pluja, i pluć każą innym. Zbyszczeszczone prochy zwołują kongres i wskrzeszają Protagorasa. Ale człowiek: miara wszystkich rzeczy, gubi się w rzeczywistości, zostaje lotnikiem i ucieka do królestwa Chrystusa, aby wsparł go duchem. A Sąd Najwyższy jednej i drugiej strony skazuje go zaocznie na śmierć. I znowu ktoś się śmieje w kułak. A archanioł Michał z namaszczeniem i skupieniem, głuchy na wszystko, czyści i stroi, pucuje i przestrasza swoją wielgachną trąbę. Czy widzi człowieka? Tak! Nikogo więcej, tylko człowieka, który wapnem bieli ściany serca, a odrzwia słowem pierwszym znaczy. Siedzi sobie taki i przygrywa na fujarce, kiedy zbliża się południe, by bydłatko wszelkie mogło odetchnąć z błogością. Najpiękniej gra wieczorem, bo wtedy dzieci głaszczą go po głowie: *hraj, Kryciu, hraj supilka maszngwerom jazyka wryrywaje. Ty wylykij czaban*. Tak, tak, moja ukochana i

jedyna, gdy król ruszył na wojnę, grały jemu surmy zbrojne, a dziadkowi zagrał rycerską dumkę na wierzbowej fujareczce siedemdziesięcioletni Hryćko, pastuch owiec. Dziadek przycisnął do piersi swoją rodzinę. Całując Heloizę podarował jej łzę wytoczoną z lewego oka, a synowi, Nosorożcowi, z prawego, i wskoczył do ruszającego już pociągu. Wszedł do przedziału i pozdrowiwszy siedzących usiadł wśród nich. Wśród siedzących, drzemiących i rozgrzeszających. Oficer z kapelańskimi oznakami na patkach założył palcem brewiarz i spojrzawszy znad okularów w drucianej oprawie: poznał, uśmiechnął się.

– I ty, synu, rzekł żartobliwie lecz znacząco, jedziesz czcić boga Marsa, na zew jego biegiesz, depcząc pierwsze przykazanie Jahwe: Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

– Służąc jednemu pomnażam chwałę drugiego – odrzekł Józef zwany Konarskim – a i maluczkiem skapnie coś niecoś z tego.

– Budujące słowo sprawiedliwego męża. Rozgrzeszam cię, trzysta dni odpustu daję, lecz za pokutę musisz poznać przedstawiciela prawa, przyjaciela ze szkolnej ławy, kapitana Tadeusza Koniecpolskiego, który ma już 333 dezerterów na sumieniu. Jego Wysokość Piłat Poncjusz.

A w kącie jedna baba szeptała do ucha drugiej babie kumo, Piłsudski to Eliasza, boży ład zaprowadza, o wszystkim myśli. Słońce już normalniej wschodzi i bez drgawek po niebie płynie. A przedtem jakby padaczkę miało A druga: u nas, lubciu, tak się strzygi, zmory, wilkołaki upiory i inne pogaństwa rozpleniły, że strach było wyjść na dwór. Wszystko w oczach marniało. Krowy serwatkę dawały, a kury znosiły trójkątna jaja. Mojemu swatowi planetnik dwa przednie zęby wybił. Za nic. Tak się przestraszył ten mój swat, że zapomniał o granacie, który miał w kieszeni. Nie pomogły żadne nabożeństwa różańcowe! A teraz jakby ręką odjął. Wszystkie paskudztwa poznikały Nawet kurczęta wykluły się z jajek w swoim czasie. A swatowi zęby odrosły, taką mu dobrą maść ten ich felczer przepisał.

Znużony Poncjusz Piłat odzyskał nagle siły, stuknął obcasami i serdecznie uściskał druha. Razem kuli grekę i łacinę.

– Ochrzczijmy spotkanie, rzekł Piłat Koniecpolski i do podróźnych kieliszków nalał dwadzieścia pięć lat historii francuskiej prowincji.

Jechali, jedli, pili, gaworzyli. Na wojnę przecież jechali Z napojem z Galii. Może gdzieś tam strzelali: nie słyszeli. Nie słuchali.

Stacja! Żytomierz!

Stacja? Wyrzał przez okno. Gdzie generał Romer? Nad Dnieprem, odrzekł przechodzący kolejarz. W Dnieprze konie poi. Białe konie, pomyślał. Opadły powieki. Podniósł je palcami. Chciał widzieć. Patrzył. Zobaczył. Na własne oczy widział, jak petlurowiec jednym cięciem szabli głowę od tułowia oddzielił. Mistrz. *Teper pod spidnycom schowajesz ce harne jajiczko Salomona, parszywa Židiwko*, krzyknął hetmańczyk, przeskoczył przez ogrodzenie i zniknął z oczu. Zbrodnia. Czyim synem jestem? Ledy synem jestem. Dogonię i pod sąd oddam. Puścił ramę okienną, zachwiał się i opadł na siedzenie. Moja szabla. Pod sąd. Dogonię... Zastrzełę... Otworzyć... oczy... Gdzie moja ręka... Nie mam... rąk... Nie ma... n...óg... ktooo... źżżrenice wyyydddziobał. Zaszlochał na cały przedział. Na sen cię skazuję, zgrzytnął zębami Piłat Poncjusz, za zdradę stanu. A ja cię rozgrzeszam, szepnął kapelan. I tryptyk zamknął się. W sen zapadł. Dziadek spał i śnił, że śpi i śni niezwykły sen. Oto anioł stanął przed nim w wielkiej światłości i rzekł: Nie lękaj się, jestem przodkiem twoim, tym który pierwszy nakreślił na tarczy herb rodu Konarskich. W Kijowie, dokąd jedziesz, przy ulicy Wasylkowskiej, w domu oznaczonym trójcą, mieszka zacna rodzina: Tatiana Siergiejewna, jej córka Katarzyna i Michał Jurewicz. Masz ich strzec jak żrenicy w oku. Spakuj ich i odeślij pod opiekuńcze skrzydła swojej żony, Heloizy. Reszta dokona się sama. I stało się tak, jak zażyczył sobie przodek rodu. Tak więc, droga Safono, może istoto wyższa, mamy już kądziel i miecz. Księga Rodzaju skończona, drogi Lancelocie, rycerzu karlego stołu, odpocznij chwileczkę, odsapnij, a potem znowu na koń i w drogę, po nową rycerską przygodę.

Korekta: Katarzyna Michalska